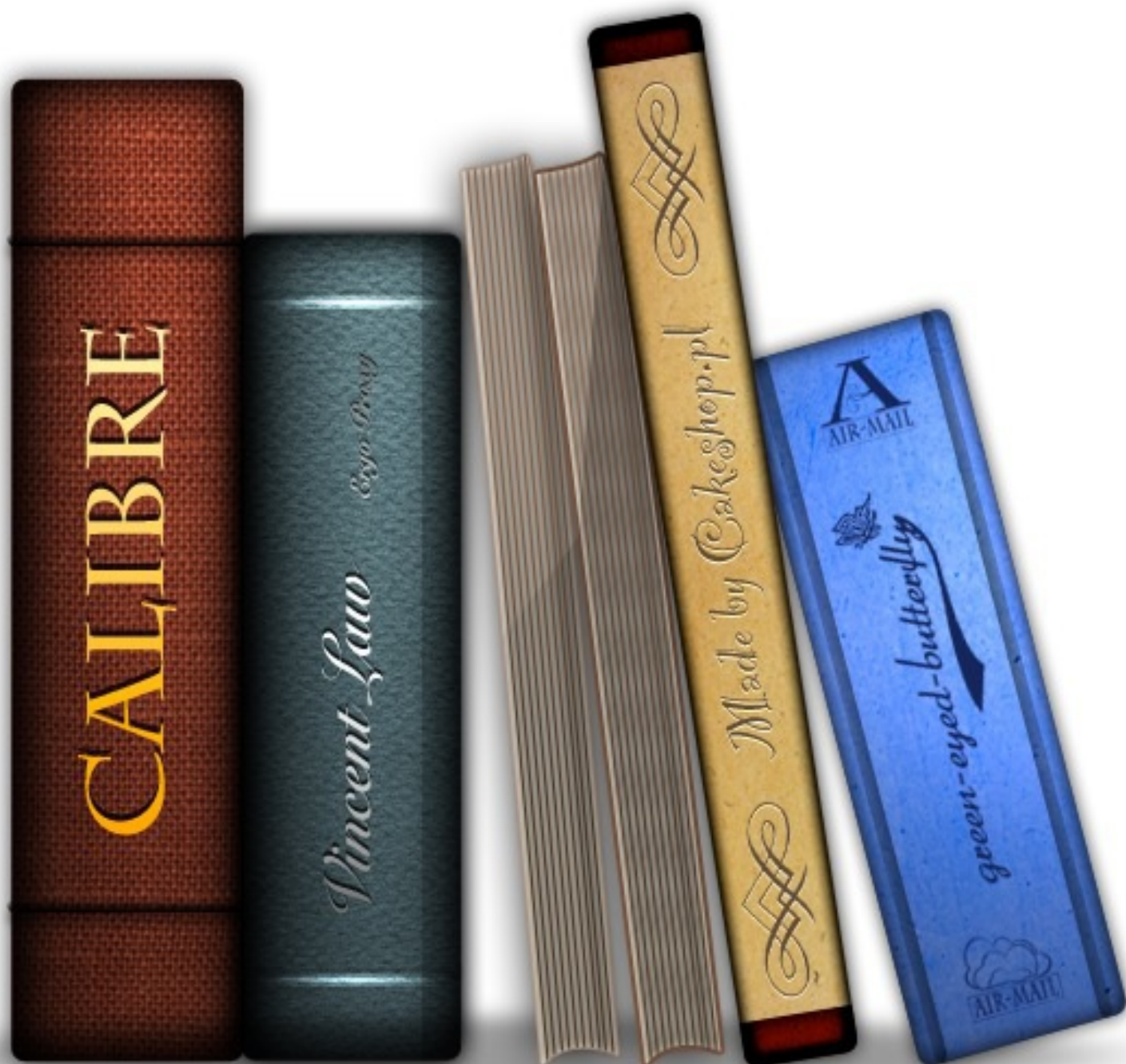


Pani Krainy Mgiel

NORTON ANDRE



calibre 0.7.28

Andre Norton

Pani Krainy Mgjel

Tytuł oryginału Dread Companion

Przekład: Jacek Kozerski

Rozdział pierwszy

Nigdy już nie zaufam tradycyjnym podziałom czasu i nie powiem z całym przekonaniem: to był dzień; minal tydzień; przed nami cały rok! Zaledwie kilka dni temu pokazano mi bardzo stare taśmy, skopiowane, jak mnie zapewniono, z kaset nagranych ongiś na legendarnej planecie Terra. Jednak pewne zawarte na nich informacje tak bardzo przypominają moje własne doświadczenia, że nie pozostaje mi nic innego jak tylko uwierzyć, iż ci, którzy nagrali je w przeszłości zasnutej mgłą czasu, tak dawno temu, że nie potrafię nawet pouczyć lat dzielących terazniejszość od tamtej chwili, również przemierzili szlak, na jaki skierowały mnie przypadek i mój własny upor. Gdybym nie miała niepodważalnych dowodów na to, co przydarzyło się mnie oraz paru innym osobom, mogłabym być teraz posadzona o snucie niestworzonych opowieści ku zadziwieniu łatwowiernych. Lecz to, co mówię, jest prawdą i nagrania wszystko potwierdzają. Urodziłam się na Chalox, w 2405 roku po Odlocie, licząc według czasu planetarnego i galaktycznego. Skonczyłam szesnastcie planetarnych lat, kiedy opuściłam Chalox i wylądowałam na Dylanie. Od tego czasu nie minal dla mnie więcej niż rok - a jednak w kalendarzu widnieje teraz cyfra 2483!

Czas! Zdarza się, że gdy spoglądam na te daty i myślę, w jaki sposób minęły dla mnie te lata, ogarnia mnie taki strach, że natychmiast muszę zająć się czymś, skupiając na tym wszystkie moje siły i myśli, dopóki nie opadnie dławiąca mnie fala paniki.

Gdyby nie Jorth, którego mogę dotknąć ilekroć tego zapragnę i który dzieli ze mną moje brzemię, mogłabym... lecz o tym nie będę myślała - teraz ani nigdy!

Tak jak powiedziałam, urodziłam się na Chalox. Moim ojcem był Rhyn Halcrow, zwiadowca Departamentu Badan. Należał do rodu Talgrinnian, co oznacza drugą falę potomków Terran. Moja matka pochodziła z Forsmanian, z rodziny kupieckiej. Byli ludźmi, lecz jako potomkowie Pierwszej Fali z powodu genetycznych mutacji różnili się od istot, które uważano za rodzimych mieszkańców Terry.

Ich małżeństwo nazywano terminowym, jak to się zwykle określa w przypadku mężczyzn pozostających w służbie rządowej, i trwało trzy miejscowe lata. Po ceremonialnym rozwiązaniu umowy małżeńskiej ojca skierowano do nowego zespołu badawczego. Pozostawił moją matkę z bardzo wysoką dożywotnią rentą, dając jej nadto wolną rękę co do zawarcia następnego kontraktu, gdyby miała na to ochotę - lub gdyby sobie tego życzył jej ojciec. Forsmanianie bowiem szanują rodzową hierarchię i wazkie decyzje dotyczące klanu podejmuje najstarszy wiekiem mężczyzna.

I rzeczywiście, w ciągu paru miesięcy matka wydała się po raz drugi za jednego ze swoich kuzynów, zatrzymując w ten sposób wiano z pierwszego małżeństwa w klanie, co jej bliscy uznali za bardzo praktyczne i słuszne rozwiązanie.

Jeśli chodzi o mnie, w tym czasie przebywałam już w internacie dla dzieci pracowników rządowych w Lattmah. Rozstanie było zupełne. Nigdy więcej nie zobaczyłam żadnego z moich rodziców. Problemem był dla mnie fakt, iż urodziłam się dziewczynką, ponieważ potomstwo takich mieszanych związków w większości jest płci męskiej i chłopcy ci od dzieciństwa szkoleni są do służby państwowej.

Na nieszczęście odziedziczyłam pleć matki, lecz duszę i zainteresowania ojca. Byłabym bezgranicznie szczęśliwa, pracując jako zwiadowca, odkrywca dalekich światów i nowych krajobrazów. Moimi ulubionymi nagraniami z taśmoteki były relacje z wypraw badawczych, sprawozdania z misji handlowych na prymitywnych planetach i tym podobne rzeczy. Być może potrafiłabym dopasować się do życia, jakiego wiedli wolni kupcy. Lecz kobiet jest wśród nich tak niewiele i są one tak zazdrośnie strzeżone i holubione, że pewnie byłabym prawdziwym więźniem w jednym z ich kosmoportów. Spotykałabym się z mężem tylko z rzadka, i prawo zmuszałoby mnie do ponownego zamążpojęcia, gdyby jego statek nie powrócił w wyznaczonym terminie.

Tak więc robiłam co mogłam, żeby przygotować się do ucieczki z Chalox. Zostałam opiekunką archiwum i przyswoiłam sobie kilka technik, wliczając w to implantowanie pamięci. Umieszczałam swoje nazwisko - Kilda c'Rhyn - na wszystkich możliwych listach emigracyjnych, od kiedy tylko władze pozwoliły mi rejestrować się na nich.

To, że okazja do wyjazdu się nie nadarzała, zaczynało mnie niepokoić. W internacie mogłam pozostać jeszcze niecały rok, a potem musiałabym przystosować się do życia w miejscu wybranym arbitralnie przez moich opiekunów. Mogli nawet zmusić mnie, bym wróciła do klanu mojej matki, a to zupełnie mi nie odpowiadało. Tak więc, zrozpaczona, zwróciłam się w

koncu do jednego z moich nauczycieli, ktorego uwazalam za najbardziej zyczliwego.

Lazk Volk byl mieszancem-mutantem. W jego przypadku wymieszanie ras objawilo sie deformacjami, ktorych nawet najbardziej zaawansowana chirurgia plastyczna nie mogla naprawic. Jego umysl mial jednak tak niezwykle mozliwosci, jesli chodzi o uczenie sie i nauczanie, ze Lazk nigdy nie opuscil internatu. Ogromna tasmoteka oraz informacje uzyskiwane od odwiedzajacych go zwiadowcow i innych podroznikow pozwolily mu zdobyc wiedze o wiele rozleglejsza od wszystkich miejscowych bankow pamieci, z wyjatkiem rzadowego.

Poniewaz pod pewnymi wzgledami bylismy do siebie podobni kazde z nas tesknilo bowiem za tym, co bylo mu wzbronione - Lazk Volk i ja zostalismy przyjaciolmi. Od czterech lat pracowalam dla niego jako rejestratorka i bibliotekarka, nim w koncu wyrazilam glosno swoja obawe o to, ze nie mam zadnego wplywu na przyszosc, ktora mnie czeka. Mialam nadzieje, ze byc moze odpowie na to oferta stalego zatrudnienia. Choc tak naprawde nie zaspokajaloby to mego pragnienia podrozy, to jednak, zwazywszy na bogactwo jego wiedzy, bylaby to namiastka najlepsza z mozliwych.

Rozwarl swoje cienkie, podwójne ramiona w typowym dla niego gescie, zwiujajac pozbawione kosci palce nad klawiatura, ktora wyczarowywala wszystko, czego sobie zazyczyl - od kompletnej historii planety Firedrake po opis przyjecia z okazji zaslubin.

Prawie cala jego zniekształcona postac spowijala szata z teczowego materialu bora, zmieniajaca intensywne barwy przy najdrobniejszym poruszaniu. Przypominal w niej grubego walek ustawiony na jednym koncu. Tylko cztery ramiona i stozkowata glowa wskazywaly, ze jest zywa istota.

Przez chwile wysuwal naprzod i cofal wijace sie palce. Potem rozwarl szczeline ust.

-Nie.

-Nie? Dlaczego?

Bylam tak zaskoczona, ze w moim glosie pojawil sie ton pretensji, jaki nigdy dotychczas nie zabrzmial, gdy zwracalam sie do niego.

-Nie zatrudnie cie u siebie. To zbyt latwa droga, Kildo. A ty nie jestes stworzona do wedrowki latwymi szlakami.

Dotknal jednego z wielu przyciskow i moje krzeslo odwrocilo sie, tak ze juz nie spogladalam na niego lecz na sciane, na ktorej znajdowal sie ekran, przypominajacy teraz ogromne lustro.

-Co widzisz? - zapytal.

-Siebie.

-Opisz! - Powiedzial to tonem, jakiego uzywal w kabinach szkoleniowych, kiedy zaczynal ksztaltowac moj umysl w celu zapamietywania i gromadzenia informacji.

-Jestem kobieta. Moje wlosy sa... sa... - zawahalam sie. Ci, ktorzy mieszkali w internacie, tak bardzo roznili sie od mieszancow, ze nie znane byly nam kanony okreslajace zarowno urode, jak i zwyczajna brzydote. Wiedzialam, ze spogladanie na pewne twarze, z uwagi na ich barwe i ksztalt, sprawia mi przyjemnosc. Lecz obca byla mi proznosc i nie mialam pojecia, czy moj wyglad moze byc uwazany chocby za przecietny. - Moje wlosy - podjelam zdecydowanie - sa ciemnobrazowe. Mam dwoje oczu - sa niebieskozielone -jeden nos i usta. Skora jest rowniez brazowa, lecz jasniesza w odcieniu od wlosow. Co do reszty - moje ciało jest humanoidalne i zdrowe. Co sprawia, ze chcesz widziec mnie inna niz taka wlasnie?

-Jestes mloda. I choc wymienilas swe cechy tak otwarcie, Kildo, przekonasz sie, gdy tylko znajdziesz sie poza tymi murami, ze w oczach wiekszosci bedziesz kims nieprzecietnym. I, jak zauwazylas, masz sprawne i zdrowe ciało. Dlatego nie mozesz tego zmarnowac, kryjac sie w cieniu i odwracajac plecami do swiata.

-Chyba bedzie lepiej - zaprotestowalam - zebym zostala tutaj, gdzie jestem szczesliwa, niz wrocila do klanu Forsmanian lub pracowala jako urzedniczka w jakims panstwowym biurze, az stalabym sie tak tepa jak te sciany, ktore nas otaczaja.

-Byc moze. - Skinal glowa. Zaskoczylo mnie, ze tak latwo dopielam swego. On jednak ciagnal dalej: - Lecz wymienilas tylko dwie z mozliwosci, jakie masz. Sa jeszcze inne...

-Malzenstwo z kupcem? - osmielilam sie wyrazic glosno trzecia mozliwosc, nad ktora sie zastanawialam.

-Zeby wykorzystac je do uciezki? Nie sadze, by to byl dobry pomysl. Kupcy, majac tak niewiele kobiet, otaczaja je az nadto troskliwa opieka. Taki zwiazek moglby sie okazac dla ciebie jeszcze bardziej oglupiajacy i uciazliwy niz to, co by cie spotkalo, gdybys zdecydowala sie na ktoras z dwoch pierwszych propozycji. Mamy jednak to...

Musial nacisnac jakis inny guzik, poniewaz na ekranie rozblysko, zamazujac moje odbicie, rzadowe ogloszenie. Byla to jedna z tych ogolnych ofert skierowanych do emigrantow, przejaskrawiony i prawdopodobnie mocno przesadzony wykaz wszystkich wspanialych mozliwosci, jakie odpowiednio wykwalifikowanym ludziom dawaly planety pogrnicza.

-Zapomniales - wtracilam, nie rozumiejac, jak mogl nie wziac tego pod uwage - ze nie jestem uzdolniona manualnie, nie mam przeszkolenia medycznego ani...

-Jestes dzisiaj nastawiona bardzo sceptycznie - powiedzial, lecz w jego glosie nie bylo slychac zniecierpliwienia. - To jest oficjalny rejestr. Istnieja jednak inne sposoby, by dolaczyc do emigrantow, mianowicie jako pomoc domowa dla kogos, kto ma dzieci w wieku szkolnym. Wspomagalas juz nauczycieli w tutejszych klasach. I z pewnoscia twoje umiejetnosci przewyzzaja kompetencje pomocy domowej. To zajecie jest oczywiscie chwilowe, lecz daje ci szanse na emigracje. A na nowym swiecie bedzie wiecej mozliwosci. Na peryferyjnych swiatach obserwuje sie tendencje do rozluzniania obowiazujacych norm - chyba ze grupe emigracyjna stanowi scisle podporzadkowana przywodcy sekta religijna. Moglabys zdobyc tam pozycje, ktora jest nieosiagalna dla osob twojej plci na wewnetrznych planetach.

To, co mowil, mialo sens. Dostrzeglam w tym tylko jedna ryse.

-Moga uznac, ze jestem za mloda.

-Otrzymasz najlepsze rekomendacje. - Powiedzial to z takim przekonaniem, iz musialam uwierzyc, ze przemyslal cala sprawe od poczatku do konca i teraz potrzebna byla jedynie moja zgoda.

-Zatem... zatem... zrobie to!

Zawsze wyobrazalam sobie, ze jesli pojawi sie jakakolwiek mozliwosc opuszczenia Chalox i wzniesienia sie w nieznaną sfera gwiazd, czynnie to bez chwili wahania. Jednak teraz, kiedy powiedzialam, ze to zrobie, cos poruszilo sie niespokojnie w moim wnetrzu. Wygladalo to tak jakbym w momencie, kiedy drzwi zostaly otwarte, byla bardziej swiadoma bezpieczenstwa pomieszczenia, ktorego strzegly.

-Brawo! - Obrocil moje krzeslo ku sobie. - Lecz pamietaj, Kildo, wspomagam cie tylko w pierwszych krokach; dalsza droga zalezy od ciebie. Tyle jednak dla ciebie zrobie. Mianuje cie jednym z moich pozaplanetamych sprawozdawcow. Bedziesz rozwijala swoj talent, nagrywajac dla mnie wszystko, co wedlug ciebie moze wzbogacic te biblioteki.

Poczulam, ze paralizujace mnie napiecie zelzalo nieco. Iskra podniecenia zaplonela w moim umysle. Prawdopodobnie niewiele moglabym dodac do tego bogactwa wiadomosci z tysiecy - setek tysiecy swiatow, informacji, ktore Lazk Volk zgromadzil w swojej bibliotece. Lecz gdyby do tego zbioru zakwalifikowano chocby tylko kilka zdan mojego autorstwa, czulabym sie doprawdy zaszczycona.

-Zatem postanowione - powiedzial rzeskim glosem. - Reszte zostaw mnie. A teraz chce miec szczegolowe streszczenie raportu Ruhkarva w zestawieniu z danymi z Xcothal.

Zaczelam szukac dla niego dwoch tasm zawierajacych dane o zagadkach archeologicznych. I tak, zajmujac sie to jednym, to drugim, spedzilam trzy pracowite dni. Prawde mowiac, bylam tak zaabsorbowana poszukiwaniem zagrzebanych gdzieś tasm - ktorych od lat nikt nie zadal - ze trzeciej nocy, gdy wrocilam do mojego pokoju i z westchnieniem zrzucilam pantofle, wezbralo we mnie podejrzenie, iz Lazk Volk nieustannie przegania mnie z jednego konca archiwum w drugi dla jakichs własnych, ukrytych celow.

Czwartego dnia rano, kiedy zglosilam sie po zlecenia, zastalam go nie jak zwykle otoczonego rzedami kaset, lecz popijajacego kawe z kubka i wpatrujacego sie w ekran z takim napieciem, jakby widniala na nim formuła zbawienia. Spojrzal na mnie ostro, gdy weszlam, a potem dolna prawa reka wskazal spore pudelko na skraju biurka.

-Wez je i wloz na siebie to, co jest w srodku. O dziesiatej masz spotkanie z Gentlefema Guska Zobak. Mieszka w Podwójnej Gwiezdzie.

-Co mam wlozyc...?

-Ubranie. Stosowny stroj, dziewczyno! Wyjdiesz na miasto w tym - wskazal na moj uniform z internatu, jednoczesciowy ubior, zaprojektowany do pracy, a nie po to, by pasowal czy zdbil - i natychmiast stanesz sie osrodkiem uwagi, co, jak przypuszczam, nie obyloby ci na reke.

Przytaknelam i zanoslam pudelko do sasiadujacego z pokojem magazynu. Lecz zawartosc zaskoczyla mnie nieco. Mialam wyjsciowa szate, ktora kilka razy wkladalam, udajac sie do miasta w celu zalatwienia zleconych mi tam spraw. Byla rownie prosta jak uniform i wrecz krzyczala, ze jest strojem organizacyjnym. Tymczasem ten wspanialy stroj z jedwabistego materialu byl zupełnie inny. Widzialam juz takie, ale tylko na corkach wlascicieli ziemskich.

Skadal sie z pary luznych spodni o ciemnej, soczystej barwie dojrzalych sliwek. Gorna czesc stanowila tunika tego samego koloru, lecz z innego materialu, grubego i w dotyku przypominajacego futro. Dlugie rekawy siegaly az za nadgarstki, a od talii do gory biegł podwojny rzad srebrnych zapinek. Tunike spinal ciasno pas z tego samego metalu.

Wlosy mialam znacznie krotsze od wlosow kobiet mieszkajacych w miescie. Lecz moja glowe okrywal dlugi welon ze srebrzystej koronki, z otworami na oczy obwiedzionymi blyszczacym materialem, z przodu siegajacy pasa, z tylu zas bioder. W takim stroju bylam jak zamaskowana i z pewnoscia zaden ze znajomych studentow nie rozpoznalby mnie.

Kiedy wrocilam do Lazka Volka i katem oka uchwycilam moje odbicie w lustrzanym ekranie, zdumialo mnie ono tak, ze wydalam z siebie zduszone westchnienie. Lazk skinal glowa i podal mi plakietke identyfikacyjna.

-Doskonale. - Zaaprobował moje przebranie, bowiem czulam, ze taka wlasnie role ma pelnic ten stroj. - Gentlefema Zobak leci na planete Dylan. Ma dwoje dzieci, syna i corke, oboje sa jeszcze mali. Matka stara sie o pomoc domowa, jako ze jej zdrowie nie jest najlepsze. Maz Gentlefemy otrzymal skierowanie na Dylana tylko czasowo - na jakies dwa miejscowe lata, jak przypuszczam. Nie sadze, zeby Zobakowie zostali tam dluzej. Lecz ich pozycja pozwala im na zadanie dodatkowych przywilejow i jesli ich zadowolisz, byc moze otworza przed toba inne drzwi. Lepiej juz idz. Nie mozna pozwolic, zeby Gentlefema czekala.

Byc moze ja nie moglam pozwolic sobie na to, by moja potencjalna pracodawczyni czekala, lecz gdy dotarlam do Podwojnej Gwiazdy stalo sie oczywiste, ze jej to nie dotyczy. Zaprowadzono mnie do pokoju przyjec. Siedzialy tam dwie kobiety w charakterystycznej postawie tych, ktorym kaze sie czekac. Poniewaz wszystkie przestrzegalysmy zwyczaju zakazujacego zdejmowania welonu przy obcych, widzialam tylko ich stroje, podobne do mojego, lecz rozniace sie barwa i materialem. Dla zabicia czasu staralam sie odgadnac, kim sa moje konkurentki.

Stroj pierwszej byl rdzawobrazowy. Na welonie dostrzeglłam dwie cery. A rece (rekawy jej tuniki byly znacznie krotsze od moich) miala czerwone i szorstkie, jakby wykonywala jakas ciezka prace. Odnioslam wrazenie, ze jest zapracowana kobieta w srednim wieku. Druga, siedzaca naprzeciwko mnie, nosila sie na niebiesko, lecz bylo cos tandetnego w zbyt ekstrawaganckim kroju tuniki. Rekawy siegajace koniuszkow palcow mialy chyba sugerowac wysoka pozycje wlascicielki, ktora nie musi wykorzystywac rak do pracy. Pasek materialu obrebajacy otwory na oczy w jej welonie byl nie tylko blyszczacy, ale tez tak szeroki, ze mogli oslepic patrzacego.

Zapracowana kobieta wezwano pierwsza i nie pojawila sie juz wiecej; potem przyszla kolej na moja krzykliwie przystrojona towarzysze, ktora rowniez nie wrocila. Domyslilam sie, ze wychodzi sie innymi drzwiami. W koncu robot-sluzacy skinal w moim kierunku.

Luksus pokoju, do ktorego weszlam, odpowiadal standardowi pomieszczen karawanseraju. Lecz jego obecna mieszkanka wprowadzila do niego kilka wlasnych elementow. Lezala na lozku wsparta o uniesione wezglowie, z rozrzuconymi przed soba rozmaitymi przedmiotami, sluzacymi albo rozrywce, albo pielegnacji ciala.

Grzecnie odsunelam welon, by spojrzec jej w oczy. Byla drobna i z wygladu bardzo delikatna. Jej wlosy, zgodnie z obowiazujaca moda, zostaly najpierw odbarwione, a potem nasycone jaskrawa zielenia, ostro kontrastujaca z bladoscia skory. Wiedzialam z telewizji, ze jest to szczyt elegancji.

Choc w pokoju znajdowaly sie dwa fotele wypoczynkowe dla wygody mieszkancow, ona wskazala mi pozbawiony oparcia puf w poblizu lozka i dluga chwile wpatrywala sie we mnie bez slowa. Jej usta wykrzywialy sie w grymasie rozdraznienia, a rece rzadko spoczywaly nieruchomo, przebierajac wsrod lezacych przed nia przedmiotow, choc nigdy nie patrzyla na to, co wlasnie chwycila, ani nie trzymala tego dlugo.

-Jestes Kilda c'Rhyn.

Nie bylo to pytanie, a raczej stwierdzenie, takie, jakie wypowiada czlowiek nazywajac jakis przedmiot - gdybym przypadkiem nie byla Kilda, uczynilaby mnie nia. Zastanawialam sie, czy mialo mnie to zbic z tropu, czy zawsze uzywala takiego tonu wobec starajacych sie o prace.

-Tak jest, Gentlefemo.

Potraktowalam jej stwierdzenie jako pytanie i udzielilam odpowiedzi.

-Przynajmniej jesteś młoda. - Wciąż wpatrywała się we mnie. Z rekomendacji wynika, że masz dobre przygotowanie jako nauczycielka. Przebywałaś w internacie. ...- W jej głosie usłyszałam teraz ciekawość, jakby moja przeszłość zainteresowała ją nieco. - Zdasz sobie sprawę, że ta praca jest tylko czasowa. Musimy udać się na ten okropny peryferyjny świat na rok, może dwa, ponieważ mój mąż otrzymał tam skierowanie. Dobrze znosisz podróże kosmiczne?

Coż mogłam jej na to odpowiedzieć, jeśli dotychczas nie miałam okazji lecieć żadnym statkiem? Ale nie sądzę, by ja to naprawdę interesowało, ponieważ ciągnęła dalej:

-Ja znoszę je fatalnie, naprawdę. Zaraz klade się do snu, natychmiast po starcie. Ale Bartare i Oomark nie mogą spać przez całą podróż - są ciekawymi wszystkiego dziećmi. Będiesz musiała zaopiekować się nimi podczas okresów czuwania. Nie wiem... jesteś taka młoda... - Fakt, który wcześniej raczej ją ucieszył, teraz zdawał się budzić wątpliwości. - Bartare jest trudna, bardzo trudna. Musi mieć kogoś, kto ją pokieruje. Jej poziom nauczania zbliża się do osmego stopnia i będzie wzrastał, tak nam powiedziano. Musisz stymulować ją mentalnie, żeby wywołać ten postęp. Skoro jednak zostałaś przeszkolona w internacie, powinnas wszystko o tym wiedzieć. A ja nie mam czasu ani siły, żeby spotykać się z kolejnymi ponurymi albo nieodpowiednimi kobietami. Ty musisz wystarczyć.

Było oczywiste, iż uważa, że wyłącznie od jej decyzji zależy ostateczne załatwienie sprawy. I choć w wypowiedzianych przez nią słowach usłyszałam zapowiedź przyszłych zadań i pretensji, wiedziałam, że Łazek Volk miał rację. To są prawdopodobnie jedyne drzwi, które mogły otworzyć się przede mną, i tylko przejście przez nie dawało mi nadzieję na inną przyszłość.

Kiedy wyraziłam swoją zgodę, zignorowała ją. Zamiast tego poinstruowała mnie, gdzie się z nimi spotkam. I wtedy dowiedziałam się, że do startu mam tylko dwa dni. Nie było mi to na rękę, lecz zanim zdążyłam zaprotestować, wydała ostatni rozkaz.

-Robot-służący zaprowadzi cię do pokoju dzieci. Powinnas je poznać, a i one muszą cię zobaczyć. Tedy, i pamiętaj - o jedenastej na Siedmiu Nocach Dnia.

Nim zdążyłam pożegnać się z nią oficjalnie, robot-służący wyprowadził mnie z pokoju i dalej na korytarz. Tam przystanął przed jakimiś drzwiami i zaanonsował swoje przybycie, lecz nie czekał na zezwolenie, by wejść. Wydawało się, że Gentlefema Zobak traktuje swoje potomstwo równie bezceremonialnie jak pracowników. Posłano mnie, bym zobaczyła dzieci, i żeby one mnie zobaczyły, i to wszystko.

To, że uczyłam dzieci w internacie, było prawdą. Tylko że tam zawsze panowała dyscyplina i rygor. Uczniów poddawano najstaranniejszej selekcji, a mających problemy z osobowością lub temperamentem kierowano gdzie indziej na specjalistyczną terapię. Dzieci, które ja uczyłam, były dobre i posłuszne, przywykłe do stawianych im wymogów. Znalłam wyłącznie zdolne dzieci, pragnące nauczyć się, jak najlepiej wykorzystywać swoje mózgi. Tak więc napomnienia mojej pracodawczyni, że należy zachęcić jej córkę do zwiększenia wysiłków, brzmiały sensownie i znajomo. Lecz kiedy weszłam do pokoju, jakiś instynkt ostrzegł mnie, że nie będzie to przypominało owego zaledwie formalnego nadzoru w klasach internatu.

Pokój urządzony był równie luksusowo, jak salon zajmowany przez ich matkę, i najwyraźniej pełnił rolę bawialni. Na stole pod lampą leżało mnóstwo drobnych przedmiotów, takich jak te, które zasmiecały łóżko Gentlefemy. Jeden z nich zdawał się tak interesować dzieci, że żadne nawet nie uniosło wzroku, by spojrzeć na niego.

Bartare była drobna, szczupła i delikatna, jak jej matka, lecz z pewnością nie ospała. Przeciwnie, jej małe, chude ciało wyrażało tak skoncentrowane napięcie, że przypominało mi to niepokojące stany skupienia, jakie widywałam niekiedy u Łazka Volka. Twarz, zakończona malenkim, ostrym podbródkiem, okalały włosy spięte srebrnymi spinkami, które łśniły tym bardziej, że za tło miały kruczczarny kolor. Wyraźnie zarysowane brwi, zbiegające się nad nosem, tworzyły grubą linię na czole. Oczy ocieniały niezwykle gęste rzęsy, niemal tak czarne jak włosy. W przeciwieństwie do tego skóra miała bladą, bez śladu rumieńca na policzkach, i tylko wargi zaznaczały się lekkim różem.

Ubrana była na ciemnozielono, dziwny kolor dla dziecka, jednak odtąd ta barwa już zawsze kojarzyła mi się z Bartare. Paskiem identycznego materiału owijała właśnie jeden z rzeźbionych posazków, takich, jakie wiesniacy stawiają w kuchniach dla ochrony przed siłami ciemności. Tyle że ten posazek, pierwotnie bardzo prymitywny, został "ulepszony". Jego głowę owinięto łśniącymi drutami, aby utworzyć koronę.

Temu, jak Bartare odziewa w szaty posazek, przyglądał się jej brat Oomark. Choć młodszy, był od niej wyższy i więcej na szerokość palca, dobrze zbudowany i krzepki. Jego twarz wciąż oznaczała się dziecięcą krągłością, a teraz widniał na niej dziwny wyraz, jakby to, co robiła jego siostra, równocześnie fascynowało go i tworzyło - doprawdy niezwykle wyraz u kogoś, kto przygląda się ubieraniu lalki.

Spojrzał na mnie. Potem pochylił się i dotknął ramienia siostry, niemal bojaźliwie, dając do zrozumienia, że boi się jej, a jednak wie, że musi oderwać jej uwagę od tego, co akurat robiła.

-Spojrz, Bartare... - Wskazał mnie palcem.

Bartare uniosła głowę. Spojrzenie dziewczynki było głębokie, badawcze, i w jakiś sposób niezmiernie wytracające z równowagi. Doznałam niemal takiego wstrząsu, jakbym natknęła się, pod zewnętrzna powłoka dziecka, na coś starego, władczyego, i nieco złośliwego. Lecz wrażenie to ustąpiło niemal natychmiast. Bartare położyła łalke z uwagą osoby odkładającej na bok ważny fragment twórczego własnie dzieła i odsunęła się od stołu, by wykonać jeden z tych dygów, uznawanych przez dzieci z jej klasy społecznej za uprzejme powitanie.

-Jestem Bartare, a to jest Oomark.

Głos brzmiał czysto i przyjemnie. Dopiero gdy rzuciła mi niespodziewane spojrzenie spod tej ciemnej krechy brwi, poczułam powiew chłodu.

-Jestem Kilda c'Rhyn - odpowiedziałam. - Wasza matka poprosiła mnie...

-Zebys nas zobaczyła i pozwoliła nam zobaczyć ciebie. Wiem. Skinęła głową. - To oznacza, że jesteś tą osobą, która poleci z nami na Dylana. Myśle... - Zawahała się, a potem użyła wyrażenia, które wydało mi się raczej dziwne. - Myśle, że będziemy sobie odpowiadać.

Odniosłam wrażenie, że słowo "będziemy" zostało wypowiedziane z naciskiem, który wyrażał wątpliwość i mógł być ostrzeżeniem.

Niewiele pamiętam z tego, o czym rozmawialiśmy podczas tamtego pierwszego spotkania. Po tym, jak poinformował siostrę o moim przyjeździe, Oomark nie odezwał się już ani słowem. Z zachowania jego siostry wynikało natomiast, że ma ona nie tylko znakomite maniery, ale także jest bardziej wyrobiona towarzysko i inteligentniejsza. Bartare... coż, mogłam ocenić ją tylko pozytywnie. A jednak przez cały czas, kiedy rozmawialiśmy, zachowywałam rezerwę, czułam się zakłopotana, jakbysmy obie udawały.

Widziałam niegdyś sztukę teatralną z innego świata, utrwalona na jednej z taśm Łazka Volka. Aktorzy i aktorki występowali z ozdobnymi, obrzędowymi maskami osadzonymi na długich uchwytych. Mieli po kilka takich masek, przymocowanych cienkimi lancuszkami do pasa. Gdy przychodziła kolej na ich kwestie, wybierali te czy inną maskę i trzymali ją przed sobą, ale nie tuż przed twarzą, deklamując swoją rolę. Przypomniało mi się to wtedy, bowiem odniosłam wrażenie, że Bartare i ja też nałożyliśmy maski, i że to, co kryje się za tymi maskami i nasza uprzejma, zdawkowa rozmowa, jest czymś zupełnie innym.

A jednak nie byłam aż tak zaniepokojona, by nie przyjąć proponowanej mi posady. Prawde mówiąc, gdy stłumiłam to początkowe uczucie niepokoju, stwierdziłam, że Bartare intryguje mnie. Przyszło mi do głowy, że czas, jaki mamy spędzić razem, może być interesujący dla nas obu. Uznałam też, że Oomark pozostaje w cieniu siostry, i że okazanie mu szczególnej troski dobrze by na niego wpłynęło.

Tak czy inaczej, wróciłam do internatu zadowolona z umowy, jaką pomógł mi zawrzeć Łazek Volk, zdecydowana przeciąć więzy łączące mnie z dotychczasowym życiem i wlecieć ku nowemu.

Rozdział drugi

Pozegnania w internacie zajęły mi niewiele czasu. Oprócz Łazka Volka bliższe stosunki łączyły mnie tylko z kilkoma osobami. Na skutek jego zabiegów pozostałam w internacie o rok dłużej niż inni z mojej grupy wiekowej, i, jak już powiedziałam, zbliżyłam się niebezpiecznie do chwili, kiedy byłabym zmuszona opuścić to miejsce, czy tego chciałabym, czy nie. Wyplacono mi odprawę, połowę w strojach przydatnych podczas pobytu na Dylanie, resztę zaś w postaci niewielkiej kwoty kredytów, którą zachowałam w całości, widząc w niej zabezpieczenie na wypadek jakiegos nieszczęścia. Ostatnie godziny spędziłam z Łazkiem Volkiem. Został upoważniony do przekazania mi rejestratora, tak bym mogła sporządzać sprawozdania. Lecz nie mianowano mnie oficjalnym przedstawicielem. Władze nie wyraziłyby na to zgody. Wiedziałam jednak, że gdyby ktos z moich sprawozdań przekazanych Volkowi zostało przez niego uznane za przydatne, wzmocniłoby to moją pozycję, i, być może, pomogłoby w znalezieniu kolejnej pracy.

Jednak przestrzegł mnie, bym nie trwonila otrzymanych od niego taśm na byle co, i rejestrowała tylko rzeczy najważniejsze. Uświadomiłam sobie wtedy, że mając ich tak niewiele, będę musiała zmieścić na nich sporo materiału. Ilość bagażu osób podróżujących statkami kosmicznymi jest ściśle określona i gdybym zmarnowała taśmy, które miałam ze sobą, nie mogłabym oczekiwać kolejnych dostaw - przynajmniej dopoty, dopoki nie przekazałabym nagrania z tak wartościowymi informacjami, że zagwarantowałyby mi to przesłanie następnych.

Zapytał mnie, co sadze o moich podopiecznych, a ja odpowiedziałam nieco wymijajaco. Byłam niemal pewna, że Bartare rokuje duże nadzieje jako uczennica. Sam Oomark potrzebowałby ze strony nauczyciela mniejszego zaangażowania. I właśnie w stosunku do jego siostry użyłam określenia "wymagająca". Wiedziałam, że Lazk Volk zauważył moją powściągliwość, jednak nie skomentował tego.

Z rodziną Zobaka spotkałam się dopiero przed samym wejściem na statek. Gentlefema spowijała grube faldy podróżnej peleryny, lecz Bartare stała z odrzuconym kapturem płaszcza, wpatrując się w statek, jak gdyby przedstawiał sobą jakiś problem. Oomark w podnieceniu rozglądał się wokół siebie, bez reszty pochłonięty tym, co robi załoga.

Kiedy podeszłam, Gentlefema odwróciła się ku mnie, choć nie mogłam dojrzec jej twarzy ukrytej pod welonem. Głos miała jeszcze bardziej rozdrażniony niż to zapamiętałam z pierwszego spotkania.

-Spóźniłaś się. Za chwilę wchodzimy na pokład...

-Przepraszam - odpowiedziałam. Po naszym pierwszym spotkaniu postanowiłam sobie, że nie będę się usprawiedliwiała ani udzielała wyjaśnień. Stwierdziłam, że należy do tych osób, które uznają tylko jedną odpowiedź - swoją własną. Walka z czymś takim byłaby tak samo skuteczna, jak próba wzniesienia wieży z suchego piasku. Lepiej nawet nie próbować.

-Oczekuje punktualności... - zaczęła, kiedy kilka kroków od nas opadła platforma towarowa i stojący na niej ochmistrz statku, który kierował załadunkiem, przywołał nas skinieniem.

-Nienawidzę tego całego zamieszania!

Zaciśnęła dłoń na mojej ręce tak mocno, że gdy wchodziliśmy na platformę wraz z dziećmi, właściwie podtrzymywałam ją. Nie zwolniła bolesnego uchwytu podczas jazdy w górę, dopóki nie znaleźliśmy się w łuku. Muszę przyznać, że jazda na rozkołysanej platformie mnie również nie sprawiła przyjemności.

Gdy znaleźliśmy się w środku, odnotowano nas na liście pasażerów i Guska odeszła, wciąż opierając się ciężko, lecz tym razem na stewardesie, która miała ułożyć ją do głębokiego snu podróżnego. Mnie z dziećmi odprowadzono do małej kabiny i poddano zabiegowi częściowego uspiania.

Zarobiłam pieniądze, które Gentlefema Zobak przeznaczyła na moje wynagrodzenie, i zarobiłam je uczciwie podczas tej właśnie podróży, ponieważ w okresach czuwania dzieci znajdowały się wyłącznie pod moją opieką. Staralam się nawiązać z nimi dobre stosunki i myślałam, że w przypadku Oomarka udało mi się to. Wyraźnie było widać, że nie jest tak błyskotliwy jak jego siostra i zdecydowanie chętniej wykonywał wszelkie polecenia. Nie oznacza to, że Bartare nie słuchała mnie. Prawdę mówiąc, grzecznie współpracowała ze mną, a czegoż więcej można wymagać od dziecka? Jednak teraz nie odstępowało mnie już wrażenie, iż Bartare nosi maskę i gra jakąś rolę, tak że wciąż czekałam na ujawnienie tego, co naprawdę kryło się za jej słowami i czynami. To uczucie drażniło mnie tak bardzo, że musiałam tłumaczyć zniecierpliwienie i irytację.

Kiedy po raz ostatni przed całkowitym przebudzeniem i lądowaniem na Dylanie pograzałam się we śnie, zagadka Bartare dalej pozostawała nie rozwiązana. Lecz teraz potraktowałam ją jako wyzwanie, choć wiedziałam, że muszę postępować bardzo ostrożnie, rezygnując z wszelkich prób zmuszenia dziewczynki do jakichkolwiek wyznań.

Choć dzięki bibliotece Lazka Volka moje wiadomości o innych planetach były rozległe i prawdopodobnie bogatsze, niż wiadomości typowych podróżnych, to jednak Dylan był pierwszym innym światem, który odwiedziłam osobiście. Stąd też brało się moje podniecenie, kiedy opuszczaliśmy się na platformie ku ziemi.

Znajome niebo Chaloxu miało zielonkawe zabarwienie i człowiek wierzył, iż jest to jedyna naturalna barwa nieboskłonu. Lecz tutaj niebo było błękitne, przecięte masami białych chmur. Spędziłam trochę czasu w bibliotece statku, ślecząc razem z dziećmi nad taśmami zawierającymi informacje o Dylanie.

Dylan został zlokalizowany jakieś sto lat wcześniej, i to w dość dziwny sposób, bowiem przez zamiar automatycznego sygnału S.O.S., choć statku, który go wysłał, nigdy nie odnaleziono. Był planetą typu Arth. Odkryto na nim niezmiernie zagadkowe artefakty sugerujące, iż ongi zamieszkiwali go albo tubylczy mieszkańcy, albo też kolonisci jednej z ras Przybyszów. Właśnie po to, by uzyskać dowody potwierdzające jedną z tych hipotez, przysłano tu meza Guski Zobak. Nie był archeologiem, tylko przedstawicielem rządu, upoważnionym do nadawania wykopaliskom statusu strefy chronionej, o ile o coś takiego wnosili eksperci.

Dylan miał tylko dwa miasta. Tamlin był portem, w którym wylądowaliśmy; drugie miasto, położone po przeciwległej stronie planety, gdzie również mogły lądować statki kosmiczne, nazywało się Toward. Żadne z nich nie było duże. Na Dylanie dominowało rolnictwo, jego zachodni kontynent stanowiła kraina otwartych równin. A ze miejscowa fauna była bardzo uboga, równiny te dostarczały paszy dla sprowadzanych z innych światów zwierząt gospodarczych i drobiu. Wschodni kontynent, w centrum którego leżał Tamlin, wykorzystywano pod uprawę winorośli i owoców husard, będących

luksusowym towarem eksportowym.

Uprawy te wymagały jednak specjalnych typów gleby i melioracji, plantacje leżały zatem z dala od siebie, przedzielone obszarami dziczy. Odległości te i tak nie miały znaczenia, ponieważ wszystkie farmy i osady łączyła sieć komunikacji powietrznej.

Budynki Tamlinu nie przypominały zabudowy dawno zamieszkanego świata. Były bardzo do siebie podobne, ponieważ wzniesiono je według projektów opracowanych na innych planetach, a ich segmenty montowały roboty. Domy dawały się odróżnić tylko dzięki posadzonym wokół nich roślinom. Oko cieszyło tutaj nie tylko okazy rodzimej flory, lecz również pienie się bujnie egzotyczne ziele z innych światów.

Kiedy zeszliśmy z platformy, zbliżyło się do nas kilka osób, by powitać nowo przybyłych. Mężczyzna, który podszedł do Gentlefemy Guski, z pewnością nie był podobny do tego z hologramu, pokazanego mi przez dzieci i przedstawiającego ich ojca. Ten był o wiele starszy i miał na sobie mundur urzędnika kapitanatu portu.

-Gdzie jest Konroy? - zapytała go Guska. - Z pewnością jego obowiązki nie były aż tak nagłe, by nie mógł nas tu powitać!

-Droga Gusko! - Oficer ujął jej dłoń w swoją. - Dobrze wiesz, że Konroy byłby tutaj, gdyby mógł. Chodzi o to...

-On nie żyje!

Słowa Bartare podziałały na nas jak sygnał zwiastujący rozpoczęcie wojny, bowiem wszyscy skamienielismy na chwilę, która zdawała się rozciągać w nieskończoność.

Bartare postąpiła krok naprzód i uniosła głowę, spoglądając na oficera.

-Przecież to prawda - podjęła. - Czemu więc nie można tego powiedzieć?

Zobaczyłam jak na twarzy oficera zdumienie ustępuje miejsca zaskoczeniu i zrozumiałam, że Bartare powiedziała prawdę.

-Ale skąd... - zaczął z oszołomieniem w głosie.

-Nie żyje!

Guska wydała okrzyk, któremu zawtorował nieco słabszym głosem Oomark, i osunęła się w ramiona oficera. Wtedy poruszyłam się, wyciągając ręce do dzieci. Chłopiec odwrócił się i objął mnie mocno, kryjąc twarz w fałdach mojego podróżnego płaszcza.

Bartare strzasnęła moją dłoń ze swego ramienia i stała cicho, a z jej drobnej, bladej twarzy nie można było nic wyczytać.

Po chwili osłupienia zapanował wokół nas rozgardiasz. Oficer zaniósł nieprzytomną Guskę do stojącego opodal samochodu, nas zaś dwaj młodzi mężczyźni z ochrony kosmoportu zaprowadzili do innego. Oomark wciąż trzymał mnie w rozpaczliwym uścisku, a Bartare zachowywała się z rezerwą, jakby była tylko widzem i to w dodatku nieco wzdurliwym. Wydawała mi się w owej chwili obca, wzbudzająca obawę, jak jakaś nieznaną formą życia, która należy traktować z najwyższą ostrożnością.

Zakwaterowano nas w jednym z rządowych pensjonatów, gdzie udało mi się przekonać Oomarkę, by pozwolił mi wyjść i znaleźć kogoś, kto mógłby powiedzieć, co się wydarzyło. Kiedy wróciłam do dzieci, zobaczyłam Oomarkę stojącego przed siostrą z wykrzywioną gniewem i zapłakana twarz.

-Ty... ty wiedziałas! I nic ci to nie obchodzi! - wykrzyknął oskarżycielsko.

Przystanęłam tuż przed drzwiami. Pomyslałam, że może uzyskać odpowiedź, której Bartare nie udzieliłaby w mojej obecności.

-Powiedziała mi. Jego czas się skończył. I... nie jest nam potrzebny - już nie.

-Ona jest zła! - Czerwona twarz chłopca zbliżyła się do bladej twarzy jego siostry. - Słuchasz jej, a ona mówi ci złe rzeczy! Złe... złe...

Wówczas po raz pierwszy zobaczyłam, jak Bartare traci opanowanie. Wymierzyła Oomarkowi policzek tak mocny, że aż

zakolysala sie jego glowa, a na twarzy pozostal slad dloni.

-Zamilcz! - Nie panowala nad glosem. - Sam nie wiesz, co mowisz. Nie masz pojecia, ile mozesz zepsuc przez samo takie gadanie. Zamilcz, glupcze!

Odwrocila sie od niego, a on stal, przestraszony i drzacy, z twarza mokra od lez, ktorzych nawet nie staral sie otrzec. Kiedy weszlam do pokoju, rzucil sie ku mnie i przytulil tak jak przedtem, pragnac znalezc pocieche bardziej w dotyku niz w slowach. Bartare pozostala przy oknie, zwrocona do nas plecami. Ale w jej postawie bylo cos, co wywolalo we mnie dziwne wrazenie, ze slucha czegos uwaznie, i nie sa to dzwieki, ktore ja moglabym uslyszec.

Uznanam, ze lepiej bedzie zostawic ja sama na jakis czas. Ten urywek rozmowy, ktory podslychalam, nie dawal mi spokoju. Kim byla owa "ona", o ktorej wspominali? Przeciez na statku, jak i przez te krotka chwile po wyladowaniu, zanim podszedl do nas oficer, dzieci bez przerwy byly ze mna. Ja zas nie przekazalam Bartare takich informacji, i z pewnoscia nie uczynila tego jej matka. Zatem, jak sie tego dowiedziala - i od kogo?

I ta uwaga o ojcu: "Jego czas sie skonczyl. Nie jest juz nam potrzebny".

Pragnelam porozmawiac z kims o tym, co uslyszalam, poprosic o rade. Uwazalam sie za doskonale przygotowana i samodzielna po przeszkoleniu w internacie. Jednak tutaj poczulam sie nagle tak bezradna jak dziecko rozpoczynajace pierwsza klase, tym bardziej, ze nie bylo nauczyciela, do ktorego moglabym zwrocic sie o pomoc.

Nie pozostawiono nas dlugo samych, bowiem zlozil nam wizyte ten sam urzednik, ktory zabral Guske. Przyprowadzil ze soba zone, kobiete o milej twarzy, ktora natychmiast zajela sie dziecmi, podczas gdy on odcignal mnie na bok, zeby porozmawiac.

Dowiedzialam sie, ze Konroy Zobak zginal w wypadku, kiedy jego smigacz dostal sie w zasieg niespodziewanej, gwałtownej burzy. Natychmiastowy powrot jego rodziny na Chalox nie byl mozliwy, choc tego wlasnie zazadala Guska, gdy odzyskala przytomnosc. Niestety liniowiec, ktorym przylecielismy, wyruszal dalej w rejs okrezny i do naszego ojczystego swiata mial powrocic dopiero za kilka lat. W rezultacie musielismy pozostac na Dylanie, dopoki nie nadarzy sie inna okazja - ale kiedy moglo to nastapic, tego moj informator, komendant Piscov, nie umial mi powiedziec.

Dowiedzialam sie tez, ze zaoferowal nam goscine u siebie, lecz Guska uparla sie, by zamieszkac w domu przygotowanym przez jej meza. Nie podobalo mu sie to, lecz musial sie zgodzic. Chcial, zebyśmy pozostali w kontakcie, i zebym dzwonila do niego, ilekroć bede czegos potrzebowala.

Nie potrafilam zrozumiec, dlaczego Guska chce byc sama. Uwazalam ja bowiem za osobe, ktora w przypadku jakichkolwiek klopotow natychmiast szuka wsparcia, tak fizycznego, jak i duchowego. Komendant powiedzial, ze poslal do Guski pielegniarke, ktora miala jej towarzyszyć przez jakis czas. Odetchnelam z ulga na mysl, ze nie bede musiala opiekowac sie nia tak samo jak dziecmi.

Kiedy mi juz to wszystko powiedzial, obrzucil mnie taksujacym spojrzeniem, tak przenikliwym, ze az poczulam sie nieswojo, choc wiedzialam, ze mam czyste sumienie.

-To ty powiedzialas malej o smierci jej ojca? - zapytal.

-Jakze moglabym? Sama nic nie wiedzialam. Czy zawiadomiles o tym statek przed ladowaniem?

Potrzasnal glowa, a zmarszczki na jego czole pogleblily sie.

-Prawda... skad moglabys wiedziec? Zameldowano mi o wszystkim dzis rano, gdy odnaleziono smigacz. Wiedzialo o tym tylko pare osob. Ale skad ona... Moze jest esperem?[1]To bylo logiczne, choc nigdy nie slyszalam, by esper w tak mlodym wieku potrafil ukryc swoje zdolnosc.

-Nikt mi o tym nie wspomnial, a dane w jej karcie tez tego nie potwierdzaja.

-Znane sa przypadki naglych aktywacji - rzekl z namyslem. Wstrzas moze pobudzic uspione zdolnosc. Porozmawiam o tym z parapsychologiem, a on skontaktuje sie z toba.

Skinelam glowa z uczuciem ulgi. Kto moglby udzielic mi lepszej pomocy niz kwalifikowany parapsycholog? A zatem komendant rozwiadal zagadke dziwnej wiedzy Bartare, a moze nawet niepokoju, jaki we mnie budzila. Jesli byla utajonym esperem, to parapsycholog potrafilby to wyczuc w okresach podwyzszonej aktywnosci. Wstrzas mogl wyzwolic jej moc.

Gdy szlam za dziecmi i zona komendanta do samochodu, zaczelam jednak dostrzegac luki w tej teorii. Po pierwsze,

Bartare nie przebywała na tym świecie, kiedy zginął jej ojciec, i nigdy nie zaobserwowałam między nimi takiej więzi mentalnej, która mogłaby wywołać wstrząs z chwilą jego śmierci. I co z tą kobietą, o której rozmawiali dzieci? To, co usłyszałam, każe mi sądzić, że mowa była o kims trzecim, o kims, kogo Bartare traktowała jako przyjaciela, zaś Oomark odnosił się do tej osoby z mieszaniną strachu i przerażenia. Kim była ta "ona"? Z całym przekonaniem mogłam tylko stwierdzić, że tego ranka "ona" nie była widzialnym członkiem naszego towarzystwa.

Widzialny towarzysz? Dlaczego moje myśli sięgnęły po to szczególne słowo - tak jakbyśmy mogli mieć niewidzialnych towarzyszy! Wymierzyłam sobie coś w rodzaju psychicznego klapsa. Jak często zauważał Łazek Volk, mój pragmatyzm nie pozwalał na gre wyobraźni. Rozumowanie musi opierać się na faktach. Jednak w tym przypadku fakty prowadziły do bezsensownych wniosków.

Dom, który Konroy Zobak przygotował dla swej rodziny, leżał na peryferiach miasta, w dzielnicy zamieszkałej głównie przez urzędników państwowych i wysokiej rangi gości. Jak wszędzie domy były tu bardzo do siebie podobne, parterowe, wzniesione wokół otwartego wewnętrznego dziedzinca, na który można było wyjść z każdego pokoju.

Posrodku podwórza znajdowała się sadzawka, pod ścianami zaś barwiły się dobrze utrzymane grządki kwiatów i ozdobnych krzewów, każda otoczona niskim murkiem. Płyty z kolorowego kamienia i kryształu, ułożone w różnobarwne wzory, tworzyły nawierzchnię dziedzinca. Kiedy szliśmy za robotem dzwigającym nasze bagaże na płaskim grzbiecie, spostrzegłam nagle, że Bartare kroczy po tym wzorze w dziwnych podskokach, starając się za każdym razem dotknąć stopą kawałek kryształu. Wpatrywała się we wzór z takim nateżeniem, że obserwator mógł nabrać przekonania, iż pochłonięta jest niezmiernie ważnym zadaniem.

Potem poderwała głowę i rozejrzała się szybko wokół siebie, jak gdyby sprawdzając, czy nikt na nią nie patrzy. Nasze spojrzenia skrzyżowały się na ułamek chwili. Bartare odwróciła się i ruszyła dalej normalnym krokiem, nie zwracając uwagi na to, po czym maszeruje. Lecz ja wiedziałam, że spostrzegła mój wzrok. Znowu poczułam niepokój i ponownie zapragnęłam porozmawiać o tym z kims mądrzejszym ode mnie.

Trzy pokoje przygotowane dla dzieci i dla mnie znajdowały się w głębi dziedzinca. Te przeznaczone dla Guski, w których miała zamieszkać z pielęgniarką, mieściły się po prawej stronie. Cztery pokoje leżące na lewo od wejścia mieściły bibliotekę i biuro Konroya Zobaka, jadalnię z niszą kuchenną i aneks gospodarski.

Do każdej sypialni przylegała mała łazienka. Komus, kto przywykł do luksusu panującego na planetach wewnętrznych, mogło się wydawać, że jest to dom nieprzytulny, zaprojektowany wyłącznie z myślą o funkcjonalności. Ja jednak uważałam, że jest miły. A otwarty dziedziniec zapewniał przyjemne miejsce do wypoczynku. Moim zdaniem dom był o wiele wygodniejszy od zatłoczonych kwater, w których mieszkałam przez całe życie.

Miałam dość zajęcia, umieszczając dzieci w ich nowych siedzibach, a potem udzielając pomocy pielęgniarce, towarzyszącej Gusce. Zonie Konroya podano środki uspokajające, tak że ruszała się jak we śnie i apatycznie wykonywała polecenia pielęgniarki. Ta ostatnia zwierzyła mi się w tajemnicy, że Guska zareagowała atakiem histerii na sugestie, by pozostała z rodziną komendanta. W tej sytuacji lekarz uznał, że lepiej będzie pozwolić jej, by zrobiła to, co chce, i mieć nadzieję, że spokój tego domu wpłynie na nią kojąco.

Gdy położyliśmy Gentlefeme do łóżka, z miejsca zapadła w głęboki sen. W przekonaniu, że nic nie zakłóci jej spokoju, razem z pielęgniarką zabraliśmy się do rozpakowywania i układania jej rzeczy.

Zamówiliśmy posiłek u służącego-roboty i stwierdziliśmy, że jedzenie jest smaczne. Oomark jadł z wielkim apetytem; zauważyłam też, że Bartare, która zwykle dziobała jedzenie i mitrezyła czas nad talerzem, dopisuje apetyt niemal tak znakomity, jak jej bratu. Wylądowaliśmy wczesnym popołudniem. Teraz ciemności zaczynały gestnieć, zaproponowałam więc, żeby dzieci poszły do łóżek.

I znowu przyjemnie zaskoczyło mnie to, że żadne z nich nie zaprotestowało, a wręcz przeciwnie - odniosłam wrażenie, iż chętnie na to przystały. Otulając Oomarkę posciela, zdumiałam się jeszcze bardziej, kiedy chłopiec chwycił moją rękę i ścisnął ją mocno, a potem spojrzał mi prosto w oczy, jakby prosił o wsparcie.

-Nie pojedziesz sobie? Zostaniesz tutaj?

-W tym pokoju, Oomark? Chcesz, żebym została z tobą, dopóki nie zasniesz?

Nigdy przedtem żadne z nich nie zdradzało podobnych pragnień. Napawała mnie otucha myśli, że Oomark tak bardzo zbliżył się do mnie, choć bolałam nad tym, że spowodowała to śmierć jego ojca.

Przez chwilę wydawało mi się, że przyjmie moją propozycję. Lecz potem puścił moją rękę i potrząsnął głową.

-Po prostu tutaj... w tym domu. - Uniosł się na lokciach. Bartare mówi... Ona cie nie lubi.

-Bartare nie lubi mnie? - zdziwiłam się, choć podejrzewałam, że mówiąc "ona" nie miał na myśli swojej siostry.

-Bartare nie polubi cie, jeśli Ona nie będzie cie lubiła - odparł. Bartare...

-Wolałes mnie, braciszku?

W drzwiach stała Bartare otulona nocną koszulą, z rozpuszczonymi włosami spływającymi na ramiona.

-Nie.

Odwrocił gwałtownie głowę, jakby jego siostra była ostatnią rzeczą, jaką chciał widzieć.

-Jestem spiący. Idź sobie! Chce spać.

Miałam dość rozumu, żeby w tej sytuacji nie naciskać go dalej, wygładziłam więc tylko koldre i życzyłam mu dobrej nocy. Bartare wycofała się, zanim podeszłam do drzwi, lecz okazało się, że czeka na mnie przy wejściu.

-Oomark jest jeszcze małym chłopcem, sama wiesz - powiedziała takim tonem, jakby między nimi była duża różnica wieku.

-Przestraszonym małym chłopcem.

-On nie musi się tu niczego bać.

Proste zdanie, lecz nacisk położony na słowo "on", spojrzenie, jakie rzuciła mi spod kreyki brwi, nie pozostawiały wątpliwości: ostrzegала mnie. I była w tym tak niezmierną bezczelnością, że zatrwożyłam się, ponieważ w owej chwili, choć tylko na sekunde czy dwie, nasze role się odwróciły. To nie ja byłam jej opiekunką, lecz ona kontrolowała mnie.

Mysle, że szybko wyczuła, iż popełniła błąd i posunęła się odrobinę za daleko, bowiem to coś obcego, czym otulała się niby płaszczem, zniknęło, i znowu stała przede mną mała dziewczynka.

-Dziwnie tu... - Oderwała ode mnie wzrok i rozejrzała się po dziedzińcu, jak gdyby starając się wywołać wrażenie, że ona również boi się nieco tego obcego świata. Tylko że ta zmiana nastroju nastąpiła zbyt późno i była zbyt sztuczna. Panowałam jednak nad sobą i nie dałam po sobie poznać, że spostrzegłam jej błąd.

-Ale to przyjemna planeta, sędząc z tego, co zdążyliśmy zobaczyć.

-Zabiła mojego ojca, pamiętasz?

-To był wypadek. - Nie potrafiłam jej zrozumieć, i, być może, nie byłam dla niej równorzędnym partnerem.

-Tak, wypadek - przytaknęła. I znowu, choć może sprawiła to nadmierną podejrzliwość, wyczulałam groźbę w jej słowach.

-Chcesz iść do łóżka? Wydawało mi się, że jesteś zmęczona...

-Jestem - przytaknęła i w jej głosie zabrzmiała ulga, jak gdyby była mi wdzięczna za te sugestie.

Znowu była mała dziewczynka, kiedy układałam ją w łóżku, tak jak Oomarka.

-Ty też się teraz położysz? - zapytała, gdy zbierałam się do wyjścia.

-Jeszcze mała chwila...

-Ale nie pojedziesz nigdzie daleko?

-Posiedzę na dziedzińcu.

Nie wierzyłam, że się o mnie niepokoi. Raczej chciała wiedzieć gdzie będę, by zaspokoić własną ciekawość.

Usiadłam w miejscu, z którego mogłam widzieć drzwi do pokoi dzieci. Zanim jednak to zrobiłam, włączyłam alarm w bramie dziedzińca. Nic nie mogło wejść ani wyjść bez zaalarmowania robota-wartownika i włączenia sygnału dzwinkowego. Tak naprawdę nie wiedziałam, dlaczego to zrobiłam, ale czułam się bezpieczniejsza, kiedy alarm działał.

W swietle wielkiego i intensywnie zoltego ksiezycy, który oswietlal Dylana noca, kryształowe plyty w posadzce podworza migotaly i lsnily, jakby pod kazda z nich plonela mala lampka. Widzialam swiatlo nocnej lampy palacej sie w pokoju Guski; wiedzialam, ze pielegniarka postanowila spedzic z nia czesc nocy.

Lecz choc staralam sie myslec spojnie i logicznie o wszystkim, co wydarzylo sie od chwili ladowania, robilam sie coraz bardziej i bardziej spiaca, az w koncu wstalam chwiejnie z krzesla i powloklam sie do swej sypialni.

Weszlam do pokoju z nieco przechylona glowa, tak ze tylko katem oka dostrzeglam jakis ruch. Lecz kiedy szarpnelam glowa, zeby spojrzec prosto, nie zobaczyłam niczego z wyjatkiem lustra. I przekonalam sama siebie, ze tym, co mnie tak zaskoczylo, bylo moje wlasne odbicie.

Zdarzenie to rozbudzilo mnie i razniej zabralam sie do przygotowania lozka. I nic sie nie wydarzylo, dopoki nie usiadlam przed lustrem, by rozczesac wlosy.

Zobaczyłam sniada skore, wlosy i zielone oczy, ktore w tym lustrze wydawaly sie wieksze i bardziej zielone niz kiedykolwiek przedtem. Uwaznie przygladalam sie temu, co widzialam, wspominajac slowa Lazka Volka odnoszace sie do mojego wygladu i zastanawiajac sie, czy mowil prawde, czy rzeczywiscie mam powody, by twierdzic, ze ladnie wygladam. Taka mysl nie jest obojetna zadnej kobiecie.

Nagle moje odbicie zniknelo, jakby ruch grzebienia rozczesujacego geste loki starl je z lustra. I zobaczyłam...

Byc moze sam nagi szkielet przypominal moj, lecz to, co patrzylo na mnie z lustra przybrawszy moja poze, nie bylo mna. Zgroza sprawila, ze zamarlam w bezruchu, nie mogac wydobyć z siebie zadnego dzwieku, choc wzbieralo we mnie pragnienie krzyku. Gładka, sniada skora, ktora widzialam wczesniej, zrobila sie zwiedla, pomarszczona i usiana ciemnymi plamami. Zeby zniknely i usta skurczyly sie w nierowny, poszarpany otwor, a nos niemal dotykal podbrodka. Wlosy staly sie biale i rzadkie, zwisaly wiotkimi, cienkimi pasmami nad pobruzdzonym i sfaldowanym czolem. Oczy byly tylko ciemnymi, pustymi jamami - a jednak widzialam!

Uslyszalam zdlawiony okrzyk i zobaczyłam, ze potwor w lustrze drzy i chwieje sie, odzwierciedlajac moje ruchy, gdy kolysalam sie w przod i w tyl na krzesle. Grzebien wysunal mi sie z reki i spadl ze stukiem na toaletke. Ow stlumiony odglos przerwal iluzje. Zniknela, a ja, z sercem bijacym tak szybko i mocno, ze az sie przestraszylam, wpatrywalam sie wytrzeszczonymi oczami w to, co zawsze widzialam w kazdym lustrze. Wizja, senna mara, czymkolwiek to bylo, zniknela. Lecz gdy siedzialam, oslabiona i drzaca od wypelniajacego mnie uczucia zimna, wiedzialam, ze widzialam to. To? Co wlasciwie widzialam? I dlaczego?

Rozdzial trzeci

Wyczerpana do cna wpezlam do lozka i lezalam tam wstrzasana dreszczami, probujac zrozumiec te iluzje, poniewaz nie mialam watpliwosci, ze byla to iluzja. Tylko niezwykla kombinacja swiatla i cienia w tym pokoju mogla wytлумaczyc pojawienie sie tej ohydnej istoty w lustrze. A ja z pewnoscia nie wdychalam dymu marzen ani nie zazywalam zadnego z halucynogennych narkotykow. Gdy otulalam sie szczelniej koldra z uczuciem, ze nigdy juz nie zdolam sie ogrzac, rownoczesnie szukalam w pamieci jakiejs wskazowki, ktora pomoglaby wyjasnic to, co naprawde zaszlo w ciagu tych kilku chwil. Biblioteka Lazka Volka zawierala liczne sprawozdania z niezwyklych eksperymentow przeprowadzonych na wielu swiatach. Przeczytalam dosc, by wiedziec, ze cos, co wydaje sie "magia", calkowicie niewytłumaczalna dla jakiegos gatunku czy rasy, moze byc czyms zwyczajnym dla istot zamieszkujacych w innym miejscu galaktyki. Dziwne rezultaty osiagane przez esperow potrafily wprawic w zaklopotanie nawet czlonkow ich wlasnej spolecznosci...

Esperzy! Czyzby komendant nie mylil sie w swych przypuszczeniach co do Bartare, a moje przezycie bylo skutkiem projekcji jej mysli, zmuszajacej mnie do ujrzenia siebie taka, jaka ona sama chcialaby widziec?

Lezalam przerazona. Do glowy przychodzily mi jeszcze inne niesamowite wyjasnienia, ale zdecydowanie je odrzucilam. Wiedziona impulsem wstalam z lozka i otulilam sie plaszczem. Owa nieprzeparta sennosc, ktora opanowala mnie wczesniej, ustapila.

Teraz czulam sie jak kazdego dnia rano, kiedy budzilam sie po dobrze przespanej nocy.

Wsunelam stopy w luzne pantofle i gdy podeszlam do drzwi, zeby wyjrzec na dziedziniec, po raz drugi uchwycilam katem oka jakis ruch. Lecz tym razem, gdy skupilam wzrok, to cos, co sie poruszalo, nie zniknelo. Zobaczyłam mala postac przemykajaca w cieniu pod wewnetrzna sciana od jednego wejscia do nastepnego.

W pierwszej chwili chcialam zawolac. Lecz potem przypomnialam sobie robota-wartownika, ktorego ustawilam w zewnetrznej bramie, a poza tym pragnelam zobaczyc jak najwiecej bez ujawniania swojej obecności. Najciszej jak potrafilam ruszylam ta sama droga, starajac sie, by pantofle nie klapaly po posadzce.

Postać, za którą podazałam, dotarła do ostatnich wewnętrznych drzwi, tych od biblioteki. I tam przystanęła na tak długą chwilę, że zaczęłam się zastanawiać, czy znalazła się u celu. Potem, jakby upewniwszy się, że nie jest obserwowana, postać wychynęła z cienia i stanęła w smudze księżycowego światła. Bartare! W jakiś sposób wcale nie byłam zaskoczona. Nie miała na sobie koszuli nocnej, tylko swoją ulubioną zieloną sukienkę. Włosy były rozpuszczone, jak wówczas, kiedy kładłam ją do łóżka. Trzymała coś w obu rękach tak - mimo, że ow przedmiot sprawiał wrażenie małego i lekkiego - jakby to było dla niej coś niezmiernie cennego, co wymaga najwyższej troski. Wyciągnawszy ręce nieco przed siebie uważnie badała wzrokiem wzór na posadzce.

Potem, najwidoczniej podjąwszy ważną decyzję, położyła trzymany przedmiot na jednej z kryształowych płyt ze starannością sprawiającą wrażenie, że jest zupełnie pewna tego, co robi.

Kiedy już ułożyła przedmiot pośrodku płyty, cofnęła się nieco, a jej drobne ręce zaczęły wykonywać gesty splatające się we wzór, który mnie zaniepokoił. Te gesty musiały mieć jakieś znaczenie, lecz we mnie budziły uczucie, jakiego doznaje człowiek szukający potrzebnego słowa, kryjącego się gdzieś w głębi świadomości.

Dochodził do mnie szmer słów, zbyt odległych i cichych, bym mogła je rozróżnić, a jednak z pewnością były to słowa. Przemawiając do czegoś, co ułożyła na płycie, a może tylko rzucając je w przestrzeń, Bartare zaczęła tańczyć. Tańcząc stawiała stopy na kryształowych płytach, omijając wszystkie pozostałe.

Ponieważ wzór pokrywał cały dziedziniec, a kryształowe płyty były oddalone jedna od drugiej, taniec wiodł ją z wolna do miejsca, gdzie stałam, ukryta w cieniach zalegających wejście do pracowni jej ojca. Teraz mogłam już rozróżnić poszczególne dźwięki, jednak wciąż nie wiedziałam, co znaczą. Było oczywiste, że Bartare recytuje melodyjnie, słowa układały się w rytmie obrzędowego powitania lub zaklęcia.

Zaklęcie! Skupiłam się na tym. Mogło to wiele wyjaśnić i choć niebezpieczne dla dziecka obdarzonego bujną wyobraźnią, przecież nie było czymś niezwykłym. Potrafiłabym przytoczyć setki przypadków, kiedy to dzieci, a szczególnie dziewczęta wkraczające w wiek młodzieńczy, tworzyły dla siebie wymyślone światy, w których rządziły moce nieznane innym. Gdyby Bartare była esperem, nie zdając sobie z tego sprawy, w taki właśnie sposób mogłyby przejawiać się jej rozwijające się stopniowo zdolności.

Przerwała taniec niezbyt daleko ode mnie i odwróciła się twarzą ku rzeczy, która ustawiła na płycie zalanej księżycowym blaskiem. Wykonała jeszcze jeden gest, jak gdyby chwytając i przyciągając do siebie coś, co wydobywało się z tego przedmiotu. Zebrawszy niewidzialne utoczyła je w dłoniach, jak ktoś, kto z mokrej gliny robi kule. Potem cisnęła to, celując w drzwi sypialni swej matki.

Jeszcze raz przyciągnęła tajemniczą moc z przedmiotu, utoczyła i rzuciła. Tym razem cisnęła nicosć w drzwi Oomarka. Kiedy zaczęła po raz trzeci zbierać niewidzialne, nie miałam wątpliwości, że posle to w kierunku mojego pokoju, i tak też się stało.

Gdy wykonała trzeci rzut, wyraźnie się odprezyla. Emanowało z niej poczucie bezpieczeństwa, takie samo, jakiego doznałam ja, kiedy zabezpieczyłam wejście na dziedziniec; jakby zaryglowała teraz drzwi, zapewniając sobie swobodę poczynan.

Podeszła do przedmiotu, wciąż uważając, by stąpać wyłącznie po kryształowych płytach, podniosła go i przytuliła mocno do siebie. Potem, dalej stawiając nogi tylko w wybranych miejscach, ruszyła ku zewnętrznej bramie dziedzinca.

Bez względu na to, jak bardzo wierzyła w to, co robi, przecież nie mogła pokonać robota-wartownika. Pole silowe zatrzeszczało przed nią ostrzegawczo iskrami wyladowan, a sygnał alarmu sprawił, że krzyknęła cicho. Przystanęła, jej prawa ręka uniosła się, jakby rzucając czymś w to, co zagrażało jej drogie, lecz tym razem bez rezultatu. Pole silowe nie wyłączyło się, alarm pojekiwał, a ja wybrałam te chwile, by się ujawnić.

-Bartare!

Wysunęłam się z cienia.

Zakreśliła się na piecie, jej stopy zeslizgnęły się z kryształowej płyty, na której stała. Oczy zalsniły, jak u zapedzonego w kąt i przestraszonego zwierzęcia, a wargi rozciągnęły się, ukazując białe, drobne koniuszki zębów, gotowe kasac. Wyglądała tak, jakby spodziewała się jakiegoś ataku.

Poruszyła się i nieco odsunęła od strefy ostrzegawczej. Alarm dźwiękowy jak i pole silowe wyłączyły się. Nie ruszyła ku mnie, lecz czekała, bym ja podeszła do niej. Jej ręce obejmowały mocno to, co trzymała, jakby ta rzecz musiała być chroniona przed wszystkimi innymi. I wtedy zobaczyłam, że jest to lalka-posazek, ubrana na zielono.

-Bartare... - Nie wiedziałam, co powiedzieć. I miałam pewność, że nie odpowie na żadne pytania, jakie mogłam teraz zadać. Pomyslałam, że jeśli nie będę naciskała na wyjaśnienia, być może moje stosunki z nią poprawią się i zdobędzie jej zaufanie. Nie miałam wątpliwości, że to, co widziałam, było jej tajemnicą. - Bartare... w nocy należy spać...

Zabrzmiało to nieprzekonująco, i nikt nie wiedział tego lepiej ode mnie.

-Wiec spij! - odcięła się. - Oni śpią... - Lekkim skinieniem głowy wskazała pokoje matki i Oomarka. - Dlaczego ty nie spisz? Odniosłam wrażenie, iż to, że stoje przed nią, zbija ją z tropu, świadczy o niepowodzeniu.

-Nie wiem. Może dlatego, że jest to moja pierwsza noc na obcym świecie. Czy można mieć pewność, że nic się w człowieku nie zmieni, kiedy zstąpi na obcą ziemię? - Mówiłam do niej tak, jak mówiłabym do Lazka Volka.

-Wszystkie światy są obce, jeśli im się przyjrzeć.

Domysliłam się, że nawiązuje do tego, co się tutaj wydarzyło, i skinęłam głową.

-To prawda, ponieważ nikt nie może spojrzeć oczami innej osoby i zobaczyć dokładnie to samo, co ona widzi. Coś, co ja nazywam kwiatem... takim jak ten... - i pochyliłam się, dotykając ręką kwiatów kształcie kielicha, rosnącego na pobliskiej grządce - ...ty możesz również tak nazywać, a jednak widzieć go inaczej... - Przerwałam, ponieważ kwiat, którego dotknęłam, zaczął przechodzić przerażającą transformację.

Miał barwę kości słoniowej. Teraz od miejsca, gdzie tak delikatnie dotknęły go moje palce, zaczęła rozprzestrzeniać się ciemna, niezdrowa plama. Kwiat wiadł, rozkładał się, po części już martwy, po części umierający, jakby moje dotknięcie zatrulo go i zabiło.

Bartare rozesmiała się głośno.

-Ja widzę martwy kwiat. A co ty widzisz, Kildo? Czy to samo? Czy widzisz śmierć wydobywającą się z twoich palców?

To mogła być halucynacja, lecz nie miałam pojęcia, co ją wywołało. Z pewnością nie był to przyjemny widok. Rozsadek kazał mi żywić nadzieję, iż rzeczywiście kwiat mógł być tak delikatny, że jakiegokolwiek dotknięcie szkodziło mu. Istniały wrażliwe na dotyk rośliny, choć nigdy nie słyszałam o żadnej, która byłaby tak wrażliwa, jak ta.

-Często widzisz śmierć, Kildo? Również w lustrach?

Zbliżyła się, z błyszczącymi oczami utkwionymi w moich, próbując wejrzyć w głąb mojej istoty, by zobaczyć strach, który mnie wypełnił, kiedy spojrzałam w lustro. W owej chwili wierzyłam - nie, byłam pewna - że Bartare nie tylko wiedziała, co się wydarzyło, ale również dlaczego i jak. I nie mogłam powstrzymać pytania:

-Dlaczego, Bartare... i jak?

Znowu rozesmiała się, ostro, nieco okrutnie, jak to czasami robią dzieci, kiedy nie mają nic do ukrycia i są zdecydowane postawić na swoim.

-Dlaczego? Ponieważ patrzysz, Kildo, i słuchasz, i chcesz zbyt wiele wiedzieć. Czy pragniesz spojrzeć w inne lustro, Kildo, i zobaczyć w nich zawsze to, co ci się nie podoba? Mogą wydarzyć się różne rzeczy... gorsze niż odbicie w lustrze.

Z wolna odwróciła się ode mnie i spojrzała na zalany księżycowym blaskiem dziedziniec. Potem odezwała się znowu, lecz nie do mnie. Kierowała te słowa w przestrzeń.

-Widzisz? - zapytała. - Kilda nie różni się niczym od innych. Nie ma potrzeby martwić się nią.

Zamilkła, jak gdyby czekając na odpowiedź. Potem cofnęła się o krok czy dwa, a z jej twarzy zniknął wyraz triumfu. Moja własna wyobraźnia podsunęła mi myśl, że dziewczynka została bezgłośnie zganiona, co zraniło jej miłość własną. Jeśli rzeczywiście tak było, Bartare mogła odreagować swój zawód i gniew na mnie, tym bardziej, że byłam tego świadkiem.

Lecz Bartare na swoją porażkę zareagowała jak dziecko. Utraciła nagle tę dziwną, niepokojącą dojrzałość. Jej twarz wykrzywiła się znajomym wyrazem przygnębienia i złości, gdy krzyknęła piskliwie:

-Nienawidzę cie! Spróbuj jeszcze raz mnie szpiegować, a pozalujesz! Pozalujesz! Pozalujesz! Zobaczą!

Odwróciła się i uciekła, teraz już nie zważając na to, po czym biegnie, skupiona wyłącznie na dotarciu do drzwi swojego pokoju. W chwili później te drzwi zamknęły się za nią z trzaskiem.

Stalam przez dluga chwile, spogladajac na podworze, a potem pochyilam sie, by zbadac uwazniej kwiat, ktorego dotknelam. Dziedziniac byl z pewnoscia pusty, a z kwiatu pozostal tylko troche czarnej, rozkladajacej sie materii. Zerwalam go wraz z lodyga i zabralam ze soba. Lecz zanim wrocilam do swojego pokoju, zajrzalam do Oomarka.

Spal, oddychajac ciezko. Kiedy zobaczylam, w jakim jest stanie, skierowalam sie z kolei do pokoju Guski Zobak. W przycmionym swietle nocnej lampki zobaczylam pielegniarke skulona na sofie, rowniez spiaca, podczas gdy Guska lezala wyciagnieta bezwladnie na lozku, jednak niewatpliwie zywa. Wszyscy oni wygladali tak, jakby zazyli srodki nasenne.

W rece mialam martwy kwiat, w glowie wyrazne wspomnienie tego, co widzialam na dziedzincu, przede wszystkim zas mialam nieprzeparte pragnienie naradzenia sie z kims. Zdecydowalam, ze jesli komendant nie postapi zgodnie ze swoja sugestia, by skorzystac z pomocy parapsychologa, sama zrobie wszystko, zeby doprowadzic do takiego spotkania.

Z ta mysla w glowie polozylam sie do lozka. Sadtzilam, ze jestem zbyt zdenerwowana, zeby zasnac, ale mylilam sie, poniewaz ostatnia rzecz, jaka zapamietalam, byl moment, kiedy wyciagalam sie na lozku i okrywalam koldra.

Nawet teraz nie potrafie wyjasnic tego, co wydarzylo sie rano. Obudzilam sie z wrazeniem, ze mialam jakis znaczacy sen - i to wszystko. Pamiec nocnych wydarzen i pragnienie znalezienia pomocy zniknely z mojego umyslu. Pozostal tylko dreczace uczucie na wpol zatartych wspomnien, ktore dokuczalo mi w ciagu dnia, koniecznosc uczynienia czegos, zobaczenia sie z kims - jednak nie potrafilam tego sprecyzowac.

Gentlefema Piscov przyszla do nas z samego rana, a ja stwierdzilam, ze jej obecosc dziala na mnie kojaco. Bylo oczywiste, ze lubi i rozumie dzieci. Tego dnia i Oomark i Bartare zachowywali sie jak zwyczajne dzieci. Gentlefema Piscov zabrala nas na wycieczke po miescie. Okazalo sie, ze jest to dzien poprzedzajacy tygodniowe obchody swieta narodowego, upamietniajacego ladowanie statku Pierwszych Kolonistow. I wktrotce zostalismy wciagnieci w wir uroczystosci organizowanych przez rzad.

Bylam swiadkiem, jak Oomark nawiazal przyjacielskie stosunki z dwoma chlopcami, mniej wiecej jego rownolatkami. Bartare, zawsze uprzejma i o manierach, ktore robily ogromne wrazenie na doroslych, choc nie na jej rowiesnikach, nie mogla poszczycic sie takimi sukcesami towarzyskimi.

Stopniowo, jak czlowiek, ktory z trudem zbiera i dopasowuje do siebie fragmenty snu, przypominalam sobie w koncu tamta scene na dziedzincu. Co jednak dziwne, nie trwozyla mnie teraz, ani tez nie potrafilam traktowac jej powaznie. Uznalam, ze natknelam sie na Bartare uczestniczaca w jakiejś niezmiernie skomplikowanej, fantazyjnej zabawie, i pozwolilam, by moj zdrowy rozsadek zachwial sie pod wrazeniem jej wystepu. Wdawalo mi sie, ze w przyszlosci uzyskalabym nad nia wieksza kontrole, gdybym takich wystepow nie uwazala za nic innego poza zwyczajna, dziecięca zabawa. Te moje odczucia stanowią dowod, ze czlowiek moze podlegac wpływowi, nie zdajac sobie z tego sprawy.

Zachowanie Bartare, ktora zaprzestala nocnych wedrowek i dziwnych rozmow, tym bardziej kazalo cala sprawe traktowac jako nieistotna. Jej nieco niechetna postawa wobec innych dzieci nie budzila mojego niepokoju, bowiem przypominala mi w tym mnie sama, kiedy bylam w jej wieku. Uwazalam tez, ze dzieci nie nalezy zmuszac do zachowan, ktore dorosli uznaja za "normalne", bowiem moze to tylko zrazic je i rozdraznic.

Udalo mi sie zreszta znalezc plaszczynne porozumienia z Bartare. Byla przy tym, jak rozpakowywalam rejestrator, otrzymany od Lazka Volka, i odnioslam wrazenie, ze ja zainteresowal. Opowiedzialam jej o wielkiej bibliotece Volka i o mojej tam pracy. Powiedzialam tez, iz mam nadzieje, ze zdolam wzbogacic te biblioteke o ile uda mi sie tutaj zdobyc material na tyle niezwykly, ze bedzie tego wart. Wyjasnilam, ze musze dokonywac starannej selekcji, poniewaz ograniczala mnie liczba tasm, ktore moglam wyslac.

Sadtze, ze jej zainteresowanie bylo udawane i mialo na celu udobruchanie mnie - jeden z najstarszych forteli na swiecie. Kiedy wystapila ze swoja propozycja ucieszylam sie jednak, ze oto znalazlam cos, co pomoze mi nawiazac z nia lepszy kontakt. Poza tym naprawde zaintrygowala mnie jej sugestia, zebysmy odwiedzily ruiny, do ktorych udal sie na inspekcje jej ojciec przed owym tragicznym wypadkiem.

Pomysl ten mial jednak mala szanse na realizacje. Przede wszystkim, ruiny znajdowaly sie w glebi nie zamieszkanego terytorium, w sporej odleglosci od Tamlinu, co oznaczalo koniecznosc nocowania poza domem, a wszystkie kwatery zajmowali pracujacy tam archeolodzy. Wyjasnilam to Bartare, ktora, chociaz sprawiala wrazenie zawiedzionej, zasugerowala, ze blizej miasta moga znajdowac sie inne, godne uwagi miejsca.

Tak dobrze - o wiele za dobrze, jak na dziecko - ukrywala swe prawdziwe zamiary, ze nabralam przekonania, iz chce tylko zobaczyc, jak zbieram materialy do biblioteki. I tak oto dryfowalam ku przeznaczeniu w oparach samozadowolenia.

Guske Zobak rowniez otaczala mgla. Lecz jej stan, a przynajmniej tak sie wowczas wydawalo, byl o wiele powazniejszy.

Potrafiła tylko leżec i drzemac. Jakakolwiek próba wyrwania jej z letargu kończyła się atakiem histerii. Po dwóch takich atakach lekarz poddał się. Jak długo pozostawała w polsni (którego nie wywoływały już środki nasenne), tak długo była posłuszna i podatna na sugestie. Próba przebudzenia doprowadzała ją do stanu, który według lekarza zagrażał jej zdrowym zmysłom.

W końcu przyznał, że nie potrafi jej pomóc, i że ten przypadek wymaga wiedzy i kuracji niedostępnych na Dylanie. Tak więc uznano, iż musimy odlecieć pierwszym statkiem, który będzie mógł zabrać nas z powrotem na Chalox. Kłopot polegał na tym, że żaden taki statek nie zawijał do portu, choć w miarę, jak mijały dni, co raz to jakiś frachtowiec czy transportowiec podchodził do lądowania w drodze ku innym portom przeznaczenia.

Oomark był szczęśliwy w towarzystwie nowych przyjaciół. Zaczął też chodzić do szkoły przy kosmoporcie, gdzie szybko się zaaklimatyzował. Odnosił wrażenie, że jest bardziej bez troski niż kiedykolwiek przedtem. W domu bywał rzadko, spędzając większość czasu z kolegami, lecz uważał to za rzecz zupełnie naturalną i korzystną dla niego. Towarzystwo rówieśników pozwalało mu bowiem nabrac pewności siebie i wyzwolić się spod dotychczasowej dominacji Bartare. A i dom, gdzie ze względu na Guske musiała panować cisza i spokój, nie był odpowiednim miejscem dla małego i żywego chłopca.

Bartare tak gwałtownie sprzeciwiała się pojsciu do szkoły, że postanowiłam wziąć na siebie obowiązki jej nauczyciela, wiedząc, że tego właśnie chciałaby Guska. Dziewczynka miała bystry i chłonny umysł, taki, który najlepsze wyniki osiągał w samodzielnej pracy pod umiejętnym kierownictwem, nie zaś w narzuconym z góry systemie nauczania obowiązującym w normalnych szkołach.

Nie potrafiłam jej polubić. Nieustannie odnosiłam wrażenie, że Bartare ledwie toleruje, niekiedy ze zniecierpliwieniem, tych, którzy ją otaczają. Lecz szanowałam jej zdolności. A kiedy przekonałam się, że nie przejawia już chęci do ekscentrycznych zabaw, poczułam się przy niej o wiele swobodniej.

Nie ustawała w staraniach, by znaleźć dla mnie coś, co mogłabym zarejestrować z przeznaczeniem dla zbiorów Volka, i często wracała do tego tematu, co rusz to proponując coś nowego. W końcu, może dlatego, że byłam zmęczona i nieco zawstydzona ciągłym odrzucaniem jej przedstawianych z entuzjazmem pomysłów, zgodziłam się poświęcić trochę taśmy na zapis wizyty u lugraanów.

Kiedy odkryto Dylana, stwierdzono, że duże zwierzęta spotyka się na tej planecie zaskakująco rzadko, a jeden z raportów Zwiadu sugerował niesmiało, że zostały one rozmyślnie wytepione w odległej przeszłości. Stąd też gościom pokazywano zawsze tych kilka okolic, gdzie żyła rodzima fauna. Jedną z nich było miejsce, które dzieci upodobały sobie na urządzenie pikników - Dolina Lugraanów. Same natomiast lugraany zbijały z tropu i wprawiały w zakłopotanie badających je naukowców. Przede wszystkim, każda próba przetransportowania któregoś z tych stworzeń poza obręb doliny kończyła się jego śmiercią. Próby ustalenia, co powodowało taki stan rzeczy, spęły na niczym, bowiem w ciałach nigdy nie wykryto żadnych zmian, nawet jeśli sekcje przeprowadzono po kilku minutach. Wydano zatem zakaz zbliżania się do lugraanów. Można je było natomiast obserwować ze skalnych polek ciągnących się nad ich siedzibami.

Filmowano je już, oczywiście, i byłam pewna, że Łazek Volk ma takie nagrania w swoich zbiorach. Ale lugraany były jedynymi godnymi uwagi przedstawicielami miejscowej fauny, a ja mogłabym wypróbować moje umiejętności, i przy okazji sprawić Bartare przyjemność, oraz - przyznałam to przed sobą - jeszcze bardziej zainteresować ją tym, co robię.

Wydawało się, że szczęście nam sprzyja, bowiem grupa rówieśników Oomarka ze szkoły wybierała się właśnie do lugraanów. W takiej wycieczce uczestniczyli również rodzice i inni członkowie rodziny, jeśli sobie tego życzyli. Tak więc Bartare miała znakomity powód, żeby obstawać przy tej wyprawie.

Jednak Oomarka wcale to nie ucieszyło. Kiedy powiedziałam mu o tym, spojrzał na mnie, po raz pierwszy od wielu dni, takim samym wzrokiem jak dawniej. Z jego twarzy zniknął wyraz ożywienia, wydał dolną wargę i spojrzał krzywo na siostrę.

-Ty chcesz tam iść - powiedział, bardziej do niej niż do mnie.

Jego ton sprawił, że słowa te zabrzmiały jak oskarżenie.

-Oczywiście. Kilda zrobi nagranie...

-To nie jest miejsce odpowiednie dla ciebie! - Teraz był już otwarcie wrogi. - Nie pozwól jej tam pojsć... - zwrócił się do mnie.

Wyraz napięcia na jego twarzy zupełnie nie przystawał do sytuacji. Mogło się wydawać, że obserwuje z rozpaczą, jak wszystko co zdobył, przyjazn i wolność, zagrożone zostaje przez siłę, której nie potrafi pokonać.

Nie mogłam mu się sprzeciwić. Jeśli dla Oomarka było to tak ważne, powinniśmy mu ustąpić. Mogłymi pojechać do

Doliny Lugraanow same. Powiedzialam to i na jego twarzy pojawila sie ulga, ktora zniknela, gdy spojrzal na siostre.

Podazyłam za jego wzrokiem. Cien, jaki ujrzałam na jej twarzy, wywołał ukłucie dawnego niepokoju. W jakiś sposób Oomark zebrał się na odwagę, jak gdyby tym razem z moją pomocą zamierzał przeciwstawić się Bartare.

-Chcesz pojechać tam sam, bez nas? - zapytała Bartare. Wypowiedziała te słowa wolno, każde z osobna, nadając im przez to wagę większą, niż wymagało tak proste pytanie.

Oomark zaczerwienił się, a potem zbladł. Lecz nie ustąpił.

-Tak... tak...

Bartare uśmiechnęła się.

-Zatem niech będzie tak, jak ty chcesz.

Oomark odetchnął, odwrócił się i wybiegł na dziedziniec, jak gdyby był już spóźniony do szkoły i musiał dotrzeć tam - albo uciec od nas - tak szybko, jak to tylko możliwe. Bartare spojrzała na mnie, wciąż z uśmiechem na ustach.

-Zmieni zdanie, zobaczysz. A ty powinnas zawiadomic Gentlehomo Largrace'a, że pojedziemy z nimi.

-Nie, nie tym razem. Jeśli Oomark chce tam pojechać tylko ze swoimi rówieśnikami, to lepiej pozwolić mu na to.

Potrząsnęła głową.

-Będzie chciał z nami, zobaczysz. Poczekaj, a zobaczysz.

W tej pewności siebie było coś, co sprawiło, że w spowijającym mnie od kilku dni kokonie samozadowolenia i akceptacji pojawiła się pierwsza szczelina. Gdzieś w głębi poczułam się poruszona. Wspomnienie lustra i czegoś, co w nim zobaczyłam...

Uśmiech Bartare zniknął. Gdy nasz wzrok się skrzyżował, na jej twarzy pojawił się wyraz niepokoju.

-To nie ma żadnego znaczenia - powiedziała pośpiesznie. Chodź, proszę, miałymy pojsć do Vorrigha obejrzeć wietrzne obrazy...

I uczyniła coś, co robiła niezmiernie rzadko: wsunęła swoją rękę w moją. Bartare nie lubiła być dotykana, czego nauczyłam się na początku naszej znajomości i starannie przestrzegalam. W jej przypadku świadome szukanie fizycznego kontaktu było czymś naprawdę wyjątkowym.

Poszliśmy do salonu wystawowego Vorrigha i Bartare na pozór była urzeczona tym, co tam zobaczyła. Grała swoją rolę małej dziewczynki. Lecz ja się już ocknęłam i znowu stałam się czujna, tak samo czujna, jak tamtej nocy na dziedzincu. Kimkolwiek była Bartare - a ja zaczynałam się zastanawiać, czy kiedykolwiek zdołamy się tego dowiedzieć - to z pewnością nie normalnym dzieckiem. I teraz, przypomniawszy sobie jej występ na dziedzincu, uznałam go za tak niepokojący, że zapragnęłam podzielić się wszystkimi moimi wątpliwościami, przypuszczeniami i podejrzeniami z kims takim jak Lask Volk, z człowiekiem, który zna wszechświat i ma otwarty umysł.

Dlaczego zapomniałam o tym, że chciałam się skontaktować z parapsychologiem? Dlaczego komendant nigdy nie zrealizował swojej sugestii w tej sprawie? Czyżby Bartare posiadała jakąś nieznaną, dotychczas nie odkrytą moc, pozwalającą jej uspic myśli tych, na których chciała wpłynąć?

Znałam odpowiedź na to pytanie. Lecz nie wiedziałam, w jaki sposób to robiła. A dopóki się tego nie dowiem, lepiej będzie zagrać rolę bezkrytycznej towarzyszki w tym przedstawieniu według jej własnego scenariusza.

Nie wątpiłam już teraz, że gdyby bardzo chciała udać się do Doliny Lugraanow, Oomark nie potrafiłby się jej przeciwstawić. Lecz jego pragnienie, by trzymać się od siostry tak daleko, jak to tylko możliwe, budziło moją ogromną sympatię. Być może, dopóki właśnie tutaj, na Dylanie, nie pozwoliły na to okoliczności, nigdy wcześniej nie potrafił wyzwolić się spod jej kontroli.

Kiedy już otrząsnęłam się z narzuconego mi otepienia, moja wyobraźnia zaczęła działać. Musiałam odzyskać nad nią kontrolę, powiedzieć sobie stanowczo, iż powinnam pozostać czujna, lecz że nie mogę wierzyć w nadprzyrodzoną moc Bartare, dopóki nie uzyskam namacalnego dowodu.

I uzyskałam go w taki sposób, że natychmiast ogarnęły mnie złe przeczucia, a moje wewnętrzne sygnały ostrzegawcze rozdzwoniły się, zwiastując niebezpieczeństwo.

Wrociliśmy z miasta, rozmawiając o tym, co tam widzieliśmy. Lecz Oomark wrócił do domu przed nami. Jego zwykle krągła twarzyczka wydawała się zapadnięta, a skóra, opalona lekko słońcem Dylana, była chorobliwie blada.

Pospieszyłam tam, gdzie opierał się o ścianę, z rękoma przycisniętymi do brzucha, z czołem i górną wargą zroszonymi kropelkami potu. Jego usta poruszały się tak, jak gdyby starał się opanować mdłości.

Zanim do niego dobiegłam, odepchnął się od ściany i spojrzał na siostrę.

-Cofnij to - cofnij to, co Ona zrobiła Griffy'emu!

W tym okrzyku pobrzmiwał ostry ton zbliżającej się hysterii, taka sama dzika nuta, jaką dwukrotnie słyszałam w głosie jego matki, kiedy lekarz próbował ją rozbudzić.

-Nic nie zrobiłam - odparła Bartare.

-Nie musiałaś - Ona zrobiła! Kaz jej przestać! Griffy... Griffy jest dobry. On jest... - Powieki Oomarka zacisnęły się i po policzkach popłynęły łzy. - Dobrze, dobrze! Możesz przyjść... możesz iść... gdziekolwiek chcesz. Ja... ja chyba wymiotuję!

Jeknął. Wzięłam go na ręce i pobiegłam najszybciej jak mogłam do łazienki. W tej chwili nie miało znaczenia, co Bartare mogła powiedzieć albo zrobić w odpowiedzi na jego wybuch.

Rozdział czwarty

Obmyłam spoconą twarz Oomarka. Wymiotował długo i gwałtownie. Teraz siedział na skraju łóżka, zgięty w pół, wpatrując się w podłogę. Pozwolił mi zaopiekować się sobą, a kiedy chciałam odnieść ręcznik do łazienki, chwycił mnie za tunikę. Usiadłam więc obok niego, położyłam rękę na tych drobnych barkach i przytuliłam go do siebie. -Możesz mi o tym opowiedzieć? - zapytałam. Było oczywiste, że doznał szoku. I jeśli Bartare ponosiła za to odpowiedzialność...

W owej chwili pragnęłam w najbardziej prymitywny sposób wymierzyć za to karę własnymi rękoma.

-Powiedziała, że będę załował... - Słowa brzmiały niewyraźnie. - I załuje. Ale nie Griffy! Nie musiały robić tego Griffy'emu! I znowu w jego głosie pojawiła się ta histeryczna nuta.

Nie wiedziałam, co robić. Co byłoby lepsze - naciskać na niego, by opowiedział o tym, co się wydarzyło, czy zrobić wszystko, by o tym zapomniał i poprosić pielęgniarkę o coś na uspokojenie?

Zdecydował za mnie, odwracając się, tak że znowu zobaczyłam jego zapłakaną, bladą twarz.

-Griffy... on mieszka z Randulfem. On jest poohkim - prawdziwym, żywym poohkim, nie tylko wypchanym, jak ten, którego miałem, kiedy byłem mały. Wszędzie chodzi z Randulfem, nawet do szkoły. Tylko nigdy nie chciał przyjść tutaj, ponieważ wiedział, rozumiesz - wiedział!

-Wiedział co?

Poohki były obcą formą życia, stworzeniami, których małe, pokryte futrem ciała wywoływały natychmiastowe pragnienie, by je pieścić i przytulać - idealnie nadawały się na zwierzęta domowe. Zaskoczyło mnie to, iż jakies dziecko tak daleko od ich rodzimego świata posiada poohka, bo słyszałam, że są bajecznie drogie.

-Wiedział - powtórzył z emfazą Oomark. - Wiedział o niej.

-O twojej siostrze?

Chłopiec potrząsnął głową.

-Och, może wiedział o Bartare... ponieważ Ona i Bartare... one są zawsze razem. Ale to Ona jest zła! I Ona wyrzuciła Griffy'emu krzywdę! Wiem, że to zrobiła. Jest z nim źle, bardzo źle. I może nawet lekarz nie zdoła mu pomóc. Zrobiła mi to na złość, bo nie chciałem, żeby Bartare pojechała z nami. Ale przecież nie musiała krzywdzić Griffy'ego - on nigdy nie zrobił nikomu nic złego i jest najmilszym stworzeniem, jakie kiedykolwiek widziałem! - Jego drobne ciało zaczęło dygotać, a ja przestraszyłam się gwałtownością tego ataku. Uwolniłam jedno ramię i nacisnęłam dzwonek przywołujący służącego-robotę. Kiedy maszyna wtoczyła się do sypialni, nagrałam wiadomość dla pielęgniarki.

Razem uspokoiłysmy go i położyliśmy do łóżka. Potem poszłam poszukać Bartare. Znalazłam ją w bibliotece, przy włączonym czytniku, słuchająca z należnym skupieniem lekcji historii. Nacisnęłam wyłącznik i stanęłam przed nią.

-Oomark jest przekonany, że w jakiś sposób zrobiłaś krzywdę poohkiemu jego przyjaciela.

Przyszłam zdecydowana na zadawanie wnikliwych pytań i uzyskanie jasnych odpowiedzi.

Spojrzała na mnie bezmyślnie, jak gdyby całkowicie zaskoczona lub przestraszona.

-Jakże mogłabym to zrobić, Kildo? Nigdy nawet nie widziałam żadnego poohka. I przecież cały dzień byłam z tobą.

-Oomark wciąż mówi o jakiejś kobiecie, za której czyny ty jesteś odpowiedzialna... - nie ustępowałam, zdecydowana, że tym razem nie pozwolę się zbyć.

-Oomark to jeszcze dziecko - odpowiedziała. - Zdarzało się, że go straszylam, kiedy źle się zachowywał. Mówiłam mu, że Zielona Pani przyjdzie po niego i że zrobi wszystko, co jej kaze. Teraz myśli, że Zielona Pani naprawdę istnieje i...

-I ty dalej igrasz jego lekami, by go sobie podporządkować?

-Coż... czasami...

Dosć prawdopodobne wyjaśnienie, pozornie tłumaczące wszystkie okoliczności. Gdybym nie zobaczyła i nie podsłuchiwała tego wszystkiego, co wzbudziło moje podejrzenia, pewnie bym jej uwierzyła. Co teraz robić - czy powinnam udac, że przyjmuję jej wyjaśnienia i czekać, aż się ostatecznie zdradzi? Czy też powinnam od razu zadzwonić do parapsychologa i umówić się na spotkanie?

-Nie robiłabym tego na twoim miejscu.

Patrzyła mi prosto w oczy, kiedy to mówiła. Na jej ustach igrał cien nieprzyjemnego uśmiechu.

-Ale rozumiesz, Bartare, ja nie jestem małym chłopcem, którego możesz przestraszyć swoimi opowieściami. Nie wierze w twoją Zieloną Panią i Oomark też już nie będzie wierzył. Nie ulega wątpliwości, że oboje potrzebujecie pomocy, której ja sama nie potrafię wam udzielić.

Uśmiechnęła się szerzej.

-Więc spróbuj i przekonaj się. - Zabrzmiał w tym triumf, zupełnie niepodobny do dziecięcych emocji. - Po prostu spróbuj i przekonaj się!

Ku mojej zgrozie przekonałam się, że miała rację. Choć starałam się ze wszystkich sił, nie mogłam dotrzeć do komunikatora, żeby zadzwonić do komendanta Piscova i poprosić go o pomoc, której tak bardzo potrzebowaliśmy. Naprawdę przestraszona tym niepowodzeniem wróciłam do Bartare; znowu słuchała lekcji jak pilna uczennica.

-Widzisz... - Spojrzała na mnie, gdy weszłam. - Powiedziałam ci, że Ona na to nie pozwoli.

Usiadłam na krześle naprzeciwko mojej tajemniczej podopiecznej.

-Mam nadzieję, że powiesz mi, kim naprawdę jest Ona... Czy to twoja matka?

Tym nieprawdopodobnym przypuszczeniem chciałam zaskoczyć Bartare, żeby uzyskać jakąś odpowiedź. Rezultat przekroczył moje oczekiwania.

Bartare poderwała się z miejsca i pochyliła nade mną. Na jej twarzy malowały się uczucia, których nie potrafiłam zidentyfikować.

-Skąd... - Potem opanowała się. Przechyliła nieco głowę, przyjmując postawę człowieka pilnie przysłuchującego się czemuś.

Ja również spojrzałam w tamtym kierunku, lecz nie było tam niczego... ani nikogo.

-Kim jest Ona? - zapytałam ponownie.

Wówczas odpowiedziała mi zuchwale:

-To moja sprawa, i lepiej, ze bys tego nie wiedziala, Kildo. Naprawde lepiej. Lubie cie... odrobine. Lecz jesli bedziesz sprawiala klopoty, sama w nie wpadniesz. Nie martw sie Oomarkiem. Mozesz mu powiedziec, ze Griffy'emu nic nie bedzie - o ile Oomark zrobi to, co powinien. Tobie tez nic sie nie stanie, pod tym samym warunkiem. Udamy sie do doliny. To wazne.

Powiedziawszy to wyszla, a ja siedzialam dalej, jak przykuta, na krzesle.

Moja pierwsza reakcja byl gniew. Na szczescie przeszkolenie, jakie przeszlam w internacie, pomoglo mi spojrzec prawdziwie w oczy. Moja pewnosc siebie i milosc wlasna zostaly zranione. Wygladalo na to, ze Bartare posiada jakas moc, niewatpliwie nalezaca do kategorii zjawisk wlasciwych postrzeganiu pozazmyslowemu, dzieki ktorej uniemozliwila mi wezwanie pomocy. W tej sytuacji praktycznie pozostawalam bezbronna. I kiedy ta bezlitosna prawda dotarla do mnie, przestraszylam sie niemal tak samo jak wowczas, kiedy zobaczylam tamta zjawe w lustrze. Teraz przynajmniej nie mialam watpliwosci, ze byla ona dzielem Bartare, i ze w jej zamysle miala to byc albo grozba, albo ostrzezenie. Czy Guska Zobak zdawala sobie sprawe z tego, czym obdarowala swiat w osobie swej corki?

I czy jej obecne otepienie nie bralo sie z checi zamknienia oczu przed faktem, kim naprawde jest Bartare? Zostala przeciez pozbawiona oparcia, jakie miala w mezu. A moze jej stan rowniez byl wywolany przez Bartare? Lezalo to w granicach mozliwosci dziewczyny, bo najwyrazniej powstrzymala mnie przed wezwaniem pomocy, dzieki ktorej moglabym sobie z nia poradzić.

Wiedzialam o esperach i ich zdolnosciach tyle, ile wie kazdy odczytany laik, a wiedze czerpalam z tasm Volka. A komus, kto nie ma takich predyspozycji, trudno ocenic - czy chocby uznac za realne - mozliwosci kogos, kto jest nimi obdarzony.

Esper czy nie, moja natura buntowala sie przeciwko temu, bym, podobnie jak Oomark, stala sie kims, kogo Bartare mogla kontrolowac.

Byc moze w swym dzieciecym zadufaniu nie przypuszczala nawet, ze ktos w pore ostrzezony potrafi sie uzbroic wewnetrznie i przedsiwziac kroki, ktore zapobiegna przejeciu nad nim kontroli... Zaskoczyla mnie smialosc tej myśli. Mam pozwolic, aby manipulowalo mna dziecko mlodsze ode mnie niemal o polowe? To wywolujace dreszcz pytanie wymagaloby odpowiedzi i sklanialo do dzialania.

Brakowalo mi potrzebnej wiedzy. Ze strzepow i fragmentow informacji, jakie blakaly sie w mojej glowie, musialam zbudowac wewnetrzna zbroje na tyle mocna, abym wreszcie mogla przeciwstawic sie Bartare. Jakze pragnelam dostepu chocby tylko na jedna jedyna godzine do biblioteki Volka!

Na razie moja najlepsza ochrona stala sie pozorna uleglosc. Niechetnie uznalam ten gorzki fakt. Istnialy metody pozwalajace odrznic halucynacje od rzeczywistosci i zaczalam je stosowac. W pewnym momencie przyszlo mi do glowy, ze trudno byloby znalezc ciekawszy material dla Volka, niz sprawozdanie z tego, w jak niesamowita historie sie wplatalam. Przebylam szmat drogi w poszukiwaniu jakiegos cudu, ktorego opisem moglabym wzbogacic jego biblioteke, i znalazlam to, czego szukalam - nie na Dylanie, lecz w samej sobie.

Wrocilam do pokoju i wyciagnelam rejestrator Volka. Tak jak przypuszczalam, byl wyposazony w przetwornik myśli. Juz raz korzystalam z tego urzadzenia, lecz krotko, i nie bylam pewna, czy potrafię w taki wlasnie sposob dokonac zapisu. Wierzylam jednak, ze jest to teraz jedyna bezpieczna metoda, bowiem nie mialam pojecia, czy umiejetnosci Bartare nie pozwolilyby jej podslychac zwyczajnego nagrania.

Zamknawszy drzwi na klucz polozylam sie na lozku i zaczalam ukladac w myslach, najprecyzyjniej jak potrafilam, sprawozdanie z tego wszystkiego, co mnie spotkalo od chwili, kiedy poznalam Guske Zobak i jej dzieci. Dwukrotnie odtwarzalam w myslach przebieg wydarzen, starajac sie na tyle, na ile bylo to mozliwe, by ostateczna wersja nie zawierala moich odczuc i domyslow. Mozna byloby ewentualnie dodac je na koncu, lecz najpierw musialam przedstawic fakty, a nie ich interpretacje - chociaz, jak to sie dzieje w przypadku kazdego sprawozdania, bez wzgledu na to, jak bardzo autor stara sie uczynic je obiektywnym, i tak bedzie ono nosic slady jego osobowosci.

Ulozywszy w myslach spojny i tresciwy przekaz, nasunelam na czolo dysk przetwornika i zaczalam nagrywac swoje sprawozdanie. Uzylam najwiekszej szybkości, zeby zapis zajal mozliwie najkrotszy odcinek tasmy. I stwierdzilam, ze caly proces wyczerpal mnie bardziej, niz dwa normalnie dyktowane sprawozdania.

Potem przewinelam szpule z powrotem, tak zeby wygladala na nie uzywana. Uswiadomilam sobie, ze podejmuje srodki ostroznosci jak ktos, kto jest szpiegowany. Ale nie moglam popelnic bledu, znajac Bartare.

Oomark spedzil reszte dnia w lozku. Wygladalo na to, ze chociaz uprzednio zwrocil sie do mnie o pomoc, teraz wzdragal sie przed tym. O ile wiedzialam, Bartare nie odwiedzila go. Lecz teraz nie moglam byc niczego pewna i nie ulegalo watpliwosci, ze dzieciak boi sie albo mnie, albo tego, co wyznal mi w chwili slabosci. Rzeczywiscie odebral telefon od

własciciela Griffy'ego z zapewnieniem, że poohki zdaje się dochodzić do siebie po kuracji.

Następnego dnia rano wybiegł ochoczo, kiedy podjechał po niego szkolny samochód, choć zauważyłam, że kilka razy spojrzal z obawą na drzwi pokoju siostry, która jednak się nie pojawiła. Ukazała się w niecałą godzinę potem, przyodżiana w mocny i wygodny stroj podróżny, gotowa na wyprawę do doliny.

Nalozylam spodnie, buty do chodzenia po gorach i ocieplana tunike - która to przezorność, jak się okazało, miała wyjść mi na dobre. Zapakowałam też do torby suchy prowiant, bo chociaż mogliśmy udać się do doliny z grupą towarzyszącą klasie Oomarka, nie chciałam im się narzucać podczas pikniku. Im dalej Bartare będzie teraz od ludzi, tym lepiej. Ku mej uldze zdawała się godzić z myślą, że najsluszniej zrobimy, trzymając się na uboczu. Być może brało się to stąd, że - równie mocno jak mnie, by ją odizolować zależało jej na tym, bym nie kontaktowała się z ludźmi nieswiadomymi naszych cichych zmagani.

Punktualnie dotarliśmy do parkingu smigaczy i stwierdziliśmy, że wyznaczono nam miejsce w pojeździe, w którym oprócz nas miały jeszcze lecieć dwie matki i jedna ciotka. Z powodu mojego pochodzenia przypadkowe kontakty towarzyskie zawsze sprawiały mi pewną trudność, a teraz, kiedy byłam całkiem spięta, ciążyło mi to w dwojnásob. Chyba jednak udało mi się zachować pozory i dobrze zagrać swoją rolę, bowiem kiedy w odpowiedzi na pytania kobiet opowiadałam im o Gusce, wydawały się zadowolone.

Bartare bez zarzutu grała rolę młodej dziewczynki, grzecznie zgadzając się na propozycje jednej z matek, by zapoznała się z jej córką. Nie wypuszczała przy tym z rąk rejestratora, który uparla się niesc.

Podróż trwała dłużej niż sądziłam. Najpierw lecieliśmy nad terenami rolniczymi, podzielonymi na sektory i pola, bujnie porośnięte dojrzałymi już niemal roślinami uprawnymi, potem zaś znaleźliśmy się nad obszarem, którego nie tknęła ludzka ręka. Dopiero tutaj rzucił się w oczy fakt, że Dylan jest z rzadka zaludnionym, pogranicznym światem.

Przez całe życie mieszkałam na zatłoczonej planecie, gdzie jedyne rośliny, które mógł zobaczyć człowiek, rosły w pieczolowicie pielęgnowanych, od dawna uprawianych i znakomicie utrzymanych ogrodach. Choć ich projektanci nauczyli się kuglować perspektywą, dzięki czemu rzeczy małe wydawały się o wiele większe, ogrody te w porównaniu z tym, co teraz widziałam, były zaledwie okruszkiem.

Tutaj rozposcierał się przestwór, który zdarzało mi się widywać tylko na ekranie. Widok ten porażał. Wyczuwałam coś budzącego lęk w tych rozległych polaciach bezkresnej równiny, nad którą lecieliśmy. Ziemia nie była tutaj tak żyzna, jak w pobliżu Tamlinu. Niewiele rosło drzew, a i te bardziej przypominały krzaki. Teren pod nami zaczął się wznosić. Pojawiało się coraz więcej skał, przebijających się przez glebę. Przemknęliśmy nad kotliną, z której unosiła się para z gorących, przesyconych minerałami źródeł. To dziwne miejsce fascynowało mnie z lotu ptaka, a nie sadze, bym chciała przemierzać je na piechotę.

Za kotliną wznosiły się poszarpane grzbiety. Słońce błyszczało oslepiająco w wypełnionych kryształami szczelinach. Ta kraina musiała być ongi rozdarta gwałtownymi erupcjami wulkanicznymi. A my lecieliśmy do samego serca tych niegospinnych ziem.

Bartare obserwowała okolice tak uważnie, że aż przycisnęła twarz do plastikowej osłony okna. Wyglądała jak ktoś, kto wypatruje znaku orientacyjnego, od którego niezmiernie wiele zależy. Lecz ja nie ufałam moim wrażeniom związanym z Bartare. Tak bardzo byłam nastawiona obronnie, że każdemu jej zachowaniu z łatwością mogłam przypisać znaczenie większe niż miało ono w rzeczywistości.

Wylądowaliśmy na równinie tak płaskiej, że stanowiła znakomite lądowisko dla smigaczy. Tam zostaliśmy podzieleni na grupy przez strażników i skierowani na wyższe polki skalne, skąd można było obserwować lugraany.

Przyznaje, że przestałam się tam mieć na baczności - co okazało się fatalne w skutkach. Bartare stała przy mnie, Oomark zaś w pewnej odległości od nas, scisnięty pomiędzy nauczycielem i swoim przyjacielem - właścicielem Griffy'ego. Nawet nie spojrzal w naszym kierunku od czasu, kiedy nas rozdzielono i skierowano w to miejsce. Świadomość tego, że unika nas, bolała mnie, choć być może inni nie zwrócili na to uwagi.

Bartare nie próbowała dołączyć do brata. Kiedy dotarliśmy na polkę, oddała mi rejestrator. A ponieważ nie mogłam pozwolić, by domysliła się, do czego wykorzystałam go wcześniej, udałam, że przygotowuje aparat do nagrywania, kierując obiektyw na to, co działo się na dole.

Lugraany nie okazywały najmniejszego zainteresowania obserwującymi ich ludźmi, równie dobrze mogliśmy być całkowicie nie widziani. Nie były humanoidami, choć poruszały się w pozycji wyprostowanej. Od pulchnego tulowia odcinały się wyraźnie kończyny; górne, długie i szczuple, i dolne, grube i krotkie, oraz szeroki i miesisty ogon, który - kiedy co jakiś

czas przystawaly przed soba, jak gdyby prowadzac rozmowe - wspieraly sztywno o ziemie, tworzac wraz z lapami podtrzymujacy cielsko trojnog.

Barwe mialy ciemnoczerwona, ich skore porastaly sztywne, przypominajace kolce wlosy. Szyja, tak dluga i gietka, ze przypominala szyje gadow, laczyła korpus z glowa uzbrojona w masywny, jaskrawozolty dziob i ozdobiona grzebieniem nieco dluzszych niz na reszcie ciala kolcowlosow.

Ich przednie, a raczej gorne lapy, zakonczone byly czymś w rodzaju dloni. Tymi nibyrekami lugraany posluguwaly sie nader zrecznie, jesli sadzic po prymitywnych chatach zbudowanych z ulozonych w stosy kamieni, tak dobranych i dopasowanych, ze nie rozsypywaly sie. Stworzenia te zajmowaly sie tez uprawa grzybow i hodowaly pewien gatunek ogromnych owadow, stanowiacych odpowiednik bydla.

Z pewnoscia byly wystarczajaco niezwykle, by przykuc uwage az za bardzo, jak to sobie nagle uswiadomilam, kiedy rozejrzalam sie wokol i stwierdzilam, ze Bartare zniknela. Nie bylo jej w naszej grupie. A szukajac jej odkrylam, ze Oomark rowniez zniknal.

Przesunelam sie do tyłu, a pierwsze uklucia niepokoju ustapily miejsca pewnosc, ze dzieci zostana odnalezione i to szybko. Lecz kiedy chcialam porozmawiac ze straznikiem, nauczycielem, czy chocby ktorymś z pozostalych dzieci, odkrylam - ku coraz wiekszemu przerazeniu - ze znowu pojawila sie ta sama wewnetrzna blokada, nie pozwalajaca mi wczesniej zwrocic sie o pomoc, gdy usilowalam poradzic sobie z Bartare. Moglam myslec o tym, co powinnam zrobic, lecz wykonanie tego bylo niemozliwe. Wydawalo sie jednak, ze nic nie przeszkadza mi w opuszczeniu skalnej polki. Ruszylam sciezka z powrotem. Nikt z pozostalych wycieczkowiczow nie spojrzal na mnie ani o nic nie zapytal, choc tak bardzo tego pragnelam.

Ucieczke Bartare i Oomarka odkrylam chyba wczesniej, niz spodziewala sie tego dziewczyna, bowiem dostrzezlam ich w oddali, nie na sciezce prowadzacej do ladowiska smigaczy, lecz na prawo wsrod skal. Wspinali sie na szczyt. Poniewaz nadal nikt nie zwracal na mnie uwagi, musialam sama podazyc za nimi.

Nie ulegalo watpliwosci, ze do wspinaczki potrzebowac bede obu rak, tak wiec musialam zrezygnowac albo z rejestratora, albo z torby z prowiantem. Ta druga miala solidny pasek i mozna bylo zarzucic ja na ramie. Zostawilam wiec rejestrator w miejscu, gdzie zeslam ze sciezki, by pojsc w slad za dziecmi. Mialam nadzieje, ze w razie czego bedzie on znakiem, ktory szukajacym nas wskaze wlasciwa droge.

Obawialam sie, ze to samo, co uniemozliwilo mi zaalarmowanie lub ostrzezenie innych, przeszkodzi mi tez w pozostawieniu tego malego znaku. Ale nie, zdolalam to uczynic. Moglam nawet bez przeszkod ruszyc za rodzenstwem.

Zdazyli mi juz zniknac z oczu, i jesli nie zamierzalam zgubic ich w tej gmatwaninie potrzaskanych skal, musialam sie pospieszyc. Choc bylam w dobrej kondycji fizycznej, glownie dzieki rezimowi panujacemu w internacie, pewnie nie wspielabym sie na pierwszy grzbiet, poniewaz droga okazala sie trudniejsza niz wydawala sie z dolu. Jednak rozpaczliwa potrzeba odnalezienia dzieci dodawala mi sil. Stok byl zdradziecki, uslany kamieniami, ktore poruszone pociagaly za soba inne, wspinaczka wymagalala wiec najwyzszej ostroznosci. Bylam skoncentrowana wylacznie na tym, co znajdowalo sie bezposrednio przede mna.

Dotarlam na sam szczyt i kiedy zmierzylam wzrokiem rozciagajacy sie przede mna teren, stwierdzilam, ze nie zgubilam dzieci. Przebyly juz czesc drogi na nastepna gore. Oomark wlokl sie z tyłu i co jakis czas Bartare przystawala, zeby na niego poczekac. Nie moglam uslyszec tego, co mowila, lecz za kazdym razem wystarczalo to, by na krotko zrywal sie do wzmozzonego wysilku. Pozostalam na miejscu, dopoki nie dotarli do szczytu nastepnego wzniesienia, bylam bowiem niemal pewna, ze gdyby Bartare zobaczyła, ze depcze im po pietach, zrobilaby wszystko, by mnie powstrzymac. Moglam tylko podazac za nimi w pewnej odleglosci, dopoki nie znajdziemy sie na terenie dogodniejszym do marszu.

Skoro tylko przeszli przez grzbiet, ruszylam jak najszybciej za nimi. Gdy znalazlam sie na szczycie, zobaczyłam rozciagajaca sie w dole rozlegla polac w miare plaskiego terenu, z tym tylko, ze wylaniajace sie z gleby skalne odkrywki byly tutaj liczne, a grunt nierowny, poprzecinany bruzdami i pokryty ogromnymi, zwietrzalymi glazami, co sprawialo, ze czlowiek musial poruszac sie wolno i ostrocznie.

Oomark coraz wyrazniej pozostawal w tyle. Nawet kiedy Bartare odwracala sie do niego i czekala, nie wiadomo czy ze slowami zachety, czy tez ostrego ponaglenia, nie przyspieszal kroku. Wlokl sie ze zwieszona glowa i zdawal sie nie odrywac wzroku od gruntu, po ktorym stapal. Nie zatrzymywal sie jednak i prawdopodobnie Bartare na razie to wystarczalo.

Przemierzyl otwarty teren i znikneli. Tym razem dluzej trwalo, nim znowu ich zobaczyłam. Kiedy dotarlam do kranca plaskowyzu, znalazlam sie przed ostrym i glebokim uskokiem. Niemal na wprost pode mna zobaczyłam Bartare, ktora stala zwrocona plecami do tej skalnej sciany. Z rekami wspartymi na biodrach omiatala wzrokiem okolice, obracajac glowa to w

jedna, to w druga strone.

Oomark wciaz jeszcze schodzil po scianie urwiska. W pewnej chwili poslizgnal sie i spadl. Wstrzymalam oddech, kiedy zobaczylam, ze nie podnosi sie, tylko lezy tam gdzie upadl u stop Bartare. Latwo mozna bylo dostrzec, jak bardzo jest zniecierpliwiona, kiedy pochylila sie i obiema rekami chwycila za tunike na jego grzbiecie, podnoszac go najpierw na kolana, a potem do pozycji wyprostowanej. Nawet kiedy juz stal, nie puscala go, jak gdyby w obawie, ze znowu upadnie.

Urwisko bylo granica szerokiej, otwartej przestrzeni, ktora ongi mogla wypelniac rzeka, od dawna juz wyschnieta. Choc tu i tam wsrod glazow rosly male, kolczaste krzewy, nigdzie nie bylo widac najmniejszego sladu mchu czy porostow.

Wielkie kamienie w wiekszosci mialy barwe szarobrunatna. Lecz gdzieniegdzie wsrod nich spoczywaly inne, tak rozniace sie kolorem, ze natychmiast rzucaly sie w oczy. Byly ciemnoczerwone i wszystkie mialy ksztalt nieforemnych kul. Niektore byly tak wielkie, ze siegaly dzieciom do ramion; inne daloby sie ujac w obie rece i podniesc. Lezaly rozrzucone bezladnie, jakby jakis olbrzym wzial garsc kolorowych kamykow i cisnal je od niechcienia, tak ze spadly i potoczyly sie to tu, to tam.

Przyciagaly wzrok. Miejscami tworzyly skupiska, gdzie indziej lezaly z dala od siebie. Jeden z nich, sredniej wielkosci, siegajacy Bartare do pasa, lezal niedaleko od niej.

Ciagnac Oomarka dziewczynka podeszla do tego glazu, potem pochylila sie i podniosla maly kamien. I tym kamieniem stuknela w czerwony glaz. Rozlegl sie wibrujacy dzwiek, przypominajacy uderzenie dzwonu. Bartare nasluchiwala uwaznie, dopoki nie ucichly ostatnie echa.

Ujela Oomarka za ramiona i potrasznela nim gwaltownie, mocno. Jej usta poruszaly sie, lecz nie moglam uslyszec wypowiedzanych slow. Cokolwiek powiedziala, odnioslo skutek. Chlopiec pochylil sie, podniosl odlamek skaly i ustawil sie przed glazem, w ktory przedtem uderzyla Bartare. Ona zas podeszla do innego, jeszcze wiekszego czerwonego kamienia.

Machnela reka. Oomark stuknal kamieniem w swoj glaz, ona zas uderzyla w ten, do ktorego podeszla. Zadzwieczaly dwie nuty, ale o wyraznie roznej tonacji.

Bartare potrasznela glowa i skinela na Oomarka. Podeszli do innej pary czerwonych kul. Wcale nie zrazona tym, co zdawala sie uwazac za niepowodzenie, Bartare sprawiala wrazenie, jakby zamierzala przejsc w ten sposob cala rownina.

Kiedy oddalili sie juz dostatecznie, zeslam z urwiska. Cala nadzieje pokladalam w tym, ze Bartare, pochlonieta tajemniczymi czynnosciami, nie zauwazy mnie, choc nie mialam najmniejszego pojecia jak sie zachowac, kiedy ich juz dogonie. Jednego bylam pewna - ze musze z nimi pozostac.

Znalazlam sie na dnie doliny, rozedrganej od ciaglych uderzen w czerwone skaly. Niekiedy wydawaly niemalze identyczny dzwiek. Raz Bartare zasygnalizowala Oomarkowi, by ponownie uderzyl w te sama skale. Lecz to, czego szukala, ciagle jej umykalo.

Pozostawili juz za soba srodkowa czesc doliny, kiedy ruszylam ich sladem, kluczac miedzy skalami. W pewnej chwili potknelam sie i wyciagnelam reke, zeby sie podeprzec. Wsparlam dlon na jednej z tych czerwonych kul i natychmiast cofnelam reke. Odnioslam wrazenie, jakbym dotknela rozgrzanego rusztu, moze nie az tak rozpalonego, by mogl przypiec mi skore, lecz wystarczajaco goracego, zebym sie wzdrygnela.

Na probe dotknelam jednego ze zwyklych szarych glazow i stwierdzilam, ze ma temperature taka, jak kazdy inny wystawiony na dzialanie slonca kamien, zdecydowanie nizsza niz czerwone skaly. Od tej chwili robilam wszystko, zeby ich nie dotykac. W pewnej chwili spojrzalam na dzieci i zobaczylam wpatrzona we mnie Bartare. Uniosla prawa reke i uczynila ruch, jak gdyby cos ciskala. Snop swiatla trafil prosto w moja twarz, razac oczy.

Rozdzial piaty

Nie potrafie powiedziec, jak dlugo tak stalam oslepiona. Kiedy odzyskalam wzrok, dzieci byly juz daleko, nie po przeciwnej stronie doliny, dokad przedtem zmierzaly, lecz na lewo ode mnie. Zaciskajac i unoszac powieki, zeby usunac resztki mgly sprzed oczu, zobaczylam, ze Bartare i Oomark wciaz uderzaja w kuliste glazy. Kiedy chcialam ruszyc za nimi okazalo sie, ze moje nogi utkwily w jakiejzs zdradliwej pulapce. Kolysalam sie i chwialam, ale nie moglam oderwac stop od ziemi.

Balam sie. Robilam jednak wszystko, zeby pojsc za dziecmi, oddalajacymi sie coraz bardziej i bardziej. Znalazly sie wsrod wyzszych skal, ktore zaczely przeslaniac mi ich sylwetki, az w koncu zupełnie zginely mi z oczu.

Ich znikniecie jak gdyby rozwiazalo krepujace mnie wiezy. Potknelam sie i zaczelam maszerowac, jednak podloze bylo takie, ze nie osmielilam sie bic. Male kamienie usuwaly sie spod stop z niemal zamierzona zlosliwoscia. Musialam pelznac na czworakach, chwytac sie glazow, zeby posuwac sie naprzod.

Jakos udalo mi sie dotrzec do tamtych wyzszych skal. Brnelam wsrod nich z trudem, az w koncu poslizgnelam sie na ruchomych kamieniach i upadlam, bolesnie skrecajac sobie kostke. Potarlam ja ostroznie, obawiajac sie, ze jest zwichnieta. Lecz kiedy wstalam, okazalo sie, ze wciaz moze kustykac.

Jak gdyby spelniwszy swoj cel, luzny zwir i kamienie zaczely zanikac, a podloze stalo sie dogodniejsze do marszu. Wreszcie stanelam pomiedzy dwiema skalami siegajacymi mi powyzej glowy, wsparta reka o jedna z nich, i spojrzalam na otwarta przestrzen, gdzie znajdowalo sie wiele czerwonych kul, znacznie wiekszych od tych, ktore widzialam w tamtej czesci doliny. A wsrod nich byly dzieci.

Oomark wlokl sie tak, jakby byl do cna wyczerpany. Slyszalam dobiegajacy z oddali szept - uznalam go za glos Bartare - ponagajacy chlopca lub namawiajacy do zwiekszenia wysilku. W pewnej chwili Oomark odrzucil kamien, ktory trzymal w rece i odwrocil sie, jak gdyby zamierzajac sie wycofac. Lecz Bartare poruszyła sie tak szybko, ze widzialam tylko jak zniknela w jednym miejscu i pojawila sie w innym, zastepujac mu droge. Ujrzalam twarz Oomarka. Policzki mial czerwone i pobrudzone rozmazanymi sladami lez. Bylo oczywiste, ze podporzadkowuje sie siostrze wbrew swej woli.

Wyciagnela reke, pokazujac cos, a on podniosl inny kamien. Jakas bezradnosc w pochyleniu jego ramion sprawila, ze zapragnelam podbiec do niego i zaslonic go soba. Odwrocil sie wolno i podszedl do najblizszej z tych czerwonych kul, jak gdyby w rzeczywistosci nie widzial tej skaly, a tylko ja wyczuwal.

Bartare znowu poruszyła sie blyskawicznie i pomyslam, ze teraz bede mogla sie do nich zblizyc, bowiem cala jej uwage pochlanialo to, co wlasnie robila.

Kula, ktora uderzyła Bartare, wydalala niski, wibrujacy dzwiek i dziewczynka krzyknela triumfalnie. Pozostala na miejscu i skinela na Oomarka, zeby stuknal w swoja kule.

Zrobil to, a ona jeszcze raz uderzyła w swoja. Dzwieki byly bardzo podobne, lecz nie identyczne. Dopiero kiedy podszedl do trzeciej kuli otrzymala to, czego pragnela. Dwa dzwieki zlaly sie w jedna nute.

Bartare nasluchiwała z lekko przechylona glowa, wpatrzona przed siebie, jakby spodziewala sie cos tam zobaczyc. Kiedy, po dlugiej chwili, nic sie nie wydarzylo, dala znak bratu, zeby uderzyl znowu.

Ponownie ow dlugotrwały, rozedrgany dzwiek przeszył powietrze i poczulam, ze przenika przez moje cialo. Wiedzialam, ze dzwieki mozna odczuwac jako wibracje, lecz to wrazenie bylo przerazajace, tak bardzo, iz czulam, ze musze powstrzymac dzieci przed tym, co robily. Swiadomie lub nie, Bartare przywoływala moce spoza znanego nam swiata.

Ruszylam naprzod i moja kostke przeszył bol. Oomark po raz wtory odrzucil kamien, ktorym uderzal w czerwone skaly, i stal z uniesiona przed twarza prawa reka, jakby oslaniajac sie przed ciosem. I choc slyszalam, ze Bartare pomstuje na niego, nie poruszyl sie, by spelnic jej polecenia.

-Zrob to! - dotarl do mnie krzyk Bartare. - Zrob to, Oomark! Chcesz, zebym na ciebie skierowala moc? Zrob to zaraz!

Przez chwile sadzilam, ze jej nie poslucha. Lecz albo grozby, albo fakt, ze tak dlugo dominowala nad nim, zwyciezily. Pochylil sie i nie patrzac zaczal macac reka, szukajac kamienia. Powieki mial zacisniete, jakby jego siostra byla ostatnia rzecz, jaka chcial zobaczyc.

-Uderz! - wrzasnela na niego.

Podwojna nuta znowu zabrzmiala wibracja, ktora odczulam jako wewnetrzne drzenie. I ponownie to, czego spodziewala sie w odpowiedzi, nie pojawilo sie. Nabralam pewnosc, ze jej zaabsorbowanie tym, co robi, pozwoli mi zblizyc sie do niej i obezwladnic ja. Musialabym jednak zaatakowac od tylu, bowiem w przeciwnym razie moglaby mi sie przeciwstawic rownie skutecznie jak przedtem.

Zdradzil mnie Oomark. Zwrocil sie w strone, skad skradalam sie kulejac, i jakas zmiana w wyrazie jego twarzy musiala ostrzec Bartare. Odwrocila glowe, dostrzegajac mnie katem oka, i krzyknela znowu:

-Uderz!

Potknelam sie i upadlam na jeden z czerwonych glazow, jakby ow rozkaz skierowany byl rowniez do mnie. Torba z prowiantem, ktora nioslam, uderzyła w skale i rozlegly sie trzy, a nie dwie nuty.

Juz wczesniej dwukrotnie odczulam wibracje jako fizyczne doznanie, lecz bylo to niczym w porownaniu z tym, czego doswiadczyłam teraz. Nie potrafie znalezc slow, zeby to opisac. Moze porownywalne byloby uczucie, jakiego doznalabym, gdybym zawisla na linie nad jakas niezglebiona otchlania i wisiala tam przez nie dajacy sie objac umyslem przeciac czasu,

a wszystko dookoła byłoby niepoznawalne i pogrążone w absolutnej ciemności.

Chwila, kiedy straciłam przytomność, minęła, i uniosłam powieki tylko po to, żeby je szybko zamknąć, gdy opanowały mnie gwałtowne nudności. To, co zobaczyłam, było tak obce wszystkim moim doświadczeniom, że zważyłam w swoje zdrowe zmysły.

Leżałam na jakiejś gładkiej, twardej powierzchni. Wiedziałam jednak, że nie może to trwać wiecznie. Musiałam podjąć wysiłek, choćby najmniejszy. Starając się opanować i zdusić dławiący mnie strach, ponownie uniosłam powieki.

Najpierw spojrzałam prosto w górę, obawiając się tego, co mogę zobaczyć. Nie było tam słońca ani księżyca, tylko niemal namacalna szarość, przypominająca półmrok, jaki zapada wczesnym latem o zmierzchu. Tylko że ten półmrok nie działał kojąco, tak jak zwykły działa wieczorne godziny na świecie właściwym dla mojej rasy.

Wolno, bardzo wolno, zwróciłam głowę w prawo. Nie zobaczyłam tam skal otaczających mnie przedtem. Były to raczej geometryczne figury, niektóre spoczywające w bezruchu, inne poruszające się. Z tych ostatnich kilka dryfowało powoli, pozornie bez celu. Inne poruszały się szybko zygzakowatymi trasami. Ich nieskoordynowane ruchy, w połączeniu z przedziwnymi kształtami, wywołały nawrót nudności. Musiałam zamknąć oczy i wyteżyc wszystkie siły, żeby się opanować.

Choć powietrze wokół mnie pozostawało szare, figury te miały krzykliwe barwy, a niektóre z nich były tak jaskrawe, że raziły oczy, gdy przyglądało im się zbyt długo lub starało się dostrzec szczegóły.

Odwrociłam głowę, nie otwierając oczu, dopóki nie mogłam zobaczyć tego, co znajdowało się po lewej stronie. Dopiero potem uniosłam powieki.

Było tutaj więcej nieruchomych trójkątów, prostokątów oraz kilka okręgów, z czego tylko jeden czy dwa kształty szybowaly, żaden zaś nie poruszał się szybko. Wsparałam ręce o powierzchnię, na której leżałam, i uniosłam się odrobine.

Choć od wysiłku zakreciło mi się w głowie, nie zrezygnowałam, poczekałam aż zawroty miną, i osmieliłam się unieść jeszcze wyżej. Leżałam na płaskiej skale, tu i owdzie pokrytej warstwami lśniącego pyłku. Kiedy dotknęłam go palcami, przypominał w dotyku bardzo drobny piasek. Trochę tego błyszczącego pyłu przywarło do skóry i kiedy uniosłam ręce, zobaczyłam wyraźnie zarysy linii na palcach i dloniach, ciemne na jasnym tle.

Dotychczas odbierałam przede wszystkim bodźce wzrokowe. Teraz zaalarmowało mnie również to, co słyszałam. Gdzieś płakało dziecko. Nie był to głośny płacz zrodzony z gniewu czy rozczarowania, lecz żalostne kwilenie malca, któremu odebrano wszelką nadzieję. W tym niesamowitym świecie nie miałam pewności, skąd dochodzi ów szloch. Domyslałam się jednak, które z moich podopiecznych skarży się w ten sposób.

-Oomark! - zawołałam, świadoma tego, że w tym miejscu same dźwięki mogą być niebezpieczne. Musiałam jednak zareagować na ten szloch.

Kiedy po raz drugi zawołałam jego imię, w chlipnieniach nastąpiła przerwa, a potem odezwał się niepewnie, jak gdyby nie dowierzał, że ktoś może tu być.

-Kilda? Czy to ty, Kildo?

-Tak, to ja. Gdzie jesteś?

Uznałam, że musi być gdzieś z lewej strony. Miałam nadzieję, że szukając go nie natknę się na te smigające kształty.

Jakos w końcu się podniosłam i po chwili, kiedy przestało mi się krecić w głowie, stwierdziłam, że mogę iść szurając nogami, i że kostka wciąż mnie boli, bardziej niż przedtem.

-Gdzie jesteś? - powtórzyłam, kiedy nie odpowiedział.

Rozległ się jego głos, bardzo cichy i przestraszony:

-Ja... nie wiem.

-Czy siostra jest z tobą?

Zadając to pytanie miałam nadzieję, że jej tam nie ma. Brakło mi sił, by przeciwstawić się woli Bartare. Potrzebowałam czasu, żeby się pozbierać.

-Nie...

-Mozesz mi powiedziec, gdzie jestes? Co widzisz wokol siebie?

Probowalam ustalic polozenie wedlug nieruchomych figur, mogacych sluzyc za znaki orientacyjne. Byl to karmazynowy stozek, który nie poruszył się od chwili, kiedy po raz pierwszy na niego spojrzalam, i, nieco za nim, jaskrawozielony trojkat, a na lewo od nich cylinder barwy ciemnopomarańczowej. Wydawalo mi się, że głos Oomarka dochodzil wlasnie stamtad i gdyby widzial te same figury, bylaby to dla mnie istotna wskazowka.

-Widze wielkie drzewo... i krzak z zoltymi jagodami... i jakies skaly...

Slowa przedzielone byly chlipnieciami. To przeciez niemozliwe!

-Jestes... jestes pewien, Oomark?

-Tak! Tak! Och, prosze, Kildo, przyjdź tu i zabierz mnie! Nie podoba mi się tutaj! Chce wrocic do domu... Proszę, Kildo, przyjdź tu!

Teraz bylam juz pewna, że jego głos dochodzil spoza karmazynowego stozka. Przystanelam jednak zaszokowana, gdy niebieski pret z dwiema szesciokatnymi pletwami zanurkowal zza mojej glowy i otarl się o pomarańczowy cylinder. Kiedy zniknal, ruszylam uparcie w slad za nim.

-Widze cie teraz, widze, Kildo! - zawolal chlopiec. Zobaczyłam mala, biegnaca postac. Ku mej uldze byl to Oomark w swej normalnej, ludzkiej postaci. Przypadl do mnie i objal mnie mocno. Obawialam się, że kazde z nas moze byc dla drugiego zmienione tak samo jak wszystko, co nas otaczalo. Lecz najwyrazniej on rowniez widzial mnie taka, jaka jestem.

Przywarl do mnie tak mocno, że nie moglam się ruszyc. Musze przyznac, że i ja odpowiadalam usciskiem, który bylby w stanie zakotwiczyć statek. W koncu przestal szlochac i nie sciskal mnie juz tak kurczowo. Osmiellilam się wiec zwrocic do niego z czymś wiecej niz tylko kojacyimi szeptami, które mialy go uspokoic.

-Oomark...

Uniosl wzrok. Twarz mial brudna od kurzu i lez, ale sluchal tego, co mowilam.

-Powiedz mi, co to jest? - Wskazalam na pomarańczowy cylinder.

-Krzak... z jagodami... jest ich tak wiele, że galezie się uginaja - odpowiedzial natychmiast.

-A to? - wskazalam na zielony trojkat.

-Drzewo.

-To? - Teraz przyszla kolej na ciemnoczerwony stozek.

-Wielka, pokruszona skala. Ale, Kildo, dlaczego pytasz? Przecie sama to widzisz...

Osunelam się na kolana i przyciagnelam go do siebie. Musialam liczyć się ze slowami, ale nie moglam zataic prawdy.

-Oomark, sluchaj uwaznie. Wcale nie widze tych rzeczy...

Przerwalam, nie wiedzac, co powiedziec dalej. Samo przyznanie się do tego moglo spotegowac jego strach. Zwrocil się przeciez do mnie szukajac bezpiecznego schronienia, i gdyby to schronienie okazalo się niepewne, moglby zagubic się bez reszty.

-Nasiona paproci... - uslyszalam w odpowiedzi.

Uwaga ta byla tak zdumiewajaca i nieoczekiwana, że pomyslalam, iż postradal zmysly. Lecz on rzesko skinal glowa, jak gdyby moje slowa dowodzily czegos waznego.

-Jakie nasiona paproci? - zapytalam lagodnie.

-Kiedys Ona dala ich troche Bartare. Jesli wlozy się je do oczu albo zje - wtedy widzi się inaczej. Bartare musiala mi je jakos zaaplikowac. A co ty widzisz, Kildo? - zapytal, jakby byl tym naprawde zainteresowany.

"Nasiona paproci", "Ona" - coraz wiecej kawalkow do ukkladanki, ktorej rozwiazanie wydawalo mi sie niemozliwe.

-Tvoj krzak to dla mnie pomaranczowy cylinder. Drzewo jest zielonym trojkatem, a skala ciemnoczerwonym stożkiem. Jego wzrok podazal za palcem, ktorym wskazywalam.

-Zatem to ty widzisz tutaj inaczej, prawda, Kildo?

-Z pewnoscia nie tak, jak ty, Oomark. Teraz posluchaj - powiedziales, ze Bartare odeszla, a przynajmniej, ze nie ma jej obok ciebie. Gdzie ona jest? Widziales, dokad poszla?

-Nie widzialem jej, odkad sie tu znalazlem - odparl. - Ale czuje ja tutaj! - Puscil mnie i klepnal sie prawa reka w czolo.

-Jak myslisz, potrafisz ja odnalezc?

Zadrzal.

-Nie chce tego, Kildo. Ona... jest z nia... Pani.

-A kim jest Pani, Oomark?

Odsunal sie, odwracajac glowe, jak gdyby nie chcial spojrzec mi w oczy.

-Ona... Ona jest przyjaciolka Bartare. Nie lubie jej.

-Gdzie Bartare ja spotkala?

-Najpierw w snach, tak mysle. Ktoregos dnia Bartare powiedziala, ze musimy cos zrobic - zaspiewac jakies dziwaczne slowa. Wylala sok owocowy na ziemie, pokruszyla slodkie ciasteczka, podarla na strzepy piekne piora matki, i zmieszala to wszystko razem. Pozniej usiedlismy na trawie, a ona powiedziala mi, zebym zamknal oczy, policzyl do dziewieciu, potem je otworzyl; wtedy ukaze mi sie cos cudownego. Bartare to zobaczyla, ale ja nie. Nigdy nie widzialem. Pani, Ona, powiedziala Bartare, ze nie mam odpowiednich oczu, albo cos podobnego. Po tym wydarzeniu Ona przychodzila czesto i uczyla moja siostre roznym rzeczy. Wtedy Bartare przestala mnie lubic, ale kazala sobie pomagac. Nie chciala juz bawic sie z Mayra ani Janta, ani z innymi dziewczynkami. Udawala, ze idzie do nich, ale zamiast tego chowala sie i rozmawiala z Pania. I powiedziala mi, iz Pani obiecala jej, ze jesli sie mocno postara, to ktoregos dnia bedzie mogla przeniesc sie do swiata Pani. I... - Rozejrzal sie wokol siebie, usta zaczely mu drzec, a do oczu znowu naplynely lzy. - Mysle, ze to wlasnie sie stalo. Tylko ze znowu musieliśmy zrobic to razem. A ja nie chce tutaj zostac... Kildo, prosze, chodzmy do domu!

Sama niczego bardziej nie pragnelam, lecz nie mialam najmniejszego pojecia, jak to zrobic. Zastanawialam sie nad odpowiedzią, kiedy, spojrzawszy na mnie bystro, Oomark domyslil sie, czego nie chce powiedziec.

-Mysle, ze nie mozemy wrocic, dopoki Bartare i Pani nie wypuszczą nas. Kildo, czy... czy one moga zatrzymac nas na zawsze?

-Nie. - Moze bylam zbyt stanowcza, ale widzac, jak dygocze, nie smialam udzielic innej odpowiedzi. - Ale jesli odnajdziemy teraz Bartare i Pania, moze zdołamy je przekonac, zeby nas puscily.

-Nie chce... Nie lubie Pani. I nie lubie tez Bartare, juz wcale.

Ale spotkam sie z nimi, jesli sadzisz, ze pozwola nam wrocic do domu. Bylo jeszcze jedno pytanie, ktore musialam zadac.

-Oomark, powiedziales, ze Bartare zna Pania od jakiegos czasu. Czy znala ja na Chalox?

-Tak.

-Teraz jestesmy na innej planecie, bardzo daleko od Chalox... - Jesli ten niesamowity labirynt byl czescia Dylana, a pewnosc co do tego nie mialam zadnej. - Czy Pani weszla z wami na statek? Czy moze przez caly czas mieszkala tutaj?

Zaczelam macac wokol siebie. Z pewnoscia nie byl to wynik dzialania espera. A jesli miala tu miejsce halucynacja o takiej zlozonosci i mocy, ze tylko w pelni przeszkolony adept mogl ja wywolac? Gdybym jednak odrzucila to wyjasnienie, coz by mi pozostalo oprócz nocnego koszmaru, zrodzonego z czegos, co nie mialo nic wspolnego ze znanym mi czasem i przestrzenia?

-Ona... - Zmarszczyl brwi, jakbym przedstawila mu problem, nad ktorym nie zastanawial sie przedtem. - Ona byla i tam i

tu. A ten świat należy do niej. Nie lubi naszego świata. Od dawna próbowała doprowadzić do tego, żeby Bartare zjawiała się tutaj, ponieważ trudno jej było ją odwiedzać. Ale ja nie wiem, gdzie to jest! - I znowu omal się nie rozplakał.

-Nieważne. Być może to naprawdę nie ma znaczenia, Oomark. Objęłam go szybko i uscisłam. - Istotne jest to, żebyśmy odszukali Bartare i Pania, i powiedzieli im, że musimy wracać do domu.

-Och, tak!

Kiedy wstałam, chwycił mnie za rękę i pociągnął za sobą. W tym obcym krajobrazie nie widziałam niczego, co by przypominało drogę. A jednak wydawało się, że Oomark wie, dokąd powinniśmy iść. Co jakiś czas wskazywał na któryś z tych błyszczących kształtów i mówił, że jest to drzewo albo krzak, lub jakiś naturalny znak orientacyjny. Lecz dla mnie ta obca kraina nie zmieniała się. Ból w kostce stawał się coraz dokuczliwszy, aż w końcu mogłam już tylko kustykać na jednej nodze. Czulałam też głód i pragnienie. Kiedy wreszcie usiedliśmy pod metnoblekitnym osmiokątem, który według Oomarka był krzakiem, chłopiec rzekł tesknie:

-Jestem okropnie głodny, Kildo. Tamte jagody mi smakowały, ale nie zjadłem ich dużo...

-Jagody? - Położyłam torbę z prowiantem na kolanach, żeby ją otworzyć. - Jakie?

-Te żółte na takim wielkim krzaku. Wylądowałem w nim, kiedy się tutaj znalazłem i owoce rozmasowały mi się na rękach. Ziałem sok, był bardzo smaczny, więc zjadłem trochę jagód. Och, spojrz tam. - Poderwał się na nogi, zanim zdążyłam wyciągnąć rękę, żeby go powstrzymać, i rzucił się w stronę pobliskiego niebieskiego stożka z trzema wierzchołkami. Jego obie ręce zniknęły aż po nadgarstki w stożku. Wyciągnął z niego czerwony krążek, w który wbił zęby. Usłyszałam głośne chrupnięcie i moje ostrzeżenie przyszło zbyt późno.

-Nie, Oomark! Nie możesz jeść czegoś, o czym nic nie wiemy...

Lecz on przełknął już ostatni kęs i znowu sięgnął do stożka, wyciągając kolejny owoc. Ten podał mnie.

-Zjedz, Kilda. Jest smaczny.

-Nie! Proszę, wyrzuc to, Oomark. Znasz obowiązujące w kosmosie zasady. Rośliny z obcych światów mogą być śmiertelnie niebezpieczne. Jeszcze raz proszę, wyrzuc te jagody. Zobacz... mam tu czekoladki. - Grzebałam pośpiesznie w torbie i wybrałam to, co według mnie najbardziej mogło mu smakować - słodczyce.

Położył krążek na ziemi i sięgnął po czekoladkę. Ale uczynił to z wyraźną niechęcią. Oomark uwielbiał słodczyce. Jego reakcja była zupełnie niezrozumiała.

Gdy odwinał czekoladkę i unosił ją do ust, na jego twarzy pojawił się dziwny wyraz niesmaku. Zachowywał się tak, jak gdyby zapach słodczy, za którymi zawsze przepadał, budził w nim odręce. Powoli zawiązał czekoladkę i wyciągnął rękę, żeby mi ją oddać.

-Dziwnie pachnie. Może jest zepsuta albo coś takiego. Nie chce jej, naprawdę, Kildo.

Wzięłam ją od niego i rozwinęłam opakowanie, żeby powachac. Pachniała tak, jak zawsze pachnie czekolada, więc uznałam, że musiało tak na niego wpłynąć coś, co tutaj zjadł. Zdecydowałam, że nie będę zmuszać go do jedzenia słodczy. Kiedy porządnie zgłodnieje, chętnie zje żywność, którą niosłam w torbie. Problem tylko w tym, że miałam jej niewiele. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że rzeczywiście znaleźliśmy się na innej planecie, choć nie potrafiłam wyjaśnić, w jaki sposób i dlaczego zostaliśmy tu przeniesieni. A pierwsza zasada każdego badacza, będącego w takim położeniu, jest korzystanie z własnych zapasów, a nie z miejscowego pożywienia.

Jednak nie spierałam się z Oomarkiem, kiedy zaspokajałam głód witaminizowanym wafelkiem. Zanim ruszyliśmy dalej, obwiązałam kostkę najciasniej jak tylko mogłam.

W żaden sposób nie dawało się rejestrować upływu czasu. Polmrok ani nie gestnił w nocy, ani nie rozjaśniał się w dzień. Tylko moje zmeczenie przekonywało mnie, że wiele minut, czy nawet godzin, minęło od chwili, kiedy Bartare i ja wysiadliśmy ze smigacza w Dolinie Lugraanów.

-Czy daleko stąd do miejsca, gdzie przebywają Bartare i Pani? - zapytałam, kiedy znowu zatrzymałam się, aby odpocząć, choć uszliśmy niezbyt daleko.

-Nie wiem. Tu wszystko... jest dziwne... - Widac było, że Oomark stara się jak może, żeby mi to wyjaśnić. - Czasami różne rzeczy mogą być blisko siebie. A potem... potem jakos się rozciągają i znowu są od siebie daleko. Jeśli myślę o

jakims miejscu, to wydaje mi się ono bardzo oddalone. Ale kiedy po prostu idę i myślę o Bartare... no, to wtedy jest znowu bliżej. Kildo, nie wiem, dlaczego tak jest... naprawdę nie wiem.

Najwyraźniej był zmartwiony i nie naciskałam go dalej, choć to, co mówił, nie miało sensu. Teraz już całe ciało bolało mnie od wysiłku, na jaki musiałam się zdobywać, żeby iść. Z drugiej strony, od chwili kiedy zjadł owoc - jeśli to był owoc - Oomark stał się tak rzeski, jak gdyby wyruszył w drogę rankiem po dobrze przespanej nocy. Kiedy musiałam przystanąć po raz trzeci, zawrócił i podszedł do mnie.

-Kildo, czy noga bardzo cię boli?

-Trochę - przyznałam niechętnie.

-Odpocznij tu przez chwilę. - Rozejrzył się wokół. - Wiem, że nie widzisz tego tak jak ja, ale to mile miejsce. Tutaj... - pociągnął mnie delikatnie, żebym skreśliła w lewo -...rośnie wysoka trawa. Wygląda na miękką i można na niej wygodnie spocząć. Proszę, Kildo. Mogę znaleźć Bartare w każdej chwili. Nie zdoła ukryć się przede mną. Ale Bartare i Pani razem... ja się ich boję. I ty też będziesz się bała, zobaczysz! Musisz mieć więcej siły.

Ból przenikający moje ciało kazał mi posłuchać jego argumentów. Wola zmagająca się z napływającą falą zmęczenia, i przegrała. Potknęłam się i osunęłam na kolana, dokładnie w miejscu, do którego mnie doprowadził. Stwierdziwszy, że podłoga jest tutaj miękkie, nie zdołałam zmusić się, żeby wstać. Z westchnieniem się poddałam.

Rozdział szesty

Ponownie obwiązałam sobie kostkę. Oczy piekły mnie i paliły, jak gdybym wpatrywała się prosto w słońce. Znajdowaliśmy się w świetle, do którego nasz gatunek nie był przystosowany. Jednak Oomark widział go inaczej, wydawał mu się normalny. Czyżby Bartare w jakiś sposób przygotowała go do tego? Choć przymknęłam oczy, żeby nie widzieć krzykliwych barw, daleko mi było do snu. Czulałam zbliżające się niebezpieczeństwo.

-Oomark, od jak dawna Bartare zna Panią?

Kiedy nie odpowiedział, uniosłam powieki. Stał do mnie tyłem. Wszystko, co widziałam w jego pochylonych ramionach i odwróconej głowie, wyrażało niechęć do udzielenia odpowiedzi. Potem odezwał się ochryplym szeptem:

-Nie chce o niej mówić. Ona... ona wie, kiedy o niej mówić!

-Bartare?

-Nie - Pani! To niedobrze o niej wspominać, bo wtedy myśli o mnie. - Nie ulegało wątpliwości, że był wzburzony. Choć bardzo chciałam dowiedzieć się czegoś więcej, wiedziałam, że nie mogę naciskać go zbyt mocno.

-Czy... czy byłeś tu już kiedykolwiek przedtem, Oomark?

-Nie. W domu... na Chalox... nie było sposobu, żeby się tu dostać. Bartare dopiero niedawno dowiedziała się, że istnieje droga, która tutaj prowadzi. Chciała uciec... tylko ze mną... ale było za daleko. Musiała więc czekać, aż nadarzy się okazja, żeby znaleźć się bliżej.

-Czy to właśnie dlatego nie chciałaś, żeby pojechała z tobą na wycieczkę?

Skinala głową.

-Wciąż mówiła, że musi znaleźć się w pewnym miejscu. Ale... ja nie chciałem iść, ponieważ nie chce tu być! Nie chce!

-Zadne z nas nie chce.

Probowalam zasugerowac, ze to tylko kwestia czasu, zanim znajdziemy sie z powrotem na bezpiecznym Dylanie.

-Bartare bardzo chciala sie tu znalezc. Nie odejdzie stad. Zobacysz.

Klopot polegala na tym, ze moglam nie zobaczyc, ale czulam, ze mial racje. I nie wiedzialam, co bede w stanie zrobic, gdy juz spotkam sie z Bartare. Nalezalo pomyslec powaznie o tej konfrontacji. Potarlam piekace oczy. To pieczenie sprawialo bol.

-Oomark, opowiedz, jak tu jest. Chodzi mi o to wlasnie miejsce.

-Coz, rosnie tu wielki krzak, wysoki jak drzewo - zaczal, a potem przerwal i nie odzywala sie tak dlugo, ze otworzylam oczy. Chlopiec wpatrywala sie w rozwozolta trojkat na prawo od nas. Pospiesznie odwrocilam od niego wzrok, poniewaz jego jaskrawe barwy potegowaly pieczenie w oczach.

-Co to jest?

-Ja... nie podoba mi sie to, Kildo. Prosze, czy moglibysmy stad odejsc? Chocby tylko kawalek dalej. Nie chce byc tu ani chwili dluzej.

-Oczywiscie.

Wstalam i poszlamy przed siebie. To nie kostka ani ogolne zmeczenie bylo tym, co sprawialo, ze poruszalamy sie teraz tak wolno, ale raczej moj wzrok. Nieustannie zaciskalam powieki, spod ktorych plynela lzy.

Znalezlismy sie na otwartej przestrzeni, gdzie barwnych, nieruchomych ksztaltow bylo niewiele. Nieobecność razacych kolorow ukoila nieco moje oczy.

Oomark przystanala. Przed nami biegla szeroki zygzak. Jego zlocista powierzchnia migotala, jakby byla w ruchu.

-Potok. - Oomark wpatrywala sie w polyskliwa powierzchnie. Wyglada na gleboki, Kildo. A woda jest metna. Nie widac dna.

-Musimy sie przez niego przeprowiac?

-Bartare jest gdzies tam. - Machnala reka w poprzek blyszczacej smugi.

-Moze uda nam sie znalezc miejsce, gdzie zweza sie lub robi plytszy - zasugerowalam. - Pojdzimy w gore, czy w dol strumienia?

-Ona jest bardziej w lewo.

-Zatem chodzmy tam.

Poczlapalismy dalej, by stwierdzic, ze szerokosc potoku wszedzie byla taka sama. Oomark co rusz meldowal, ze przedostanie sie na druga strone jest nadal niemozliwe. Nagle znowu przystanal.

-Idziemy teraz w zlym kierunku.

Jeden z zakretow zygzaku tworzył kat ostrzejszy niz poprzednie. Gdybysmy dalej szli wzdluz potoku, cofalibysmy sie. Zanim zdazylam sie zastanowic, jak pokonac te przeszkode, Oomark stanal przede mna

-Nie chce isc dalej, nie chce!

Zachowywal sie wyraznie wrogo. Krecil glowa w obie strony, jakby zostal przyparty do muru i musial znalezc droge ucieczki.

-Oomark, co sie stalo?

-Nie chce... nie pojde! Nie zmusisz mnie... nie zmusisz! W jego glosie pobrzmiwaly ostre tony hysterii. - Nie... nie!

Chlopiec rzucil sie na mnie, a ja cofnelam sie o krok czy dwa, tak zaskoczona, ze nie zdazylam wyciagnac reki, zeby go chwycic. Przemkнал obok mnie i uciekl, wbiegajac w gestniejaca szarosc, ktora go pochlonela.

-Oomark! Oomark! - Balam sie, ze go stracilam. Nie rozumialam, co sklonilo go do ucieczki, chyba ze te dwie, za ktorymi podazalismy, tak go odstraszyly.

Nasluchiwalam. Nie odpowiadal na moje wołanie, a w tej mgle moglam jedynie kierowac sie dzwiekami. Uslyszalam cos i pokustykalam w tamta strone, bolesnie nadwerezajac kostke. Potem znowu zapadla absolutna cisza, wiec zawolalam:

-Oomark! Oomark!

Uslyszalam szloch, taki sam jak ten, ktory doprowadzil mnie do niego na poczatku. Probowalam ustalic, skad dochodzi. Okolica byla tutaj wypelniona blyszczacyimi ksztaltami. Ich krzykliwe barwy byly jeszcze jaskrawsze i nieustannie musialam trzec moje umeczone oczy.

W pewnej chwili wpadlam na jaskrawozolty rownoleglobok. Lecz choc takim go wlasnie widzialam, tym, co poszarpalo mi odziez i podrapalo skore, byly kolczaste galezie. Cofnelam sie z okrzykiem, z rak sciekaly mi cienkie struzki krwi. Opadlam na kolana i spojrzalam na podloze. Zobaczyłam tylko aksamitna szarosc. A jednak, kiedy przesunelam rekami, wyczulam zwir i piasek, miękki mech i trawe o bardzo krotkich zdzblach.

W tym momencie fakt, że dotyk mówił coś innego niż wzrok, nie miał większego znaczenia. Liczyło się tylko to, że Oomark zniknął, i że teraz nie słyszałam już nawet jego pochlipywania. Przykucnelam i zawolałam, wytezając jednocześnie słuch:

-Oomark! Oomark!

Moje wołanie wzbudziło tylko słabe, smętne echo, przypominające jęk. Czy powinnam dalej błądzić po omacku? Lecz nie byłam pewna, w którą stronę mam iść.

-Oomark?

Tym razem usłyszałam odpowiedź - zduszony okrzyk, dochodzący z drugiej strony zarosli, na którą wpadłam. Ale z jak daleka? Gdyby tylko odpowiadał na moje wołanie...

-Oomark!

Tak, odpowiedział, choć słyszałam tylko dźwięki, nie dające się ułożyć w słowa. Powlokłam się dalej, unikając jakiegokolwiek kontaktu z kolorowymi figurami. Były tak jaskrawe i błyszczące, że zaczęłam odnosić wrażenie, iż kroczę wśród strzelających płomieni.

-Oomark!

Byłam tak pewna, iż ostatnia jego odpowiedź dotarła do mnie z daleka, że aż wzdrygnęłam się, kiedy usłyszałam głos chłopca tuż przed sobą.

-Jestem tutaj.

Siedział na ziemi i wydawało się, że w jakiś sposób przejął na siebie część tej szarości, tak że dostrzegałam go tylko wówczas, kiedy się poruszał. Kiedy osunęłam się na szare podłoże niedaleko od niego, zaczęłam mrugać i mrugać, żeby zobaczyć go wyraźniej przez zasłone bólu i łez. Ponieważ dostrzegłam w nim coś...

Moje pierwsze wrażenie, że zlewa się tak dobrze z szarością, nie było grą wyobraźni. Musiał się kilka razy przewrócić i pobrudzić ziemią, bo całkiem poszarzał... A może wzrok plątał mi figła? Z lekiem przetarłam oczy. Nie, wciąż widziałam kolory, żółty i pomarańczowy, karmazynowy i szkarłatny. Lecz Oomark był szary i ta szarość z każdą chwilą coraz bardziej ciemniała!

-Nie wróć tam! Nie zmusisz mnie! Bartare i Pani nie chcą mojej obecności! Jeśli tam pójdziesz, one mi zrobią coś złego! Nie pójdziesz!

-Dobrze. - Byłam zbyt zmęczona, żeby w tej chwili przemawiać mu do rozsądku. - Nie musisz. - Bedziesz próbowała mnie zmusić!

Stał się agresywny i wrogi, i pomyślałam, że w każdej chwili może znowu uciec. Dreczyło

mnie przeczucie, że gdyby to zrobił, nigdy bym już go nie odnalazła.

-Nie. - Staralam się, żeby zabrzmiało to stanowczo. - Nie bede. Jestem zbyt zmęczona, żeby iść dalej.

-To dlatego, że nie chciałaś zjeść owocu. - W jego głosie pojawiła się złośliwa nuta. - Nie chcesz się zmienić...

-Zmienić się? - powtórzyłam tępo.

-Tak. Jeśli tego nie zrobisz, to miejsce nie będzie cię lubiło. Jeżeli się zmienisz... no, wtedy wszystko dobrze się skończy. Uwierz mi, Kildo!

Głos Oomarka złagodniał. Wyciągnął szarą rękę, jak gdyby chcąc dotknąć mojej, lecz jego palce nie zetknęły się z moim ciałem.

Zmiana - więc może to nie moje oczy były winne, że widziałam, jak Oomark coraz bardziej i bardziej przybiera barwę ziemi, na której siedział.

-A ty się zmieniłeś, Oomark?

-Chyba tak. Lecz jeśli ty się nie zmienisz, Kildo, nie będę mógł zostać z tobą. A ja nie chcę być sam! Proszę, Kildo, nie skazuj mnie na samotność! Proszę!

Wyciągnął obie ręce, jakby zamierzał mnie chwycić. Jednak odniosłam wrażenie, że me jest w stanie dokończyć tego gestu.

Kiedy z kolei ja wyciągnęłam rękę, chłopiec wzdrygnął się i odsunął. Potem wstał i zaczął się wolno cofać, z twarzą zwróconą ku mnie, jak gdyby pilnując się, żebym go nie zatrzymała.

-Musisz się zmienić, Kildo, musisz!

Odwrocił się i podbiegł do jednego z tych płomiennych kształtów. Tak bardzo sam przypominał płonącą pochodnię, że aż krzyknęłam. Kiedy Oomark cofnął się od tej świetlistej mgły okazało się, że w obu rękach trzyma galaretowatą kulę. Wyciągnął rękę, podając mi ją.

-Zjedz to, Kildo. Musisz to tylko zjeść!

Zanim zdążyłam odmówić, co mogło doprowadzić do walki, ponieważ widziałam, że jest zdecydowany w swoich działaniach, pomiędzy dwóch ognistych kolumn rozległ się dziwny dźwięk.

Był zduszony, ochryply. Mogły to być słowa mamrotane w jakimś nieznany mi języku. Oomark upuścił trzesacą się kulę. Obejrzał się przez ramię i krzyknął z przerażenia.

Rzucił się do ucieczki, umykając z zasięgu mojej ręki. Za nim, dotykając ziemi najpierw jednym, potem drugim wierzchołkiem, sunął jakiś ciemnopurpurowy kształt, który przypominał dwa trójkąty, spójone ze sobą środkami. I z niego to właśnie wydobywały się bulgoczące dźwięki, jak gdyby starał się do nas przemówić.

Choć to coś wyglądało tak niezgrabnie, szybko podążyło w ślad za Oomarkiem. Nie miałam pojęcia, co to mogło być, lecz reakcja Oomarka wskazywała, że jest przerażony.

Dziwny kształt przemknął z tupotem obok mnie, pedząc za chłopcem. Próbowałam uderzyć to coś torbą z prowiantem, gdy mnie mijalo, lecz albo nie trafiłam, albo też nie poczułam uderzenia. I nie zainteresowało się mną.

Jakos udało mi się wstać i ruszyć za ofiarą i myśliwym. Wszystko to stało się tak szybko, że początkowo, być może, kierowały mną wyłącznie odruchy. Potem uświadomiłam sobie nagle całą grozę tego poscigu. Dźwięki upewniały mnie, że Oomark wciąż ucieka, a purpurowa rzecz dalej toczy się za nim.

Mój udział w tej gonitwie nie trwał długo, ponieważ nagle tuż przede mną wybrzuszyła się karmazynowa fala. Nie zdolałam odskoczyć przed tym, co wilo się pod moimi nogami, i tak gwałtownie runęłam na ziemię, że uderzenie pozbawiło mnie tchu i zmysłów.

Otoczała mnie ciemność. Istniał jakiś powód, dla którego musiałam się poruszać. Pelzłam, za każdym ruchem posuwając się naprzód o parę cali. I wciąż ten wewnętrzny przymus nie pozwalał mi odpocząć.

Moje wyciągnięte ręce nagle zanurzyły się w czymś wilgotnym. Wokół nadgarstków pojawiły się zmarszczki, jak na powierzchni cieczy. Woda! Nigdy w życiu nie pragnęłam niczego tak bardzo! Podciągnęłam się, żeby upaść twarzą w wodę. Potem pilam i pilam, jak gdybym nie była w stanie zaspokoić pragnienia. Wreszcie znowu osunęłam się w ciemność.

Zbudziłam się ze snu tak głębokiego, że nie poruszyło się we mnie żadne wspomnienie, dopóki nie usiadłam i nie rozejrzałam się wokół siebie z dziecięcym zdumieniem.

Było jasno, ale bez słonecznego blasku. Jakas myśl zakiełkowała we mnie - co to jest słońce? Ciepła jasność powinna spływać z góry. Uniosłam twarz ku srebrnoszaremu niebu, w które wkrecały się spirale mgły. Nie potrafiłam określić kierunku, z którego dochodzi światło.

Poruszyłam się niespokojnie, gdy powróciły wspomnienia. Oczywiście już nie bolały. Coż - był to normalny, naturalny świat, pozbawiony jaskrawych kształtów. Znajdowałam się przy małej sadzawce zasilanej miniaturowym wodospadem. Z sadzawki wypływał mały strumyk, nad nim zwieszały się rośliny o długich, zielonych liściach w kształcie brzeszczotów starożytnych mieczy. Pośrodku każdego pędu tych liści, jak gdyby była skarbem, do którego dostępu miały bronic owe ostre klingi, sterczała lodyżka w kolorze ciemniejszej zieleni, zwieńczona dużym, białym kwiatem. Na koniuszkach płatków mieniły się srebrne

plamki.

Nieco dalej zobaczyłam krzewy, gęsto obsypane kremowobiałymi i bladoszrebrnymi kwiatami. W miarę jak rozglądałam się wokół siebie, żeby zobaczyć, gdzie jestem, nigdzie nie dostrzegłam żadnych innych barw z wyjątkiem rozmaitych odcieni bieli kwiatów, szarości skał i zieleni liści.

Złożyłam dłonie w kubek i znowu się napiłam. Nagle przypomniałam sobie wszystko.

Oomark? Tamten obcy świat... Chyba jakimś cudem wróciłam na Dylana. Ale co stało się z dziećmi? Czy one także wróciły? Czy też dalej są uwięzione tam - tutaj - w zależności od tego, jak na to spojrzeć. Muszę je odnaleźć, sama, albo z pomocą innych.

-Oomark!

Gdy poderwałam się na nogi, stwierdziłam, że moje ciało jest zadziwiająco lekkie, jak nowe. Nie czułam żadnych dolegliwości, bólu ani zmęczenia, nawet głodu. Byłam tylko zniecierpliwiona.

-Oomark?

Przyjrawszy się uważnie podłozu, zobaczyłam na mchu i glebie ślady, jakie pozostawiłam czolgając się do sadzawki. Może gdybym cofnęła się wzdłuż nich...

Kierując się własnym tropem ruszyłam ku ścianie kwitnących krzewów. Kwiaty wydzielaly intensywny zapach, a wśród nich unosiły się, trzepocząc delikatnymi, przejrzystymi skrzydłami, jakies stworzenia, które nigdy nie zamieraly w bezruchu na czas wystarczajaco dlugi, bym mogła stwierdzić, czy są ptakami, czy też bardzo dużymi owadami.

Potem weszłam pomiędzy drzewa o ciemnozielonych liściach. Tu i tam widniały duże, płaskie jak talerz kwiaty, takie, jakie zwykle rysują małe dzieci: z okrągłym środkiem i wyrastającymi z niego dużymi, oddzielonymi od siebie płatkami. One również były zielone, ale o wiele jaśniejsze i bardziej błyszczące. I niektóre miały konce płatków zabarwione na niebiesko, podczas gdy inne wyglądały jak oproszone delikatnym, srebrnym pyłkiem. Jednak oba rodzaje rosły na tym samym drzewie.

Choć odczuwałam gwałtowną potrzebę odnalezienia dzieci, to jednak idąc rozglądałam się wokół siebie, odnosiłam bowiem wrażenie, że dostrzegam szczegoly szybciej i wyraźniej niż kiedykolwiek przedtem w życiu.

Ślady pelzania, za którymi podążałam, doprowadziły mnie w końcu do miejsca, gdzie zamiast nich pojawiły się odciski butów. Kiedy to zobaczyłam, moja nadzieja, że wydostałam się z tego obcego świata, legła w gruzach: zostawiły je moje własne trzewiki. W pewnej chwili ślady te nałożyły się na inne, wcześniejsze i mniejsze, zdeptane z kolei przez większe. Te większe były dziwnie bezkształtne, nie umiałam określić, jakiego rodzaju

stworzenie je zostawilo. Jedno wiedzialam od razu: musialy pochodzic od istoty, ktora scigala Oomarka.

Podazylam wiec tym nowym tropem. Slady wily sie i kluczily wsrod drzew, wskazujac na to, ze Oomark robil wszystko, by wymknac sie swemu przesladowcy. Wzbieral we mnie strach, gdy bieglam, najszybciej jak moglam, tam, dokad prowadzily.

Tutaj drzewa rosly rzadziej. Wydostalam sie z lasu na otwarta przestrzen, jednak pole widzenia ograniczala mgla. Kiedy obejrzalam sie za siebie, zobaczylam, ze mgla wznosi sie rowniez za mna.

Drzewa ustapily miejsca krzakom, z ktorych wiele bylo obsypanych pachnacymi kwiatami. Cos zanurkowalo nad moja glowa i zniknelo. Pewnie jakis ptak albo inne latajace stworzenie w pogoni za ofiara.

Dreczylo mnie coraz silniejsze wrazenie, ze jestem obserwowana. Dwa razy zatrzymalam sie niespodziewanie i obejrzalam za siebie. Choc nie zauwazylam, by cokolwiek sie tam poruszylo, to jednak nie moglam oprzec sie uczuciu, ze cos wlasnie umknelo, kryjac sie przed moim wzrokiem.

Trop, ktorym podazalam, tak wyraznie odbity w lesnej sciolce, tutaj stawal sie mniej widoczny. Dostrzeglam tylko kilka slabych odciskow i co jakis czas, na niezarosnietym skrawku ziemi, slady butow Oomarka lub bezkszaltnej stopy jego przesladowcy. Raz zupelnie zgubilam kierunek i musialam krazyc tam i z powrotem, az w koncu znalazlam zdeptana i pognieciona trawe, ktora, jak pomyslalam z naglym uczuciem strachu, zapewne oznaczala miejsce, gdzie Oomark zostal pochwycony. Odetchnelam jednak z ulga, gdy dalej dostrzeglam odcisk jego buta.

Slady wskazywaly, ze chlopiec skrecil ostro w prawo. Przyszlo mi do glowy, ze moze chcial wrocic do lasu, bo na otwartym terenie nie znalazl niczego, co moglo sluzyc za kryjowke, z wyjatkiem trawy. Ta byla bardzo gruba i soczysta, siegala lydek i muskala je za kazdym krokiem.

Dziwne opary zasnuly drzewa, z ktorych wyszlam. Zamknely mnie w malej, wolnej od mgly przestrzeni, przesuwejacej sie wraz ze mna. Wygladalo to tak, jak gdyby otaczala mnie jakas oslona o scisle okreslonych granicach, wymyslona po to, bym nie mogla widziec tego, co znajduje sie poza nia. Ta nie zamglona przestrzen poruszala sie razem ze mna, dopoki nie znalazlam sie wsrod skal wznoszacych sie tak wysoko jak drzewa... Kiedy dotarlam do tego miejsca uslyszalam placz, ktory swoja absolutna beznadziejnoscia zwiastowal grozace niebezpieczenstwo.

Ostrzezona w ten sposob zblizalam sie tak cicho, jak umialam, z uwaga stawiajac stopy na zwirze i drobnych kamieniach, gesto zalegajacych wsrod skal, dopoki nie znalazlam sie w miejscu, z ktorego moglam spojrzec w dol zbocza.

Tuz na skraju wolnej od mgly przestrzeni zobaczyłam tych, których tropiłam. Oomark wciskał się pomiędzy dwie skały, tak jakby szukał azylu, zapewniającego bezpieczeństwo. Plakał, choć bardziej przypominało to beczenie - dźwięk, jaki może wydawać człowiek, kiedy strach doprowadza go do stanu granicznego z utratą zmysłów. Poruszał słabo wyciągniętymi rękami, jak gdyby odpychał od siebie jakiegoś napastnika.

Jednak istota, która go ścigała, wcale nie była tuż przy nim, a raczej zachowywała spora odległość, cofając się za każdym razem, kiedy próbowała postąpić naprzód, jakby jakaś niewidzialna ściana wznosiła się pomiędzy nią a chłopcem. Nie... nim... tym... Wstrzymałam z niedowierzania oddech, lecz równocześnie byłam pewna, że wzrok nie mami mnie, i że to, co się tam czai, naprawdę tak właśnie wygląda. Wielkości człowieka, z grubsza rzecz biorąc humanoidalne, nie przypominało żadnej z obcych ras, których przedstawiciele zdarzyło mi się widzieć. Barki, masywne i pochylone, sprawiały, że zbyt duża głowa stworzenia wychylała się do przodu, podskakując w takt ruchów, zamiast sterczeć do góry. Ramiona miało długie, nogi krótkie, i całe pokryte było czarnymi włosami, kędzierzawymi jak sierść zwierzęcia. Pomyslałam, że to jednak nie zwierze, ponieważ tu i tam na pokrytym sierścią ciele widniały poszarpane szczatki odzienia, poprzekrecane i powiązane ze sobą. Choć wyglądało na to, że stworzeniu byłoby o wiele wygodniej, gdyby je zrzuciło - nie potrafiło się ich wyrzucić, tak jak człowiekowi trudno się wyrzucić ulubionej maskotki.

Co jakiś czas stworzenie nieruchomiało i zwracało głowę w stronę Oomarka, i wtedy słyszałam niezrozumiałe mamrotanie; takie same odgłosy wydawało to stworzenie, kiedy goniło chłopca. Lecz Oomark nie odpowiadał ani nie poruszał się, wyjąwszy te powtarzane bez przerwy gesty odpychania.

Zastanawiałam się, dlaczego stworzenie nie podejdzie bliżej i nie wyciągnie chłopca z tego kiepskiego przecież schronienia. Z pewnością dysponowało mocą nieskonczenie przewyższającą siły przerazonego dziecka. Jednak nie ulegało wątpliwości, że z jakiegoś powodu nie potrafi zrealizować swoich zamiarów wobec ofiary, jakiegokolwiek by one były.

To jego niezdecydowanie, czy może niezdolność do realizacji zamierzeń, stwarzały mi szansę na przyjscie z pomocą. Strzasnąłam z ramienia torbę z prowiantem. Jej zawartość upchnęłam za tunikę, a potem zaczęłam zbierać odpowiednie rozmiarami i wagą kamienie.

Rozdział siódmy

Z wypełnioną kamieniami torbą w ręce ruszyłam naprzód, kryjąc się za skalami. Potworna postać znowu próbowała zbliżyć się do chłopca. Jej kroki były tak ciężkie i powolne, iż uznałam, że może nie potrafi reagować zbyt szybko. Jednak nie mogłam mieć co do tego pewności. Niedocenianie przeciwnika okazuje się czasem fatalne w skutkach. Obserwowałam, jak się kreci, wybierając odpowiednią chwilę do ataku. Potem skoczyłam, krecąc torbę, by uderzyć nią w łeb potwora. Moja prowizoryczna broń była jednak nieporęczna i cios trafił w bark, zeslizgując się po nim.

Osiagnelam przynajmniej to, ze bestia krzyknela, zatoczyła sie do tyłu i opadła na kolana. Ominelam ja i dopadlam do skal, gdzie krył sie Oomark. Gdy juz sie tam znalazlam, odwrocilam sie na piecie, zeby stawic czolo atakom stworzenia.

Wciaz kleczalo, z jedna lapa na ramieniu, w ktore trafil cios, potraszajac glowa, wydawalo dzwieki przypominajace kwilenie. Nie mialam pojecia, jak dlugo bedzie niezdolne do dzialania. Wyciagnelam reke do Oomarka, choc probowal mnie odepchnac. Jakos udalo mi sie wyciagnac go ze szczeliny pomiedzy skalami.

Wyrywal sie, najwyrazniej zbyt wyczerpany i zdenerwowany, by mnie rozpoznać, usilujac uciec. Gryzl mnie i drapal, lecz trzymalam go mocno, jednocześnie usilujac uspokoic chlopca zapewnieniami, ze juz nie jest sam.

Nie wiem, czy w koncu to do niego dotarlo, czy tez moze po prostu byl zbyt zmeczony, zeby dluziej walczyć. W pewnej chwili zwiotczal w moim uscisku i poczulam, ze dzwigam bezwladny ciezar.

Jedna reka zaczelam szukac po omacku torby, druga zas podtrzymywalam go, opierajac o siebie.

Bestia nadal zajmowala sie soba. Dopiero kiedy osmielilam sie uwierzyc, ze zdolamy uciec, owlosiona glowa odwrocila sie ku nam. Nos byl ledwie zaznaczony, a oczy tak gleboko osadzone w oczodolach, ze z trudem je dostrzeglam. Zamiast ust widniala szczelina, teraz dosc szeroko rozwarta, jakby bestia z trudem lapala oddech. A odsloniete w ten sposob kly wydawaly sie tak grozna bronia, ze z moja nedzna torba z kamieniami poczulam sie tak, jakbym za pomoca zdzbla trawy miala walczyć z laserem.

-Oomark! - Probowalam mowic stanowczym tonem, zeby przebic sie przez strach, ktory go zniewolil. Bylo oczywiste, ze nie zdolam niesc go i rownoczesnie bronie sie przed bestia. - Oomark! Musimy stad odejsc. Rozumiesz?

Poczulam jak przez drobne, przycisniete do mnie cialo przebiegl dreszcz. Wciagnal glosno powietrze, lecz nie odpowiedzial.

-Kilda? - Wygladalo to tak, jakby nagle zdal sobie sprawe, ze to ja stoje pomiedzy nim a zrodlem jego strachu.

-Tak, to ja, Kilda! - Nie bylo czasu na dalsze uspokajanie. Nalezalo uciekac, zanim ten stwor znowu zagrozi nam droge. Opanowalam zniecierpliwienie i dodalam: - Znalazlam cie, Oomark. Lecz teraz ty musisz mi pomoc. Czy dasz rade isc, jesli bede trzymala cie za reke? Nie moze cie niesc.

-Kildo, to cos...! - Trzymal mnie tak mocno, ze nie moglam sie poruszyc. - To cos zlapie nas!

-Nie, jeśli stąd odejdziemy. - Staralam się mówić cicho. - Uderzyłam go, Oomark. Jest ranny. Ale musimy stąd odejść, zanim zdola nas zatrzymać.

Chłopiec odwrócił głowę, żeby spojrzeć na potwora. I kiedy to zrobił, moja ręka musnęła wierzch jego głowy. Wydałam chyba okrzyk zaskoczenia, ponieważ przywarł do mnie jeszcze mocniej.

Jednak to nie zachowanie bestii mnie tak wstrząsnęło. Tym czymś było to, co moja ręka wyczuła na głowie chłopca, i co zobaczyłam, kiedy już wiedziałam, czego szukać. Nad każdą skronią, symetrycznie rozmieszczone na głowie, widniały dwie małe wypukłości. Jak na guzy, które mógł nabicić sobie podczas ucieczki, były zbyt regularne. I nie bolały go, ponieważ nie uchylił się, kiedy ich dotknęłam.

Przyjrzałam mu się uważnie. Rzeczywiście, wyglądał jakos dziwnie szaro. A na jego drobnych ramionach i nogach, tam gdzie spod rozdarc w tunice i spodniach przeswiecała skóra, zauważyłam miękki meszek delikatnego, nowego owłosienia. Zmieniał się, zmieniał się w coś, co było zupełnie niepodobne do małego dziecka, ludzkiego dziecka.

Przez chwilę zapomniałam nawet o owłosionym potworze, naszym wrogu, ale dźwięk głośniejszy od poprzedniego kwilenia kazał mi na niego spojrzeć. Stwór podniósł się na nogi, lecz jego ruchy były niepewne. Zaszwiła mi nadzieja, że mój cios, mimo że nieco chybiony, zranił go jednak.

Stwór uczynił jeden czy dwa chwiejne kroki w naszą stronę. Zakolysałam torbę, którą trzymałam mocno za pasek. Chciałam przygotować się do zadania ciosu. Stwór musiał uznać to za ostrzeżenie. Przystanął.

Zobaczyłam, jak jego wąskie usta poruszają się, a w ich kącikach zbiera się ślina, jakby zmagal się z czymś. Potem wyciągnął przed siebie jedną łapę z uniesioną do góry, pustą dłoń, w geście błagania, podczas gdy te wijące się wargi wyartykułowały dwa słowa, kulawe i niewyraźne, jednak zrozumiałe:

-Nie... przyjaciel...

Wyciągnięta ręka przysunęła się do gardła, chwytając i szarpiąc za owłosioną skórę, jak gdyby stwór był tak przygnębiony niemożnością porozumienia się ze mną, że chciał wydrzeć słowa ze strun głosowych.

Po długiej chwili poruszyłam się. Stwór dawał do zrozumienia, najlepiej jak potrafił, że nie będzie przeszkadzał nam w odejściu. Nie miałam pojęcia, na ile postawa, jaka teraz prezentował, zasługiwała na zaufanie. Jednak prawda była, że bez trudu mógł oderwać Oomarkę od skał, a przecież nie zrobił tego. Musiałam zaryzykować...

Kiedy tak się wahalam, stwór odwrócił się od nas. Powłócząc nogami, z ręką na zranionym ramieniu, zaczął się oddalać. Nie spojrzał ani razu do tyłu, tylko człapał dalej, dopóki nie

zniknal nam z oczu. Czy wszystko to bylo jedynie udawaniem i czy nie bedzie skradal sie za nami, by urzadzic zasadzke gdzieś wśrodek skal?

Pozostanie tutaj nie bylo zadnym rozwiazaniem. Pomyslalam, ze mimo mgly, moze uda mi sie wrocic do lasu, a nawet do sadzawki, gdzie sie ocknelam. Tylko... co to mi da? Naprawde wazna rzecza bylo - nie mialam co do tego watpliwosci - odnalezienie Bartare i tej tajemniczzej Pani. Drzwi otwieraja sie na dwie drogi i jesli

doprowadzily nas tutaj, powinny tez pozwolic nam wrocic. Nalezy tylko je odnalezc. A najlepszym sposobem na to jest wytropienie tego, kto ma do nich klucz.

-To stworzenie odeszlo. - Lagodnie ujelam Oomarka za glowe i nakierowalam tak, zeby sam mogl zobaczyc. - Teraz, kiedy go nie ma, my tez powinniśmy odejsc.

-Szybko - zanim to cos wroci!

Jego reka, zacisnieta na moim pasie, pociagnela mnie w strone otwartej przestrzeni. Ale ja mialam dosyc blakania sie. Nalezalo obrac jakis cel.

-Oomark, chcesz odejsc stad, z tego swiata, prawda?

Nie uniosl glowy, tylko rzucil mi z ukosa dziwne spojrzenie. A ja po raz wtory przezyłam wstrzas, kiedy zobaczylam, ze jego oczy nie sa juz cieple i brazowe, lecz twarde i lśniacozłote, oczy, jakich nigdy przedtem nie widzialam w ludzkiej twarzy.

-Odejsc stad... - powtorzyl. - Tak, prosze, Kildo! Zanim to cos wroci!

-Oomark, czy wciaz wiesz, gdzie jest Bartare?

Jeszcze jedno spojrzenie tych złotych oczu.

-Zawsze wiedzialem. Jej to nie obchodzi... juz wcale.

-Dlaczego?

-Poniewaz... poniewaz... - Jego drobna twarz wykrzywila sie w wyrazie zaklopotania. - Mysle, ze to juz chyba nie ma znaczenia.

Bardzo chcialam wiedziec, dlaczego to juz nie ma znaczenia. Lecz jakos nie moglam zmusic sie, zeby o to zapytac. Zamiast tego powiedzialam: - Czy teraz mozesz ja znalezc?

Popatrzyl na mnie wprost, mierzac mnie dlugim, badawczym, wcale nie dzieciecym spojrzeniem. Bylo zimne, pelne rezerwy, i nie przypominalo Oomarka takiego, jakiego znalazlam. Potem skinal glowa.

-Teraz moge. Chodźmy!

Chwycił mnie za reke i pociągnął na lewo od skal. Przynajmniej, o ile stworzenie nie zatoczyło koła po tym, jak straciliśmy je z oczu, oddalaliśmy się od miejsca, gdzie zniknęło we mgle.

-Jestem głodny - oświadczył Oomark po pewnym czasie.

Bardzo szybko otrząsał się z przerażenia i stanu granicznego niemal z utratą zmysłów. Dziwiło mnie to odrobine i zastanawiałam się, czy leżało to w jego naturze, czy też było jeszcze jedna manifestacja zachodzącej w nim przemiany.

-Poradzimy sobie. Mam racje żywnościowe.

Poklepałam reka wybrzuszenie na tunice, gdzie schowałam zapasy.

Wykrzywił twarz.

-Nie chce tych smieci, mam ochotę na prawdziwe jedzenie.

-Jest wystarczająco prawdziwe - zapewniłam go - choć może trochę wytrzesione. Znajdźmy jakieś miejsce z dala od tych kamieni i posilmy się. - Teraz, kiedy wspomniał o jedzeniu, ja również poczułam głód.

Skąły ustąpiły miejsca lachom piasku i żwiru. Lecz była to najbardziej kolorowa rzecz, jaka zdarzyło mi się dotychczas zobaczyć wśród odcieni zieleni i bieli, bowiem wiele mniejszych kamyczków nosiło intensywne, ciepłe barwy, przypominające nieco jaskrawe kolory kształtów, pomiędzy którymi przechodziłam wcześniej.

Oomark puścił moją reke i odskoczył na bok, potem pochylił się i wyrwał coś z ziemi. Wrocil z ciemnopurpurową rośliną o kształcie wachlarza; jej mięsiste liście miały zielone żyłkowanie.

-Dobre!

Machnął nią przede mną, a jego podarte rękaw zatrzepotał ukazując ramie, na którym szare włosy wydawały się jeszcze dłuższe i gęściejsze niż przedtem. Uważnie przelamał roślinę na dwoje i podał mi jedną część, wgrzyzając się w drugą z wyraźnym zadowoleniem.

Potrząsnęłam głową. Byłam pewna, że nie zdolam odebrać mu jego kawałka. Tak samo jak tego, że za żadne skarby świata nie wezmę do ust tej dziwnej rośliny. Oomark przeżuł kęs i przełknął.

-To naprawdę jest dobre! - zachęcił mnie, najwyraźniej zaskoczony moją odmową.

-Możesz to jeść, jeśli chcesz. Ale zostaw trochę miejsca na prawdziwe jedzenie.

Znowu położyłam reke na tunice w miejscu, gdzie schowałam prowiant. Chciałam się

upewnic, że wciąż mam to, czego chłopiec potrzebuje. Nie wiedziałam jednak, na jak długo starcza skąpe zapasy. Prawdopodobnie było to tylko kwestia czasu. Wkrótce zmuszona będę jeszcze dokładnie to samo, co teraz z taką radością pałaszował Oomark.

Znaleźliśmy dogodny miejsce na odpoczynek. Uznałam, że jest bezpieczne, ponieważ znajdowaliśmy się na otwartym terenie, gdzie jedyną osłoną był sięgający mi do pasa głaz, tak więc nikt nie mógł podkradnąć się do nas niepostrzeżenie. Oomark nie miał nic przeciwko temu, by się tam zatrzymać.

Gdy tylko usiedliśmy na ziemi, Oomark zaczął mocować się z zaczepami butów.

-Bola mnie stopy. Czuję się tak, jakby buty przestały na mnie pasować. Chcę zobaczyć dlaczego...

Szybkość, z jaką odzyskał pogodę ducha po przerażających zajściach, wciąż nie przestawała mnie zdumiewać. Nigdy bym nie przypuszczała, że drzemia w nim tak wielkie siły witalne, ale teraz cieszyłam się, że tak właśnie jest.

Gdy on zdejmował buty, ja wyciągnęłam rozmaite pojemniki, którymi wypchałam tunikę. I choć naprawdę mogłabym zjeść wszystko od razu, otworzyłam tylko jedno opakowanie, przelamując na pół grubą baton, który się w nim znajdował. Było to jedno z wysokokalorycznych, owocowo-proteinowych ciastek, wysmienitych w smaku.

Jednak kiedy wzięłam swoją porcję ciastka i uniosłam do ust, jego zapach wydal mi się wstretny. Musiałam przemoczyć się, żeby przeżuć i połknąć kęs, a smak wcale nie był przyjemny. Przypomniała mi się wcześniejsza awersja Oomarka do czekolady. I zastanowiłam się, czy ktoś, kto skosztował jedzenia lub picia z tego świata, nie nabiera odrazy do właściwego mu pożywienia. Uparcie gryzłam dalej baton. I im dłużej to robiłam, tym mniej stawało się to nieprzyjemne, tak że ostatni kęs czy dwa smakowały już normalnie.

-To dla ciebie - powiedziałam, podając drugą połowę Oomarkowi.

Potrząsnął głową.

-Nie chce. Jest zepsuty albo coś takiego. Nawet stąd czuję, że brzydko pachnie. Nie powinnas jeść takich smieci, Kildo. Możesz się przez to rozchorować.

Nie chciałam spróbować niczego z tego, co miałam. A ponieważ nie mogłam nakarmić go siłą, musiałam pogodzić się z faktem, że w starczyła mu roślina, która zjadł.

Może później, jeśli nie znajdzie ich więcej i naprawdę zgłodnieje...

Zdjęłam wierzchnią tunikę i zrobiłam z niej worek, który mogłam przymocować do pasa. Torba na prowiant musiała dalej pełnić rolę broni. Było ciepło i lekkie podmuchy wiatru

piescily skore na moich ramionach. Choc od pasa w gore chronila mnie tylko spodnia tunika, pozbawiona rekawow i z glebokim dekoltem, nie czulam zimna.

W szarym swietle moja naga skora zdawala sie nabierac innej barwy. Nie bylam szara jak Oomark; z natury brazowa karnacja stala sie jeszcze ciemniejsza i bardziej czerwonosniada. Nabrala tez polysku, jak gdyby natarto ja oliwa. Jednak w dotyku wydawala sie normalna.

Starajac sie obyc bez lustra, przesunelam rekami po glowie i twarzy, zeby chociaz w ten sposob dowiedziec sie, jak wygladam.

Rezultat nie byl tak porazajacy jak wowczas, kiedy zobaczylam to okropne odbicie w mojej sypialni, lecz i tak wystarczajaco mnie zaskoczyl. Przede wszystkim wlosy, ktore zawsze krecily mi sie tak mocno, ze majac trudnosc z ich ukladaniem strzyglam je krocej niz nakazywala moda, opadaly teraz prostymi pasmami. Pociagnelam za jedno z nich - wlosy nie byly juz ciemnobrazowe, lecz zielone. Ponad wszelka watpliwosc zielone!

Na tyle, na ile moglam stwierdzic, moje oczy, nos, usta pozostaly takie jak zawsze. Bylam wdzieczna przynajmniej za to.

-Teraz lepiej!

Oomark sciagnal buty, odrzucil je tak, jakby juz wiecej nie chcial ich widziec, i wyciagnal nogi przed siebie.

Jego stopy... nie! W owej chwili najchetniej krzykiem wyrazilabym swoj sprzeciw wobec tego, co widzialam, z tym tylko, ze bylam zbyt przerazona, by wydac z siebie jakikolwiek dzwiek. Nie wygladaly juz jak ludzkie stopy. Palce zrosly sie tak, ze to, na co patrzylam, bylo czymys posrednim pomiedzy zdeformowana stopa a rozszczepionym kopytem, nad ktorym przypominajace siersc owlosienie wyrastalo o wiele dluzsze i gesciejsze niz gdzie indziej.

-Oomark...

Choc wzdragalam sie przed tym, zmusilam sie, zeby wyciagnac reke, dotknac kopyta i przesunac nia w gore po obrosnietej sierscia nodze. Tlila sie we mnie rozpaczliwa nadzieja, ze jest to tylko zludzenie optyczne, ze pod palcami poczuje normalna stopa.

Ale tak nie bylo. Dotyk potwierdzal, ze kopyta Oomarka i jego owlosione nogi sa rzeczywiste, tak samo jak moje proste, zielone wlosy.

-Teraz bedzie mi sie szlo o wiele lepiej - oswiadczył. Najwyrazniej widok kopyt wcale go nie klopotal. Wygladalo na to, ze spodziewal sie je zobaczyc, kiedy sciagal buty. Zamachal nogami jak ktos, kogo uwolniono z krepujacych wiezow.

Gdy obejrzałam go uważnie od tych kopyt po czubek głowy, zobaczyłam coś jeszcze. Guzy na jego skroniach stały się znacznie większe, już nie krągłe i pokryte skórą, lecz zakrzywione, spiczaste i kremowobiałe. To były rogi!

Zdarzają się chwile, kiedy człowiek staje w obliczu zbyt wielu wstrząsów i potem wszystkie, nawet najbardziej niewiarygodne i zdumiewające wydarzenia przyjmuje obojętnie. W jakiś sposób dotarłam do tego właśnie punktu. A może znajdowałam się w takim szoku, że nie znalazłam w tym niczego odbiegającego od normy? Że było to dziwne - owszem, ale nie potęgowało mojego strachu.

Skoro tylko ruszyliśmy dalej, znowu zaczęło przesładować mnie uczucie, iż jesteśmy śledzeni. Lecz zasłona mgły była tak gęsta, że oglądanie się za siebie nie dało mi nic z wyjątkiem przekonania, iż jeśli ktoś lub coś podąży za nami, to z pewnością nie depte nam po piętach.

Oomark nie wziął z sobą butów; zostawił je tam, gdzie je odrzucił. Jeszcze dwukrotnie wrywał z ziemi purpurowe rośliny i przeżuwał je, za każdym razem oferując mi część. Nie chciałam tego, co mi dawał. Tylko raz wzięłam kawałek, żeby przyjrzeć mu się bliżej, i stwierdziłam, że reaguje na jego zapach tak samo, jak Oomark reagował na won moich racji żywnościowych. Roślina w dotyku była tak nieprzyjemna, że musiałam wytrzeć palce o spodnie, kiedy już ją wyrzuciłam.

-Jak daleko jesteśmy od Bartare? - zapytałam udrecona tym, że wciąż idziemy i idziemy bez końca. Szliśmy przez płaską łąkę, porośniętą gęstą, bujną trawą, pozbawioną choćby jednego krzaka, na którym można byłoby zatrzymać wzrok. Trawa miała szczególną właściwość: rosła w na pozór równych kępkach. Ich brzozy wyznaczały wyższe i wyraźnie ciemniejsze zdzbla. Zauważyłam, że Oomark nigdy nie następował na żadną z tych ciemniejszych obreży, kiedy przechodził przez kępy. Nasładowałam go w tym z wrodzonej ostrożności, podpowiadającej mi, że wszystkie środki podjęte w celu uniknięcia niebezpieczeństwa są dobre.

Znajdowaliśmy się właśnie pośrodku jednego z takich kępek, kiedy zadałam to pytanie. Oomark prowadził. Teraz obejrzał się przez ramię i stwierdziłam, iż jego rogi jeszcze bardziej rzucają się w oczy. Zobaczyłam też, że małe uszy chłopca wydłużyły się, a ich konce zrobiły się wyraźnie spiczaste.

-Nie wiem. Jest tam... - I z przekonaniem wskazał na mgłę, która rozciągała się przed nami.

Lecz gdzie było to "tam"? Wydawało się, że nie ma pojęcia i w końcu spochmurniał, kiedy naciskałam dalej. Powiedział, że nie potrafi tego określić - wie tylko, iż Bartare jest przed nami, i że jeśli zajdziemy wystarczająco daleko, znajdziemy ją. Przyjrzałam się mgłę z powątpiewaniem. Choć nie potrafiłam tego zmierzyć, to jednak miałam całkowitą pewność, iż na początku tej wędrowki mogłam sięgnąć wzrokiem znacznie dalej, i że teraz mgła otacza nas coraz ciasniej. Ta konstatacja nie należała do przyjemnych, tym bardziej w

sytuacji, kiedy nabrałam przekonania, że jesteśmy śledzeni. A jeśli te okraszające nas opary zgestnieją tak bardzo, że się w nich zgubimy? Wówczas stałibysmy się łatwym łupem dla każdego, kto by na nas czekał.

Z pewnością byłoby dla nas lepiej, gdybyśmy znaleźli jakieś schronienie i zaszyli się w nim, dopóki mgła nie rozwieje się albo przynajmniej nie wróci do stanu, w jakim znajdowała się, kiedy wychodziłam z lasu. Lecz zanim zdążyłam zasugerować to Oomarkowi, chłopiec zbliżył się do mnie. Spoglądał na lewo, a jego nos, wyraźnie większy, z szerokimi, rozdętymi nozdrzami, zdawał się łowić dochodzące stamtąd wonie.

-Lepiej zostanmy tutaj, w pierscieniu Ludu - powiedział. Inni być na zewnątrz.

Nie tylko jego wygląd uległ zmianie; zmienił się także sposób wyśławiania - mówił teraz inaczej, dziwnie dobierając słowa. Zaskoczył mnie też swoim postępowaniem: opadł na czworaki i obszedł krąg od wewnątrz, z nosem tuż przy ziemi, weszac głośno. Kiedy obszedł cały obwód, usiadł w kucki na kopytkach.

-To dobre miejsce. - Klepnął w ziemię obiema rękami. - Inni nie przełamia kręgu, rozumiesz? Poczekamy tutaj, dopóki znowu nie przyjdzie odpływ...

Usiadłam na ziemi, żeby przyjrzeć się bliżej jego zmienionej twarzy z nadzieją, że może zdolam odczytać coś z jej wyrazu.

-O jakich innych mówisz, Oomark?

-O innych... o Pomrocach. Oni i Lud nigdy nie są jednym. Ale tutaj człowiek z Ludu jest bezpieczny, chyba że musi długo czekać i jest zmęczony. - Zadrzał jak ktoś, kto wspomina przeżyte chwile grozy.

-A kto należy do Ludu? - dopytywałam dalej łagodnie. Oomark, jakiego znalazłam, niemal zniknął, zatracony w tym obcym dziecku. Pragnęłam złapać i trzymać mocno ostatnie niedzne resztki jego dawnej osobowości, ale nie miałam pojęcia, jak to zrobić.

-Do Ludu? Chyba nie wiesz, co mówisz, Kildo. Wszyscy znają Lud... ty... ja...

-Bartare i Pani też?

-Tak, wszyscy, tak - skinął głową.

-A inni? Czy to jeden z nich cie ścigał?

Odniosłam wrażenie, że pytanie zakłopotало go nieco. - On nie należał... do Pomroczy. Ani do Ludu. Był jednym z Pomiedzy. - Wymówił słowo "pomiedzy" jak nazwę gatunku. - I ty też, Kildo, staniesz się kims takim, jeśli nie będziesz uważać! - To ostatnie zdanie wykrzyczał pod moim adresem jak groźbę.

Spojrzałam na ramiona i ręce, żeby upewnić się, że nie widac na nich szorstkiego zarostu, że nie zmieniam się w potwora jak ten, którego uderzyła torba z kamieniami. Lecz moja skóra, choć ciemna i łsniaca, wciąż była gładka.

-W jaki sposób mogę się stać kims takim?

-Jeśli nie zaakceptujesz, nie zostaniesz zaakceptowana.

Wypowiedział to zdanie poważnym i uroczystym tonem, jak gdyby wygłaszał obowiązujące prawo.

-Przebyłaś połowę drogi. Lecz twoja wędrowka musi zaprowadzić cię jeszcze dalej. Zdejmij buty, dotknij stopami ziemi - czuj!

Zawahałam się. Kiedy Oomark zrzucił trzewiki, odkrył kopyta. Czy jeśli ściagnę swoje, ujrze podobną deformację? Spróbowałam podkurczyć palce u nóg - miałam pewność, że mogę nimi poruszać. Ale musiałam przekonać się na własne oczy. Zdjęłam buty.

Moje stopy! Nie miałam kopyt, ale stopy wcale nie były takie jak zawsze. Palce zrobiły się dłuższe i szczuplejsze. Wydawały się rozprostowywać, jakby każdy z nich otrzymał dodatkowy staw. I okazały się o wiele bardziej chwytne, niż u ludzi. Te nowe, giętkie palce zagięły się, zupełnie bez mojej woli, i wbily w ziemię.

A ja poczułam wstrząs, jak gdyby te szpony, zanurzając się w glebie, napotkały tam źródło energii, która przepłynęła przez nogi i wypełniła całe ciało. Gwałtownym ruchem wyrwałam je z ziemi i spróbowałam znowu nałożyć buty.

Ale nie dało się tego zrobić. Musiałabym tak podwinąć palce w butach, że uniemożliwiłoby mi to chodzenie. W dodatku szpony wily się niezależnie od mojej woli, gdy próbowałam złączyć je i wcisnąć do butów, jak gdyby żyły własnym życiem i były zdecydowane z powrotem zanurzyć się w podłożu.

Ostatecznie oderwałam od butów wysciółkę i z furii obwiązałam nią ciasno stopy. Może nie poradzę sobie z własnym ciałem i kośćmi, ale poskromię buntownicze palce, które mnie nie słuchały, pomyślałam.

Skoro tylko zostały owinięte tak, że żaden nie dotykał bezpośrednio ziemi, uspokoiły się. I niemal uwierzyłam, że wysciółka skrywa normalne, ludzkie stopy. Musiałam iść dalej bez butów, lecz płotno było zabezpieczeniem, którego nie śmiałam porzucić.

-To nie było mądre, Kildo - zauważył Oomark. - Lepiej żebyś wstąpiła na ścieżki Ludu, bo inaczej zginiesz, ponieważ nie należysz do Pomroczy...

-Jestem Kilda c'Rhyn - rzuciłam wyzywająco. - Nie należę do tego świata! Tak samo jak i ty, Oomarku Zobak!

Wtedy rozesmiał się w sposób zupełnie nie dziecienny.

-Och, należysz, Kildo, należysz, tak samo jak i ja. I wkrótce nie będziesz się już tego wypierala. Wcale.

Rozdział osmy

W owej chwili nie chciałam spierać się z Oomarkiem, ponieważ dostrzegłam w nim coś, co mnie przed tym powstrzymywało. Choć wciąż był małym chłopcem, w jakiś sposób wydawał mi się starszy, bardziej skryty. Nie podobały mi się te kose spojrzenia, którymi co jakiś czas obrzucał ramię, napawając się, ciesząc się z moich trudności, może szukając zachodzących we ramię zmian? Znowu sięgnęłam po jedzenie. Lecz on nie chciał nawet spróbować tego, co mu oferowałam. Sama zjadłam o wiele mniej, niż miałam na to ochotę. Lecz musiałam się ograniczać. Wiedziałam, że tych zapasów nie da się uzupełnić.

Zaczęło padać, a może to tylko mgła, która coraz bardziej gęstniała, skraplała się na naszych ciałach. Siegnęłam wzrokiem tylko do zewnętrznej krawędzi pierscienia, w którym siedzieliśmy. Dostępnie, jednak wszechobecna wilgoć wcale mi nie dokuczala.

Coś dziwnego działo się na mojej głowie i kiedy uniosłam ręce, stwierdziłam, że wilgotne włosy wcale nie przylegają do czaszki, tylko sterczą wyprostowane, i muszę przycisnąć je ręką, żeby opadły. Wilgoć na skórze i we włosach sprawiła, iż przestałam odczuwać pragnienie.

Kiedy spojrzałam na Oomarkę, zobaczyłam, że lizę mechaty zarost na grzbietach raka (bowiem wyrosł mu już i tam), i nawet na ramionach, zupełnie jak wybredny kot, który robi sobie toaletę, kiedy przemoknie, choć nie wydawało się, by wilgoć psuła mu humor. Potem z gwałtownym szarpnięciem poderwał głowę, spoglądając gdzieś nad moim ramieniem. Odwróciłam się, by też tam spojrzeć. Początkowo zobaczyłam tylko klebiącą się mgłę. Potem dostrzegłam jakiś ciemniejszy kształt, który nie unosił się wraz z tumanami mgły, lecz przedzierał się przez nią. Choć do moich uszu nie dochodził najbliższy dźwięk, zrozumiałam, że to coś okrąża pierscien. Czy właśnie to podążało za nami?

Sięgnęłam po obciążoną kamieniami torbę. Jakże pragnęłam mieć przy sobie ogluszacz lub pistolet laserowy. Jednak ta istota, kimkolwiek była, jawiła się tylko jako ciemny kształt.

Oomark obchodził krąg od wewnątrz, śledząc ją wzrokiem. Zastanowiłam się, czy widzi więcej ode mnie.

-Co to jest?

-Pomrocz.

Jego nozdrza rozszerzyły się, jak gdyby weszac, a potem dodał:

-Nie może przedostać się do kregu. Ale... - unosił głowę nieco wyżej -...na zewnątrz jest coś jeszcze.

W tej właśnie chwili poczułam zapach, który kazał mi odwrócić ze wstretiem głowę. Fala wywołującego mdłości odor, przypominającego fetor zgnilizny i nieczystości, ogarnęła nasze schronienie. Musiałam krzyknąć, bowiem usłyszałam, jak Oomark powiedział:

-To jeden z Pomroczy. Zawsze tak pachną. Ale ten drugi...

Oomark wstał. Przed nim przesunął się mroczny cień. Lecz chłopiec wpatrywał się prosto przed siebie we mgłę. Po chwili potrząsnął głową.

-Jest tam. Wydaje mi się, że się nam przygląda. Ale nie wiem, co to może być, poza tym że nie cuchnie jak Pomrocze.

Jeśli chciał powiedzieć coś więcej i tak zagłuszyłby to wysoki, donosny dźwięk, który sprawił, że zadrzałam. I coś zareagowało na ten sygnał trąby czy rogu - z tak bliska, że pomyślałam, iż to krzącący wokół nas cień mógł udzielić odpowiedzi. Brzmiała jak głuche, dudniące warknięcie.

Jeszcze raz rozległ się sygnał, przywodzący na myśl wezwanie, zadanie, tak bardzo bowiem był władczy. I ponownie odpowiedział mu pomruk, posepny skowyt, brzmiały jak sprzeciw. Lecz gdy owy róg zabrzmiał po raz trzeci, po nim rozległ się nie pomruk, lecz raczej głęboki, donosny ryk, być może pożądana odpowiedź.

Oomark znowu przykucnął, obejmując ramionami kolana. Skulił się tak, jak gdyby chciał uczynić się jak najmniejszym, pozostać nie zauważonym. Zobaczyłam, że wstrząsają nim dreszcze. Głową wcisnął w kolana, tak że nie mogłam dojrzec, jaki wyraz maluje się na jego twarzy.

Choć starałam się przebić wzrokiem ścianę mgły, nie zobaczyłam już tego ciemnego cienia ani też nie doszedł do mnie jego fetor. Gdzieś w szarych tumanach po raz kolejny zadzwieczał róg. Teraz nie stanowił już wezwania, brzmiało w nim raczej zadowolenie, obietnica, że najgorsze dopiero nastąpi. Zanim jeszcze umilkły jego echa, rozległo się ujadanie, dźwięk, który sprawił, że mimowolnie uniosłam ręce do uszu. Nagle zapragnęłam zapasować się pod ziemię i naciągnąć na siebie osłonę z darni.

-Co to jest? - zapytałam szeptem Oomarka. Zdawał się wiedzieć wiele o tym świecie, a jego strach był tak oczywisty, że pomyślałam, iż potrafi nazwać to, co dla mnie pozostawało bezimiennie.

-Polowanie! Ach... - Jego słowa urwały się w jęku obłednego strachu. - On poluje...

-Kto? - Chwyciłam Oomarka za ramię. W odpowiedzi zamierzył się na mnie, jak gdyby teraz nie potrafił odróżnić przyjaciela od wroga. - Kto? Powiedz mi! - Potrząsnęłam nim.

-Nadzorca Pomroczy. - Dziwne, zolte oczy, ktorymi Oomark mierzyl ten obcy swiat, byly utkwione w scianie mgly. Jego jezyk przesuwal sie po wargach. - Wzywa swoja sfere na lowy...

Z pewnoscia nie moglo to mnie uspokoic. Nasluchiwalam, nie puszczajac Oomarka, starajac sie wylowic z wilgotnej mgly najlzejsze dzwieki. Lecz kiedy rog zabrzmial znowu, jego glos byl slabszy, odleglejszy, a okropne ujadanie, ktore nan odpowiedzialo - ledwie slyszalne.

Poczulam, ze Oomark odprezyl sie odrobine. Jeszcze raz przejechal jezykiem po wargach. Wciagnal powietrze w nozdra.

-Czarny pies odszedl - zameldowal.

Zdawalam sobie sprawe, ze musze wyciagnac z Oomarka wszystko, co wiedzial - lub czego domyslal sie - o tym swiecie. Wedrowka na slepo, kiedy czlowiek nie wie, kiedy i skad pojawi sie niebezpieczenstwo, byla zbyt wielkim ryzykiem. W wiedzy kryla sie moja nadzieja.

-Oomark, musisz powiedziec mi wszystko, co wiesz o tym swiecie - o istotach takich jak Pomrocze i lowca...

Znowu spojrzal na mnie z ukosa, chytrze.

-Prosze, Oomark, jesli mamy isc dalej, musze wiedziec, jakie niebezpieczenstwa czaja sie tutaj.

Wzruszyl ramionami.

-To twoja wina, ze nie potrafisz okreslic zagrozenia. Chcesz nalezec do tamtego swiata, a nie w calosci do tego.

Wtedy zbuntowalam sie.

-Wcale nie naleze do tego swiata! Chce wrocic do wlasnego.

-Widzisz? - Rozlozyl z zaklopotaniem rece. - Postanowilas byc posrodku. I dlatego lowca Pomroczy - i tacy jak on - moga na ciebie polowac. Chcesz wiedziec... masz taka mozliwosc, ale ty nie chcesz po nia siegnac.

-Oomark! - Moja cierpliwosc byla na wyczerpaniu. - Powiedz mi wszystko, co wiesz.

Chlopiec zawahal sie. Pomyslalam: jesli odmowi, w jaki sposob zmusze go, zeby powiedzial? Potem Oomark rzekl wolno:

-Nie wiem wszystkiego, ale kiedy zabrzmie cos takiego jak rog lowcy, wowczas tutaj... - dotknal reka czola - ...pojawia sie wiedza. Wiem, co mozna jesc i pic, co mozemy spotkac

na drodze, i czy będzie to przyjaciel, czy wrog. Ale zanim się to wydarzy, nic nie wiem, naprawdę. Dopiero kiedy widzę lub słyszę...

Nie wątpiłam, że mówi prawdę. Zanim jednak zdążyłam wyciągnąć z niego więcej, unosił nieco głowę i wskazał coś, wysuwając podbródek.

-Jeden z Pomiedzy, ten który był przy skalach, jest tutaj.

-Czego chce?

Oomark mówi! z taką pewnością, jak gdyby widział owłosionego stwora.

-On głodny...

W moich myślach zrodziło się straszliwe przypuszczenie. Czy to my byliśmy ofiarą, którą tropił stwór? Zaciśnięłam rękę na torbie i zebrałam siły do obrony.

Oomark dotknął mojego ramienia i potrząsnął głową.

-On nie chce nas. Nie jest taki jak łowca. Nie, on pragnie tego, co niesiesz - jedzenia z innego świata.

-Dlaczego?

-Nie wiem. Wiem tylko, że go przyciąga. Chce go tak bardzo, że jest dla niego jak cały świat. Nie potrafi myśleć o niczym innym, tylko o tym. A ja z kolei czuję jego wielki głód w sobie. - Oomark przyłożył obie ręce do brzucha, pocierając go.

Ale dlaczego? Dlaczego stwór z tego świata chce moich skromnych zapasów? I nie dostanie ich, pomyślałam zawzięcie. Tobolek spoczywał bezpiecznie pod moją ręką; w drugiej dzierżyłam torbę, przygotowaną na jakikolwiek atak.

-Tak, tego właśnie chce. Będzie podążał za nami, dopóki starczy mu sił. Jest ranny, dobrze wiesz. Kiedy go uderzyłam, zraniłam go. Tutaj. - Oomark dotknął palcami własnego barku, delikatnie, jakby obawiając się, że urazi jakąś ranę.

-Mimo to wciąż jest bardzo silny...

Aż za dobrze pamiętałam cielsko stwora i wcale nie pragnęłam być zmuszona do odpierania kolejnego ataku.

-Jest zmęczony i ranny. Teraz znalazł inny pierscien i odpoczywa w nim. Lecz kiedy ruszymy dalej, on pójdzie za nami - rzekł z przekonaniem Oomaik, a ja mu uwierzyłam. Więc tylko od nas będzie zależało, czy zgubimy albo zniechęcimy podążającego za nami stwora.

Dziwne, ale nie miałam ochoty na sen, choć czułam zmęczenie, kiedy dotarliśmy do kregu.

Oomark również nie sprawiał wrażenia, że potrzebuje snu. I choć trochę rozmawialiśmy, to przede wszystkim spędzaliśmy czas (ile go jednak upłynęło, tego nie potrafiłam określić) jak gdyby w oczekiwaniu na jakiś sygnał. A jednak to nie czekanie budziło we mnie niepokój i zniecierpliwienie. Źródłem zdenerwowania była raczej ospałość i cisza. Nic się na razie nie działo.

Nie słyszeliśmy już więcej żadnych dźwięków. Nie widzieliśmy też cieni poruszających się we mgle. W końcu uświadomiłam sobie, że kurtyna unosi się i mój wzrok sięga dalej. Oomark poderwał się na nogi, a raczej na kopyta.

-Teraz jest czas wychodzenia. Ruszajmy w drogę. Jestem głodny.

Sięgnęłam po zapasy. Oomark potrząsnął głową.

-Chcę prawdziwego jedzenia - nie takiego, którego zapach wywołuje mdłości.

Powiedziawszy to przeskoczył przez ciemniejszą zielen krawędzi kregu, a jego małe kopytka zagrzechotały na splachetku skały, który się tam znajdował. Spojrzałam na moje buty. Było oczywiste, że nie zdolam ich znowu nałożyć. Owinięte wokół stop strzepy wysciolki musiały je zastąpić. Nie widziałam żadnego powodu, żeby obciążać się niepotrzebnymi rzeczami. Zostawiłam je więc tak, jak leżały, i ruszyłam za chłopcem.

Mgła unosiła się coraz szybciej. Teren, gdzie się zatrzymaliśmy, był płaski, pokryty wieloma pierścieniami różnej wielkości. Całkiem niedaleko od nas ktoś zajmował jeden z tych pierścieni. Zgarbiona postać, podnosząca się teraz niezdarnie na nogi, była stworzeniem, ścigającym Oomarkę. Strzepy, które zastępowały mu odzież, trzepotały na wietrze. Stworzenie odwróciło głowę w naszą stronę. Jedno ramie zwisało bezwładnie u boku. Lecz drugie poruszyło się, wyciągając ku nam pustą rękę, z uniesioną do góry dłoń. Zobaczyłam, że usta stworzenia poruszają się, jak wówczas, kiedy usiłowało coś powiedzieć.

Stworzenie wkładało w to tyle wysiłku, że w końcu mój strach zabarwiony został cieniem współczucia. Nawet ja rozumiałam, iż nie chce zrobić nam krzywdy, przynajmniej na razie; błagało nas o to, co miałam przy sobie. Dlaczego tak bardzo pragnęło jedzenia, którym gardził Oomark? Wąskie usta poruszały się, w ich kącikach pojawiła się ślina. A ręka, drżąca, jak gdyby utrzymanie jej w tej pozycji wymagało wysiłku, wyciągnęła się do mnie błagalnie.

-Chodź! - Oomark wysforował się naprzód. Oglądał się teraz niecierpliwie. - Chcę jeść.

-Jeeeeesc... - Słowo było nieudolnym naśladowaniem tego, co powiedział chłopiec, jednak stworzenie wypowiedziało je.

Lokciem przyciskałam mocno do siebie prowiant, w drugiej ręce zaś kołysałam obciążoną kamieniami torbę. I nagle zrozumiałam, że nie potrafię uczynić tego, co nakazywał zdrowy

rozsadek. Chwyciłam w zęby pasek torby, trzymając ją w pogotowiu. Potem sięgnęłam uwolnioną ręką po żywność. Nie patrząc, chwyciłam to, co pierwsze wpadło mi w ręce. Był to kawałek czekolady.

Nie przyglądając się, z obawy, bym nie zrobiła się jeszcze bardziej hojna, rzuciłam czekoladę mniej więcej w kierunku stworzenia i pobiegłam za Oomarkiem.

Chłopiec przystanął i kiedy zównałam się z nim, spojrzał na mnie pochmurnie.

-Dlaczego to zrobiłaś?

-Ponieważ... było mi przykro, że...

-Ze co?

Rozesmiał się nieprzyjemnie i wyciągnął rękę.

Odwrociłam się i zobaczyłam, że stworzenie przypadło do ziemi i kuli się, tak jak Oomark, kiedy usłyszał dźwięk tamtego strasznego rogu. Nie uczyniło najmniejszego ruchu, żeby podążyć za nami.

-Co... co się stało?

-Jest ci przykro. - Szydził ze mnie, szczerząc zęby w uśmiechu, który wcale nie był miły i przypominał mi... Bartare! - Tobie jest przykro. Lecz jemu jest jeszcze bardziej przykro! - Dźgnął palcem w kierunku nieruchomej postaci.

-Dlaczego?

-Dalaś mu jedzenie - a teraz popatrz na niego! To boli, boli i boli. I on zasługuje na ten ból! Nie jest ani jednym, ani drugim. Może wkrótce stanie się niczym.

-Oomark... - Chciałam chwycić go za ramię, lecz uchylił się i rozesmiał nienawistnie. - ...To jedzenie... czy on się nim zatrul?

-Jeśli nie, to będzie chciał, żeby tak się stało. Ty też, Kildo, ty też tego zapragniesz. Popatrz na siebie - tylko popatrz!

Teraz on z kolei chwycił mnie za ramię i przysunął mi je do oczu, sciskając wystarczająco mocno, żeby zostawić ślady.

Brunatny połysk mojej skóry stał się wyraźniejszy. Tworzyło się na niej coś w rodzaju twardej skorupy. Wyszarpnęłam się Oomarkowi, nie chcąc na to patrzeć.

-Nie możesz tego powstrzymać, rozumiesz? - Głos Oomarka nie był już tak szyderczy. - Spojrz na mnie!

Zaczal podskakiwac to na jednym kopytku, to na drugim, obracajac sie tak, ze moglam obejrzec go ze wszystkich stron. Siegnal do zapiecia tuniki, rozluznil je. Potem sciagnal z siebie wierzchnia i spodnia szate, i stal teraz nagi do pasa. Nagi? - nie! Jego male ciało pokrywal miekki, szary puch. Byl rzadszy na ramionach i barkach moglam dojrzec pod nim skore - lecz tors porastalo znacznie obfitsze i dluzsze owlosienie.

-Ubierz sie! - powiedzialam, starajac sie, aby w tym rozkazie zabrzmial moj dawny autorytet.

-Nie! - Kopnal ktoras z tunik. - Nie! - Rozwarl szeroko ramiona, podskakujac w groteskowym tancu. - Jest mi w nich za goraco. Drapia mnie. Nie zaloze ich juz nigdy! - Odbiegl ode mnie, jak gdyby w obawie, ze bede chciala zlapac go i ubrac sila. Nie mialam takiego zamiaru, jednak nie zostawilam tunik, tak jak butow. Zrolowalam je ciasno i wepchnelam do torby z kamieniami.

-Chodz! - Oomark skinal na mnie. Lecz ja jeszcze raz spojrzalam na owlosiona istote.

Czy Oomark mial racje? Czyzby jedzenie, o ktore obcy tak zalosnie blagal, rzeczywiscie okazalo sie trucizna? A jesli nasza naturalna zywnosc wiodla go do zguby, to dlaczego tak bardzo jej pozadal - lub pozadala? Dlaczego przesladowal nas, zebrał o nia? Jezeli to pozywienie bylo trucizna dla mieszkancza tego swiata, czy nie wynika z tego, ze miejscowe jedzenie okaze sie takie samo dla nas? Ja jadlam wylacznie to, co mialam przy sobie. Lecz Oomark...

Odegnalam od siebie wszelkie mysli o rannym stworzeniu i pobieglam za chlopcem, zdecydowana, ze tym razem nie pozwole mu na takie ryzyko.

Spoznilam sie jednak, bowiem Oomark stal przy duzym krzaku lub malym drzewie, rosnacym przy jakimś kopcu. Obsypane bylo zlocistymi jagodami, a Oomark juz biesiadowal. Mial towarzystwo - tu i tam z galezi zwisaly te przejrzystoskrzydłe stworzenia, ktore widzialam w lesie. A w trawie dostrzeglam jakies male zwierzatka.

Zarowno skrzydlate stworzenia, jak i zwierzeta, nie zwracaly uwagi na Oomarka ani tez na mnie, kiedy podeszlam blizej. Bez reszty absorbowalo je jedzenie. Jagody byly duze, mniej wiecej wielkoscia paznokcia kciuka, i tak soczyste, ze kiedy skorka pekala, sok pryskal na wszystkie strony. Oomark wpychal je do ust po trzy i cztery na raz, tak ze sciekalo mu po brodzie i skapywalo na porastajace piers owlosienie.

-Masz.

Wyciagnal lepka reke z lezacymi na niej trzema jagodami. Kiedy potrzasznelam przeczaco glowa (a wymagaloby to ode mnie samozaparcia, poniewaz widok jagod sprawil, ze zapragnelam ich skosztowac), wyszczerzyl zeby w usmiechu. Potem wzruszyl ramionami i wrzucil sobie jagody do ust.

Odsunelam sie, zdajac sobie sprawe, ze nie zdolam go powstrzymac, i lekajac sie, ze sama moze ulec pokusie. Przyjrzałam sie uwaznie kopcowi, przy którym rosl ten krzak. Pagorek dziwnie nie pasowal do plaskiego terenu, sprawiajac wrazenie, ze zostal tu celowo usypany z jakiegos dawno zapomnianego powodu. Co wiecej, byl tylko pierwszym w szeregu kopcow biegnacych w linii prostej. Do sciany mgly, ograniczajacej pole widzenia, naliczyłam ich dziewiec.

Przy kazdym roslo cos, co wygladalo na krzew badz niewysokie drzewo, ale nie wszystkie nalezaly do tego samego gatunku. Na trzech zobaczyłam zolte jagody. Kuliste owoce trzech innych mialy barwe purpurowoczerwona; na mojej dloni zmiescilby sie jeden taki owoc. Nie znajdowaly one amatorow wsrod zerujacych stworzen. Prawde mowiac, wygladaly odpychajaco. Liscie tych drzew nie mialy jednolitego ksztaltu; byly nieregularne i tak intensywnie ciemnozielone, ze niemal czarne.

Trzy pozostale drzewa rozjasnialy ten pejzaz; ich dlugie, wstazkowate i bladozielone liscie mialy srebrne obwodki. Wysmukle pnie i galezie tych drzew okrywala kora - nie szorstka, lecz gladka i rowniez o srebrzystym odcieniu. Nie bylo na nich owocow, tylko biale kwiaty zebrane w kiscie, ktore kolysaly sie lagodnie, nawet wowczas, kiedy wydawalo sie, ze nie ma wiatru. Co jakis czas dochodzila do mnie fala woni tak slodkiej, ze mialam ochote podbiec i zanurzyc twarz w tych kwiatkach. Jednak tak samo jak purpurowe owoce, zdawaly sie ostrzegac przed dotknieciem, choc nie budzily we mnie takiej odrazy, jak tamte.

Wszystkie te drzewa posadzono wedlug oczywistego wzoru: najpierw zlote jagody, potem purpurowe kule, wreszcie srebrne kwiaty. Potem ten wzor powtarzal sie jeszcze dwa razy do sciany mgly. Nie ulegalo wiec watpliwosci, ze nie jest to przypadek. Czym byly te kopce? Grobami dawno zapomnianych wladcow lub kaplanow? Otaczala je aura minionych czasow, aura rzeczy, ktore zapadly sie w ziemie, jak gdyby spoczywalo na nich brzemie nie tylko uplywajacych lat, ale calych stuleci. A moze byly to okryte ziemia szczatki budowli, ruiny jakiejś starozytnej fortecy?

Wygladalo na to, ze Oomark nasycil sie, podszedl bowiem od krzaka, ukleknal i wytarl rece w trawe. Wiechciem trawy staral sie tez zetrzec sok z twarzy, choc bez wiekszego powodzenia.

Potem wstal, odwrocil sie twarza do pagorka i uniosl obie rece. Trzymajac je z rozwartymi i skierowanymi ku gorze dlonmi, przemowil - z pewnoscia nie do mnie ani do latajacych i podskakujacych stworzen, ktore wciaz objadaly jagody.

-Dzieki ci, o Uspiony, za hojnie zastawiony stol, za wspaniala uczte.

Slowa brzmialy jak rytual, jak inwokacja. Gdy juz to powiedzial, nie marudzil, tylko podszedl do mnie, jak ktos przygotowany do szybkiego dzialania.

-Kim jest Uspiony?

Na twarzy Oomarka pojawił się wyraz zakłopotania.

-Nie wiem - odparł, oglądając się na kopiec.

-Ale powiedziałes...

-Powiedziałem, ponieważ jest to właściwe i stosowne. Przestanieś wciąż pytać i pytać, Kildo! Gdybyś zjadła, wiedziałabyś - nie musiałabyś pytać!

-Tak, wiedziałabym, gdybym zjadła. Czy to właśnie dlatego ty wiesz, Oomark?

-Chyba tak. Tak czy inaczej wiem, że tutaj dziękują się Uspionemu po jedzeniu. Lud zawsze dziękują.

Ruszył dalej, obierając trasę równoległą do szeregu pagórków. Minał drzewo z czerwonymi owocami i zbliżył się do tego z kłociami srebrnych kwiatów.

-A co z tymi? - Cały czas starałam się wzbogacić moją wiedzę. - Tu jest więcej owoców...

-Nie! - Odwrócił wzrok od purpurowych kul. - Jeśli zjesz te umrzesz. Nie wszyscy Uspioni są przyjaźnie nastawieni do Ludu. Nie jedz tych i nie dotykaj tamtych! - Wskazał na kwiaty.

-Sa równie niebezpieczne?

Na jego twarzy znowu pojawił się wyraz zakłopotania.

-Nie... nie w taki sam sposób. To znaczy... ci Uspioni pomogliby Ludowi, gdyby to było możliwe, ale nie są w stanie tego zrobić. - Zmarszczki na jego twarzy pogłębiły się. - Naprawdę nie wiem, Kildo. Owoce są złe, ponieważ tamten Uspiony nienawidzi nas. Ale kwiaty - ci Uspioni nie są wystarczająco podobni do Ludu, żeby można ich było dotykać.

Sa zatem trzy rodzaje Uspionych, wywnioskowałam - oferujący jagody dla pokrzepienia; niebezpieczni i zli; oraz ci zbyt niepodobni do mieszkańców, żeby nawiązywać z nimi kontakt. A może moja wyobraźnia płatała mi figle, może dostrzegałam zbyt wiele w tym, co widziałam i słyszałam od Oomarka?

Gdy mijaliśmy pagórek ze srebrnym drzewem, jego kwiatowe pęki i długie, wstęgowe liście zafalowały. Poruszały się tak, jakby targal nimi silny wiatr. Jednak drzewa przy sąsiednich pagórkach stały spokojnie. W końcu porywy wichury złamały cienką gałązkę, uginającą się pod ciężarem kwietnego pędu. Nie spadła, lecz zawisła w powietrzu, unosząc się coraz wyżej, aż została cisniona podmuchem wiatru i jak ostrze włóczni wbila się ulamanym koncem w ziemię u moich stóp.

Oomark krzyknął i odsunął się. Kierowana odruchem pochyliłam się i ujęłam gałązkę pod kolyszającą się kłocią kwiatów. Poczulałam się tak, jakbym chwyciła lodowy soplek, bowiem

przez moje ramie przepłynęła fala piekącego zimna. Jednak nie pusciliłam gałazki. Zamiast tego wyszarpnęłam ją z ziemi.

Wichura, która odłamala gałazkę od drzewa i cisnęła przede mną, ucichła, jak gdyby nigdy jej nie było. A... moje palce...!

Okrywająca je brunatna i twarda skorupa zaczęła pękać i łuszczyć się jak wyschnięta farba. Odslonięta w ten sposób skóra była dalej śniada, lecz była to skóra, jaka miałam przez całe życie. Choć moja ręka wciąż przenikało zimno, nie chciałam odrzucić gałazki. Wsunęłam ją pieczołowicie za pas. Oomark cofnął się jeszcze dalej.

-Wyrzuc ją, niech wraca tam, skąd przyszła! - Wskazała ręką stojące bez ruchu drzewo. - Zrani cię!

Zgięłam palce i z wdzięcznością stwierdziłam, że są zupełnie normalne.

-Taka rana przyjmie z radością. Zobacz, Oomark, moja ręka jest teraz taka jak zawsze!

Chłopiec krzyknął i rzucił się do ucieczki, umykając przede mną tak jak przed owłosionym stworem, jakbym teraz ją uosabiała scigająca go groźbę.

Rozdział dziewiąty

Wymknął mi się bez trudu i pedził dalej, nie zwracając żadnej uwagi na moje rozkazy, a potem błagania. Zachowywał się tak, jak gdyby wiedział, do jakiego schronienia chce dotrzeć. Opanowała mnie myśl, że jego ucieczka może mieć dwójaki skutek: nie tylko utracę dziecko, za które czułam się odpowiedzialna, ale i sama pozostanę bez przewodnika, którego tak bardzo potrzebowałam. Jakos udało mi się nie stracić go z oczu, kiedy mijaliśmy ostatnie pagórki. Za nimi ciągnęły się inne, tyle że te nie miały tak wyraźnych kształtów jak kopce; były bardziej spłaszczone.

Oomark nie skręcił, lecz wbiegł pomiędzy nie. Gęsto porośnięte trawy, wznosiły się z obu stron, dając mu teraz osłonę. Biegając zastanawiałam się, czy mogą to być ruiny jakiegoś wielkiego miasta. Jeśli tak, to niewiele pozostało z jego murów i budynków.

Tu i tam, niekiedy w małych kępach, rosły skarłowaciałe drzewa ze śmiercionośnymi, purpurowymi owocami - choć te wydawały się nieco mniejsze. Wiele dojrzałych owoców spadło i leżało w trawie, drażniąc nozdrza odorem zgnilizny.

Gdy coraz więcej i więcej takich drzew zaczęło się pojawiać w polu widzenia, stwierdziłam, że dławię się i kaszle, z konieczności zwalniając tempo biegu. Teraz zupełnie straciłam z oczu Oomarka, zniknął za ścianą mgły.

Znowu zaczęłam biec, najszybciej jak mogłam, wołając go po imieniu. Ale tylko echo tego wołania, zniekształcone, jakby wydobywało się z ust, które nie zostały stworzone do

poslugiwania sie ludzka mowa, wracalo do moich uszu. Potem uslyszalam odglos trzepotania, jakies krakanie, i spojrzalam w lewo.

Roslo tam kilka z tych owocowych drzew. Na nich, pod nimi, siedzialy, chodzily i zerowaly jakies opierzone stworzenia. Uznalam, ze sa opierzone, dopoki nie przyjrzalam im sie lepiej. Mialy pazurzaste, pokryte luskami nogi domowego ptactwa. Lecz te nogi podtrzymywaly zolte ciala z dlugimi, gietkimi ogonami. Gibkie szyje konczyly sie dziobatymi glowami zwieczonymi czterema bialymi rogami, co sprawialo wrazenie, ze stworzenia nosza male korony. Oczy mialy czerwone, i ta czerwien zdawala sie jarzyc. Ostro zakonczone skrzydla byly pokryte szerokimi, zoltymi lotkami. Stworzenia te smagaly sie ogonami i grozily dziobami i szponami walczac o gnijace owoce, co swiadczylo o ich niezbyt lagodnym usposobieniu.

Choc niewielkie, roztaczaly wokol siebie aure zlosliwosci, ktora zle wrozyla kazdemu, kto sciagnalby na siebie ich uwage. Natychmiast przestalam wolac Oomarka i przyspieszylam, obserwujac ptaszyska uwaznie nawet kiedy je minelam, bowiem dreczylo mnie uczucie, ze ich zachlanne zerowanie jest tylko udawaniem, i ze gotowe sa podazyc moim sladem.

W tym wlasnie czasie, kiedy moja uwage pochlanialy latajace stworzenia, stracilam resztki nadziei na to, ze dogonie Oomarka. Zaraz potem dotychczasowy szlak rozdzielil sie w trzy strony. Nie wiedzialam, ktoredy powinnam pojsc, bowiem na sprezystej darni nie zachowaly sie zadne slady. Pagorki i kopce ograniczaly pole widzenia w takim samym stopniu co mgla. I w dodatku dwa z trzech nowych szlakow, srodkowy i lewy, niebawem zakrecaly, tak ze nie moglam zobaczyc, dokad biegną. Moze to sprawilo, ze zdecydowalam sie na prawe rozwidlenie, z pozoru prowadzace prosto.

W miare jak szlam coraz dalej, te pokryte darnia ruiny, lub cokolwiek innego, czym mogly byc te kopce, robily sie coraz wyzsze, az w koncu siegaly znacznie ponad moja glowe. I okazalo sie, ze ta droga tez zakreca. Co jakis czas przystawalam, zeby nasluchiwac, w nadziei, ze pochwyce jakis dzwiek, ktory potwierdzi slusznosc mojego wyboru.

Wlasnie podczas jednej z takich przerw spostrzeglam miejsce, gdzie darn zostala zdrapana z kamienia - slad, ze ktos, lub cos, rzeczywiscie tedy przechodzil.

Miejsce to zwrocilo moja uwage, poniewaz odkryty kamien lsnil tak, ze byl zauwazalny nawet w polmroku zalegajacym pomiedzy kopcami. Zblizylam sie z nadzieja, ze znajde tam slad stopy, i lsnienie zmienilo sie w srebrzyste palanie.

Okazalo sie, ze jest to tylko nieokreslona rysa, ktora nic mi nie powiedziala, z wyjatkiem tego, ze jest swieza. Chcialam wierzyc, iz zostawil ja Oomark.

Kiedy minelam pierwszy zakret, zobaczylam, ze moja droga stala sie zawila platanina sciezek obiegajacych kopce, w wiekszosci pograzonych w gestniejacym mroku. Zrozumialam ze strachem, ze nie moge miec nadziei na odnalezienie kogos, kto chcialby sie

tutaj ukrywac. Droga rozgalezila sie znowu i znowu, jakby byla korzeniem, z ktorego wyrasta bezlik mniejszych odrostow. Potem, tak jak korzen, zaczela sie zvezac.

Przystanelam. Otaczajace mnie kopce byly moze dwa razy wyzsze ode mnie, a zalegajacy tu polmrok niemal tak gesty jak wowczas, gdy mgla zblizala sie najbardziej. Nie podobalo mi sie to, co widzialam przed soba - lepiej wracac do pierwszego rozgalezienia i ruszyc dalej ktoras z pozostalych drog, pomyslam. Pewnie nie pozwoli mi to odnalezc sladow chlopca - nie moglam miec nadziei na taki usmiech losu - lecz moze wyprowadzi mnie z tego nawiedzonego miejsca.

Bo ze jest nawiedzone, na to moglabym przysiac. Bylam pewna, ze jakies istoty przemykaja na granicy mojego pola widzenia, albo czaja sie, szpiegujac mnie. Niekiedy dochodzil do moich uszu upiorny, odlegly chichot, przypominajacy szelest wiatru wsrod suchych lisci, przywodzacy mi na mysl szept nieziemskich glosow. Tutaj tez, choc nigdzie indziej na tym swiecie nie odczuwalam wahan temperatury, bylo coraz cieplej. Tylko ze to cieplo nie nioslo z soba otuchy. Raczej wywolylalo wrazenie, ze krocze po cienkiej warstwie, dzielacej mnie od pochlaniajacych wszystko plomieni.

Przesunelam jezykiem po wargach i pomyslam o wodzie. Moje stopy poruszaly sie niemal mechanicznie, szurajac po ziemi, a w spowijajacych je resztkach wysciolki wily sie te dlugie, szczuple palce, jak gdyby chcialy sie uwolnic i wbic w glebe, co tak mnie przestraszylo, kiedy zdjelam buty.

Lecz gdy odwrocilam sie, by wrocic po wlasnych sladach, w pelni pojełam swoja glupote. Wszystkie te krete drogi wygladaly tak samo, i nie potrafilam powiedziec, ktora z nich przywiodla mnie tutaj, ani nawet okreslic ogolnego kierunku. Poczulam sie jak w pulapce i wraz z tym uczuciem przyszla panika, rozbijajac w puch moje opanowanie. Pobieglam najblizsza sciezka i, kiedy sie rozdzielila, skrecilam w prawo, a gdy rozdzielila sie znowu, w lewo. Serce walilo mi jak mlotem, strach wysuszyl usta, a w glowie mialam taki zamet, ze dla kazdego, kto by na mnie polowal, bylaby latwym lupem. To, ze znajdowalam sie w miejscu wrogim dla formy zycia, jaka reprezentowalam, nie ulegalo juz dla mnie watpliwosci, tak samo jak nie watpilam w to, ze jestem obserwowana przez cos, co z przerazajaca cierpliwoscia czeka i chichocze, a czego ja nie potrafilam ani nazwac, ani nawet sobie wyobrazic.

I wtedy zrobilam najtrudniejsza rzecz w moim zyciu: zatrzymalam sie, z trudem lapiac oddech, spojrzalam przed siebie i opanowalam strach. To prawda, ze wszystkie drogi wygladaly podobnie, lecz teraz usilnie walczyłam z panika. Nie moglam utrzymac stop w bezruchu. Uderzaly w ziemie i wbijaly sie w nia, jakby zyly wlasnym zyciem i nie sluchaly juz mojej woli. A pragnienie, zeby zerwac szmaty nalozone z takim nakladem staran, bylo tak nieznosna meka, ze nie wiedzialam, jak ja wytrzymam.

Nagle dotarla do mnie fala zapachu i przypominalam sobie galazke, zatknietą za pasem. Choc minelo troche czasu od momentu, kiedy ja podnioslam, na kwiatach i lisciach nie

dostrzegłam śladu wiedniecia. Wyglądała tak, jakby dopiero przed chwilą została odłamana od drzewa. Dotknęłam gałazki i ogarnęła mnie fala oczyszczającego zimna - w żaden inny sposób nie potrafię opisać tego uczucia. Tak jak ciepło wydobywające się tutaj z ziemi niosło z sobą wrażenie brudu i rozkładu, tak to zimno było nożem, który oddzielał od niego zdrowe zmysły i rozsądne myślenie.

Pod wpływem impulsu wyjęłam gałazkę zza pasa i pochyliłam się, omiatając nią delikatnie moje udrezone stopy. Choć resztki materiału chroniły skórę przed bezpośrednim dotknięciem, palce przestały się wic. Nie wbijały się już w ziemię. Ruszyłam dalej, trzymając gałazkę w dłoni, a do pasa przymocowałam paczkę z prowiantem. W drugiej ręce wciąż dzierżyłam obciążoną kamieniami torbę.

Dla czegoś, na co się natknęłam, kiedy okrążyłam kolejny kopiec, torba z kamieniami nie mogła stanowić żadnego zagrożenia. Przez jedną chwilę, bardzo krótką, pomyślałam, że dogoniłam Oomarka. Potem zrozumiałam, że stojąca przede mną istota nie jest Oomarkiem, nawet w zmienionej postaci.

Była o wiele większa, nieco wyższa ode mnie i o znacznie potężniejszym ciele. Podobieństwo do Oomarka dotyczyło tylko ogólnego zarysu postaci, gdyż stwor wspierał się na dwóch kopytach. I ponieważ nie miał ubrania, sierść na jego bokach zwisała w grubych strakach, pozlepiana grudami błota i jakas kleista masa. Jakkolwiek miał kopyta, był również dwunożny i stał w pozycji wyprostowanej. Jego górne kończyny niewatpliwie zakończone były dłońmi. I właśnie nimi drapał się zawzięcie po owłosionych bokach. Głowa stworza była długa i wąska. Być może ongi była bardziej humanoidalna, lecz teraz przypominała jakas groteskowa maskę, z szerokim nosem i małym, cofniętym podbródkiem pod obwisłymi i ruchliwymi wargami.

Ponieważ ślinił się trochę, nitka śliny zwisała z ust i moczyła kępke brody dyndająca na podbródku. Rogi, o wiele większe i bardziej zakrzywione niż te, które wyrosły Oomarkowi, sterczały ponad bardzo dużymi oczami najpierw prosto, a potem zaginały się do tyłu. Skóra na twarzy miała barwę żółto-brązową. A od jego ciała bił taki fetor, że dostawałam mdłości. Przyglądał mi się bez mrugnięcia okiem i - co było jeszcze gorsze - spojrzenie to zdradzało oczywistą inteligencję i złą wolę.

Cofnęłam się. Stwor dalej drapał się, nie spuszczał ze mnie wzroku. Potem postąpił naprzód, krocząc sztywno i wolno, jak gdyby wiedział, że nie musi się spieszyć, bo wynik walki i tak został już rozstrzygnięty na jego korzyść. Wyczułam, że raduje się moim strachem i obrzydzeniem.

Nie śmiałam odwrócić się do niego plecami, żeby uciec. Coś mi mówiło, że muszę patrzeć mu prosto w oczy, i że dopóki jestem do tego zdolna, zachowuję niewielką przewagę. Celowo wykorzystywał wrażenie, jakie na mnie robił, żeby złamać moją odwagę. Tak więc cofałam się, wymachując torbą z kamieniami, choć wiedziałam, że to śmieszna broń przeciwko czemuś takiemu.

Obserwował mnie z pogardliwym zadowoleniem swoimi dziwnymi oczami. Nie miały ciemnej tęczówki ani zrenicy i były całe czerwone, jak oczy latających stworzeń, które spotkałam wcześniej. Gdy tak się cofałam, a on postępował za mną, w pewnej chwili znaleźliśmy się w cieniu kopca, i wtedy te oczy nagle zapłonęły ogniem, jak bliźniacze pochodnie w mroku.

Mimo swej odmienności, nie sprawiały wrażenia, że są ślepe. Choć wyglądały jak nieprzezroczyste owale ognia, jednak nie ulegało wątpliwości, że są narządami wzroku.

Cofałam się, a on nieustępliwie podążał za mną, choć nie próbował atakować. Potem moje barki uderzyły w jedno z pokrytych darnią wzniesień i zachwiałam się, starając się utrzymać równowagę. Próbowałam cofać się dalej z jednym ramieniem wspartym o kopiec, czerpiąc doprawdy niewielką pociechę z tego, że przynajmniej jeden bok mam chroniony.

Stworz unosił rogata i zdeformowaną głowę, i wydal z siebie serie chrząknieć. I ku mojemu przerażeniu z prawej strony rozległa się odpowiedź, jak gdyby jeszcze jeden taki potwór czekał tam tylko na to, by mnie dopaść. Znieruchomiałam, bojąc się oderwać wzrok od tych błyszczących ślepi, żeby się rozejrzeć.

Mój przeciwnik chrząknął ponownie i tym razem odpowiedział mu skrzek dwóch pozeraczy purpurowych owoców, latających stworzeń, które opadły na dół z trzepotem skrzydeł. Rogaty wyciągnął ramię i jedno z nich przysiadło na nim jak na grzędzie. Drugie pozostało w powietrzu, wzbijając się w górę i opadając, a jego gietka szyja skrecała się, jakby nie było w niej kości. Ptaszędło skierowało głowę najpierw w stronę potwora, a potem, ustawivszy ją w linii prostej, wycelowowało spojrzenie we mnie.

Lecz to jeszcze nie byli wszyscy, którzy zbierali się, żeby zapędzić mnie w matnię. Rozległo się głuche dudnienie, tupot czegoś biegnącego i obok rogatego pojawił się czarny cień. Był czworonożny i ogromny, jego grzbiet sięgał bowiem barków tamtego. Ogon, tak chudy jak skóra naciągnięta na kości (co mogło być prawdą, gdyż na całej jego długości widniały w regularnych odstępach zgrubienia), uderzał o zad. Głowa także wyglądała jak czaszka obleczona w skórę, bez jakichkolwiek mięśni pod spodem. Zamiast oczu stwor miał dwie wielkie, ciemne jamy, w głębi których dostrzegłam migotanie tego samego ognia, jaki rozpalał oczy rogatego. Szeroko rozwarta paszcza, zajmująca dwie trzecie głowy, uzbrojona była w podwójny szereg fosforyzujących kłów. Pomiedzy nimi poruszał się wielki, czarny język. Małe uszy przylegały do czaszki i w przeciwieństwie do rogatego, skóra tego potwora, miejscami napięta, lecz marszcząca się obrzydliwie wokół nadętego brzucha, była całkowicie bezwłosa.

Potwór przysiadł na zadzie tuż przy rogatym. Wiedziałam, że nie potrafię odwrócić się plecami do tych dwóch, ani nawet oderwać wzroku na tyle, żeby zobaczyć, czy mogę bez przeszkód przesuwać się dalej wzdłuż ściany kopca. Odwrot był niemożliwy; nie miałam też nawet cienia nadziei na zwycięstwo w przypadku, gdyby potwory rzuciły się na mnie.

To, co nastąpiło potem, zaskoczyło mnie tak bardzo, że szarpnęłam się do tyłu uderzając o

ściane kopca, i znow o mało się nie przewrocila. Usłyszałam słowa, choć nie miałam pojęcia, co oznaczają.

-Skark, Skark! Shuck, Shuck!

Czworonozny stwor poderwał się, okrecił i uderzył przednimi łapami w kopiec, wznoszący się po drugiej stronie ścieżki. Odchylił łeb do tyłu i z otwartej paszczy wydobył się ryk, który mógł przyprawić o drzenie każdego, kto go usłyszał.

Rogaty również odwrócił się w tamtą stronę i przechylił potworny łeb, żeby spojrzeć do góry. Jednocześnie strzasnął z ramienia skrzydlata istota, jak gdyby sygnalizując jej, żeby odszukała tego, kto wołał. Ochryply głos rozległ się ponownie:

-Skark, Skark! Shuck, Shuck!

Byłam tak zaskoczona, że musiała minąć dobra chwila, nim uswiadomiłam sobie, iż ich uwagę przykuło to wołanie, i że teraz mam nikłą wprawdzie, ale jednak szansę na ucieczkę. Odwróciłam się i ruszyłam wzdłuż ściany kopca w stronę przeciwną niż ta, z której dochodził głos. Skreciłam w jedną z bocznych ścieżek, a potem ruszyłam biegiem, co jakiś czas oglądając się za siebie.

Ciągle powtarzane wołanie, co pewien czas zagłuszane rykiem czworonożnego potwora, w jakiś sposób dodawało mi otuchy. Czy to możliwe, by ktoś - coś - w tym labiryncie grozy świadomie przyszedł mi z pomocą? Oomark? Lecz to nie był jego głos. Głębszy, bardziej ochryply, wcale nie przypominał dziecięcego.

-Skark... Shuck...

Teraz, kiedy nie znajdowałam się już w jego bezpośrednim sąsiedztwie, nie byłam pewna kierunku, z którego dochodził - wiedziałam tylko, że gdzieś z tyłu. Słowa odbijały się echem wśród pagórków, niekiedy rozbrzmiewając tak głośno, że ogarniał mnie strach, iż nieszczęśliwym trafem wróciłam w pobliże tamtego miejsca, to znow cichnąć do tego stopnia, że z trudem mogłam rozróżnić poszczególne słowa. To z kolei budziło we mnie nadzieję, że oddalilam się od niebezpieczeństwa, choć nie pozwalałam sobie uznać tego za pewnik.

Gdybym tylko zdołała wydostać się spośród tych kopców! Rozglądałam się wokół, wbrew wszelkiej nadziei spodziewając się zobaczyć coś, co potwierdzi, że wracam tą samą drogą, która przysłałam. Jednak nic mi to nie dało, bowiem wszystkie ścieżki były do siebie podobne.

Pierwszej wskazówki dostarczyła mi fala zgnilego zapachu. Miałam pewność, że ten sam fetor, który teraz dochodził z lewej strony, czułam przy owocowych drzewach. Ponieważ nie miałam innego przewodnika, równie dobrze mogłam kierować się wskazówkami mojego nosa.

Fetor stawał się coraz silniejszy i w końcu znalazłam się nie w miejscu, gdzie widziałam zerujące skrzydlate istoty, lecz na otwartej przestrzeni porosniętej większą ilością takich drzew. Drzewa, z jednej i drugiej strony, wytyczały skraj drogi prowadzącej do stawu lub małego jeziora w kształcie trójkąta, zbyt regularnego na to, by mogło powstać dzięki siłom natury.

Ujrawszy ten widok, natychmiast poczułam pragnienie, lecz nie mogłam go zaspokoić. Woda, do której wpadały owoce - widziałam bowiem unoszące się w niej ich zgniłe kule - z pewnością nie nadawała się do picia. Skierowałam się więc w wąski przesmyk pomiędzy kopcami, otaczającymi cały ten teren, a drzewami. Wkrótce gruba ściana pni i gałęzi oddzieliła mnie od wody. Słabe echo wołania ucichło zupełnie, więc pokonując zmeczenie ruszyłam klusem. Jeśli potwory uwolniły się spod wpływu, jaki wywierał na nie tajemniczy głos, mogły już ruszyć w ślad za mną.

Właśnie wtedy, kiedy dobywałam z siebie resztki sił, by biec jeszcze szybciej, natknęłam się na jakiś trop. Z pewnością odciski tych kopyt zostały zrobione przez kogoś znacznie mniejszego od tego potwora z nocnego koszmaru i bardziej przypominały ślady, jakie mogłoby zostawić Oomark. Podniesiona tym na duchu, skreśliłam, żeby podążyć za nimi. Wciąż jednak byłam czujna, nasłuchując odgłosów pościgu. W pewnej chwili usłyszałam odległe ujadanie, lecz nie przypominało ono ryku, jakim czworonożny stwor odpowiedział na wołanie dochodzące ze szczytu kopca. W tym ujadaniu brzmiał upiorny triumf, wyrażający radość z bliskiego końca ściganej ofiary. Wciągnęłam głosem powietrze i spróbowałam biec jeszcze szybciej, marząc o tym, by wydostać się na otwarty teren.

Przypadek, a może coś innego, zagrał na moją korzyść, bowiem kiedy wybiegłam zza kopca, zobaczyłam przed sobą trawiastą równinę. I nie tylko to, lecz również ślady małych kopyt, odcisnięte głęboko na skrawku nie pokrytej darni ziemi. Wiedziałam albo myślałam, że wiem, iż Oomark wtedy przechodził.

Pobiegałam najszybciej jak mogłam, zostawiając za sobą złowieszcze kopce, choć nie opuszczałam mnie lek, że w każdej chwili mogę usłyszeć tuż za sobą ujadanie ścigającej mnie sfory. Kiedy jednak nic takiego się nie stało, zaczęłam rozmyślać, na co poluje. Pytanie, dlaczego ktoś zainteresował się samą porą, by mnie uratować, pozostało bez odpowiedzi.

Kto przyszedł mi wówczas na ratunek? Nagle przypomniałam sobie wlochata istotę, która przesładowała nas i zebrała o jedzenie. Być może ów stwor tak bardzo chciał położyć łapę na moich zapasach, że wybawił mnie przed swoimi towarzyszami tylko po to, by zagarnąć całe jedzenie dla siebie. Myśl ta wystarczyła, bym jeszcze bardziej zwiększyła tempo.

Nie miałam pojęcia, jak długo błąkałam się w labiryncie kopców. W rzeczy samej, gdy się nad tym zastanowiłam, doszłam do wniosku, iż upływ czasu w tym obcym świecie zdaje się nie podlegać żadnym znanym mi prawdom. Choć niewykluczone, że okresy, kiedy mgła zbliżała się, i te, kiedy się oddalała, mogły odpowiadać nocom i dniom na normalnym świecie. Jeśli tak, to prędzej czy później będę musiała stawić czoło kolejnemu procesowi

kurczenia się. Doświadczenie mówiło mi, że w tej sytuacji lepiej będzie poszukać jednego z tych bezpiecznych pierścieni, które pokazał mi Oomark. Lecz choć rozglądałam się, kiedy biegłam, nigdzie nie mogłam dostrzec charakterystycznych obwodek ciemniejszej zieleni. Zaczęłam odczuwać takie zmęczenie, jakiego nie zaznałam od czasu, kiedy moje zbyt gietkie palce u nog wyssały energię z samej ziemi. Szmaty na stopach obluźowały się i postrzepiły. Wkrótce będę musiała znaleźć coś, co je zastąpi. Straciłam też z oczu ślady i nie wiedziałam, czy dalej podążam za Oomarkiem, czy już nie. Wziawszy wszystko razem uznałam, że w tej sytuacji kontynuowanie marszu sprawi ogromne trudności.

Ostatecznie sprawę załatwiły strzepy na jednej ze stop. Przewrocilam się jak długa, kiedy nadepnelam na luzny koniec. Przez chwilę leżałam, otumaniona upadkiem, a potem z wysiłkiem wstałam i stwierdziłam, że muszę na nowo obwiązać sobie stopy, poświęcając na to część tuniki.

Rozejrzawszy się wokół siebie nabrałam też pewności, że ściana mgły była teraz bliżej niż wówczas, kiedy wydostałam się spod kopców. Wkrótce miała ogarnąć mnie zupełnie.

Galazka! Trzymałam ją w ręce, kiedy upadłam. Spojrzałam na nią szybko. Długa łodyżka przelamała się na dwoje. Ale liście i kwiaty nadal zachowały świeżość. A trawa, kiedy jej dotknęłam, okazała się wilgotna, jak gdyby mgła zmieniła się w łagodny deszcz, który padał, by mnie orzeźwić. Położyłam galazkę na darni i wyciągnęłam zapasy. Zostało ich tak niewiele! A byłoby jeszcze mniej, gdyby nie to, że zapakowałam więcej niż należało, z myślą o tym, że część słodczych podzieli się z Oomarkiem i jego przyjaciółmi. Wsunęłam do ust jeden wafelek. Zamiast ukończyć głód, spotęgowało to tylko udreke, budząc we mnie takie pragnienie, by zjeść więcej, że czym prędzej zapakowałam resztę zapasów, żeby pokusa nie wzięła góry nad ostrożnością.

Zatrzymując w ustach ową kes najdłużej jak to było możliwe, odwinęłam ze stop splątane i postrzepione kawałki materiału. Chciałam postawić stopy na torbie z kamieniami, tak żeby nie dotykały ziemi, lecz znowu straciłam nad nimi kontrolę. Zanim zdążyłam sięgnąć po galazkę, palce wkreciły się w darn.

Nie mogłam ich wyrwać. Zgięły się i wbily w ziemię, przykuwając mnie do niej. Walczyłam zawzięcie, rwąc bolesnie własne mięśnie. Ciało pokonało mnie jednak, bowiem ponownie wypełniła je energia napływająca przez palce. Ogarnęło mnie tak dobre samopoczucie, że poddałam się niechętnie.

Lecz zaprzestałam walki tylko chwilowo. Być może potrafiłam wykorzystać powracającą siłę we właściwym celu. Wzięłam galazkę i przysunęłam ją do piersi, pochylając nad nią głowę. Kiedy to zrobiłam, odniosłam wrażenie, że mój umysł oczyszcza się i znowu wypełniło mnie niezłomne postanowienie. Instynkt powiedział mi, że gdybym pozwoliła mojemu ciału na przejęcie kontroli, oznaczałoby to koniec mnie, Kildy c'Rhyn, takiej, jaka byłam do tej pory. A do tego nie mogłam dopuścić.

Wspomozona w ten sposob, zdolalam dotknac nog kwiatami, potem wyciagnac palce z ziemi i ulozyc stopy na torbie z kamieniami. Przestraszylam sie, kiedy starlam gliniasta ziemie i zobaczylam, ze palce u nog staly sie bardzo ciemne i jeszcze dluzsze i szczuplejsze niz wowczas, kiedy widzialam je ostatnim razem. Wzdragalam sie przed ich dotknieciem, jakby nalezaly do kogos, kto zapadl na jakas wstretna chorobe.

Podarlam tunike, co przy braku nozyczek lub noza wcale nie bylo latwe. W rezultacie otrzymalam dwa podwojne pasy materialu. Pomiedzy nie wlozylam, wyprostowane i wygladzone, opakowania od koncentratow zywnosciowych, starajac sie wzmocnic te prowizoryczne oslony stop. Przywiazalam je z najwieksza starannoscia, w obawie, by nie rozluznily sie, co mogloby doprowadzic do tego, ze dotknelabym podloza gola stopa. Kiedy zaciagnelam ostami wezel, sprawdzilam je ostroznie, stawiajac prawa stope na ziemi. Palce nie poruszyly sie. Chyba wiec odizolowalam je wystarczajaco.

Wszystko to wymagaloby czasu i choc czulam sie silniejsza niz wowczas, kiedy upadlam, otaczajaca mnie mgla zdazyla sie przyblizyc. Nie mialam ochoty blakac sie w niej na oslep. Nasluchiwalam, lecz nie uslyszalam zadnego dzwieku. Jednak ta cisza wcale nie dzialala uspokajajaco. Wyobraznia szybko podsunela mi niepokojaace obrazy - moze stalam sie widoczna dla normalnych mieszkancow tego swiata, i ktorys z nich w tej wlasnie chwili skradal sie ku mnie?

Przykucnelam skulona, z galazka na kolanach, tak by plynacy od niej aromat mogl koic moje rozedrgane nerwy. Zawiniatko z prowiantem przymocowalam do pasa, w rece dzierzylam torbe z kamieniami. I tak czekalam, choc nie mialam pojecia, co moze mnie spotkac - z wyjatkiem nieszczescia.

Rozdzial dziesiaty

Nie spalam. Uswiadomilam sobie, ze od jakiegos czasu nie czuje sie senna. Dreczylo mnie zmeczenie, owszem, ale nie sennosc. Nie moglam jednak ruszyc dalej, dopoki mgla nie ustapi, jedynym moim zajeciem bylo wiec myslenie. Cos w glebi mojej swiadomosci, jakis strzep wspomnienia, nie dawalo mi spokoju - moze bylo to cos, czego dowiedzialam sie w skarbnicy wiedzy Lazka Volka. Lazk Volk - moja przeszlosc na Chaloksie wydawala mi sie teraz tak odlegla, jak gdybym spogladala przez dlugi, bardzo dlugi korytarz na uchylone nieco drzwi w jego koncu. Lecz w jakis sposob wspomnienie Volka pozwolilo mi skupic mysli. Probowalam wyobrazic sobie, ze siedze przy jego stole przed omowieniem wynikow jakichs badan, ukladajac sobie w glowie to, co mam powiedziec, gotowa do obrony swoich wnioskow.

Jakimi faktami dysponowalam? Niewatpliwa byla niechec Oomarka do zywnosci, ktora mialam ze soba, jego przemiana i strach przed kwitnaca galazka.

Ale przeciez ja tez zaczelam sie zmieniac, choc w przeciwnienstwie do Oomarka niczego tutaj nie jadlam. Dlaczego wiec? Jakim sposobem? Starannie przeanalizowalam to, co sie

wydarzyło. Tak, przecież pilam tutaj. Kiedy się ocknelam, napilam się wody z sadzawki. Stąd znalazły się w moim ciele naturalne elementy tego świata. Dlaczego zatem kwitnaca gałązka przywróciła mojej skórze normalny wygląd? I co z moimi włosami? Naciągnęłam pasemko włosów, żeby mu się przyjrzeć.

Z pewnością nie były już tak zielone i znowu zrobiły się nieco bardziej krecone. Powodem tego bez wątpienia stało się oddziaływanie kwiatów. Dlaczego Oomark tak się ich bał? Czyby wiedział, że mogły powstrzymać jego przemianę, a może nawet przywrócić mu dawny wygląd i osobowość? Przecież powinien tego chcieć! Potrząsnęłam głową i przypominałam sobie starą piosenkę komputera Volka - "brak wystarczających danych".

Nie było co spekulować na temat Oomarka. Należało ograniczyć się do tego, co sama myślałam, czułam i wiedziałam. Mogłam teraz uwierzyć, że jedzenie tutejszej żywności i picie wody doprowadza do cielesnej przemiany. Zatem, jeśli przesłanki mojego rozumowania były prawdziwe, to owłosione stworzenie mogło być?, mogła? - być ongi człowiekiem. To wyjaśniałoby (z jakiegoś powodu myślałam o obcym jak o mężczyźnie) jego szalone próby zdobycia żywności pochodzącej nie z tego świata, w nadziei, że to pomoże mu wrócić do własnej postaci. Kwiaty działały na moją korzyść - dlaczego więc nie pomagały jemu? Być może zaszedł w przemianie tak daleko, że uniemożliwiało mu to ich użycie. Mogłam się tylko domyślać, lecz nie miałam pewności, jak wygląda prawda.

Wzdrygnęłam się, poderwałam głowę, wyteżyłam słuch. Coś poruszało się we mgle. Uwzięnie obserwowałam ową niewyraźny cień. Zbyt dobrze pamiętałam, co kreciło się wokół pierścienia, kiedy wraz z Oomarkiem schroniliśmy się tam, i na co natknęłam się wśród pagórków.

Jakiś ciemny kształt zbliżał się prosto ku mnie! Wstałam, z obciążoną torbą w ręce. Ucieczka na oslep przez mgłę nic by nie dała. Już lepiej stawic czoło niebezpieczeństwu, choć miałam niewielką nadzieję, że to, co nadchodzi, będzie przeciwnikiem, z którym mogłabym dać sobie radę.

Postać zbliżała się wolno, slaniając się na nogach, jakby była ranna lub okaleczona. Potem zobaczyłam ją na tyle wyraźnie, na ile pozwalała mi na to mgła. Owłosiony stwor! Zakolysalam ostrzegawczo torbę, a on zatrzymał się.

Jego piers przewiazywały postrzępione bandażę, które mogły opatrywać rany. Był wyraźnie zmieniony! A przynajmniej nie pamiętałam, by tak bardzo przypominał człowieka. Głowę trzymał bardziej wyprostowaną, ramiona nie były tak pochylone. I jego owłosienie nie wydawało się tak gęste jak przedtem.

-Przyjacieli... - Słowo było wyraźne, brzmiało tak, jakby wypowiedział je Oomark lub Bartare. Ponownie wyciągnął ku mnie puste dłonie w geście przyjaźni. Czy mogłam mu zaufać? Gdybym znalazła towarzysza, przewodnika przez ten koszmarny świat, wówczas miałabym większe szanse na odnalezienie dzieci, a może nawet udałoby mi się wrócić do

normalnego swiata.

-Kim jestes? - zapytalam.

Zawahal sie, jak gdyby nie wiedzial, czy ma sie zblizyc, a potem zrobil kilka krokow. Zobaczylam ciemna plame na szmatach, ktorymi przepasal swoje cialo, i dodalam niemal mimowolnie: Jesteś ranny! Zlozona w kubek reke przylozyl do zabandazowanej rany.

-Shuck ma kly.

W jego glosie slychac bylo znuzenie.

-Shuck... Skark. - Powtorzylam slowa, ktore przyciagnely uwage potworow, umozliwiajac mi uciezke. - Czy to ty wolales tak ze szczytu kopca?

-Musza odpowiadac na swoje prawdziwe imiona. Takie jest prawo - odpowiedzial wymijajaco. - To dlatego tak bardzo strzega swych imion, zeby nikt nie mogl uzyskac wladzy nad nimi.

Byc moze mialoby to jakis sens, gdybym wiedziala tyle, co on. Ale to on uratowal mnie przed potworami czajacymi sie wsrod pagorkow. Wiec gdy tak stal przede mna, nie moglam uwierzyc, ze chce mnie skrzywdzic.

-Czego chcesz?

Byc moze slowa te zabrzmialy zimno i twardo. Jednak nie bylam jeszcze gotowa traktowac obcego jak towarzysza podrozy.

-Masz... jedzenie.

Oblizal wargi.

-Juz bardzo malo - odpowiedzialam szybko. - I po co ci ono? Wydaje sie, ze jest go tutaj mnostwo.

-Jesli bedziesz jadla tutejsze jedzenie, stanesz sie czescia tego swiata - rzekl wolno. - Mozesz wtedy pozegnac sie z nadzieja, ze wrocisz.

-A zatem istnieje powrotna droga? - zapytalam z ozywieniem. - Gdzie?

-Oni wiedza. Wielcy tego Ludu. I istnieja sposoby, zeby naklonic ich do zdradzenia tej tajemnicy. Ale o tym dowiedzialem sie zbyt pozno. Bylem juz wowczas taki jak teraz. Jednak ktos, kto je prawdziwe jedzenie, ma ponoc mozliwosc zlamania ich czarow. - Wskazal na ukwiecona galazke. - Nie moglabys tego trzymac, gdybys byla jedna z nich. Boja sie notusa, poniewaz przeciwstawia sie ich mocy. - Zachwial sie, jak gdyby nie mogl dluzej utrzymac sie na nogach, a potem upadl, wyrzucajac ramiona ku mnie i temu, co

miałam.

Rozwaga nakazywała mi zostawić go samemu sobie. Lecz w owej chwili współczucie przeważało nad rozwagą. Ukleklam przy nim, ciągnąc za masywne ramiona, dopóki nie przewróciłam go na plecy. Oczy miał zamknięte, oddychał płytko. Plama na bandażach była sucha, więc nie próbowałam ich odsunąć, żeby zbadać rany, bowiem mogło to przynieść więcej szkody niż pożytku.

Tym razem znalazłam się wystarczająco blisko, żeby stwierdzić, że szmaty zastępujące moje ubranie są zwyczajną tkaniną. Na jednym ze strzepów widniał jakiś znak. Znalłam go. Ten z trudem przypominający człowieka stworzył nosił odznakę Zwiadu!

Zwiad! Zetknięcie się z tym symbolem przeszłości dało mi impuls do działania, wzmocniło postanowienie, by przeciwstawić się niebezpieczeństwu tej krainy. Doprawdy, był to symbol zdrowych zmysłów i normalnego życia, choć mogło się wydawać, że ten, kto go nosił, nie miał dość szczęścia, by pozostać sobą.

Poruszył się, a powieki na zapadniętych oczach drgnęły. Nie miałam nawet pewności, czy potrafi mnie zrozumieć, ale musiałam się przekonać.

-Należysz do Zwiadu, kim jesteś? - I myślałam, że wytrzasnęłabym z niego odpowiedź, gdyby nie powiedział wolno: - Jorth Kosgro. Pierwszy Zwiadowca, Wydział Dwudziesty Piąty, Sektor Argol...

Tylko jedna rzecz miała dla mnie znaczenie - Sektor Argol. Gdyby działał właśnie tam, mogłoby znaleźć się na Dylanie. Ale po co? Dylan widniał na mapach gwiazdnych już od ponad stu lat. A zwiadowcy penetrowali obszary nieznanne. O ile nie został wysłany tutaj z jakąś misją administracyjną, znajdował się niezmiernie daleko od miejsca, gdzie powinien być wykonywać swoją pracę.

-Ja przybyłam tu z Dylana. A jak ty tutaj trafiłeś?

Gdyby potrafił odpowiedzieć na to pytanie, być może uzyskałabym jakąś wskazówkę co do możliwości powrotu. Jego gadanie o tych z Ludu, których ewentualnie dałoby się nakłonić do udzielenia informacji, niewiele znaczyło. Pragnęłam faktów.

-Jorth Kosgro, Pierwszy Zwiadowca, Wydział Dwudziesty Piąty, Sektor Argol...

To mechaniczne powtórzenie zirykowało mnie. Pochyliłam się nad nim.

-Jorth Kosgro!

W odpowiedzi wytrzeszczył oczy, a ja odniosłam wrażenie, że wcale mnie nie widzi. Rozgoryczona, przykucnelam na piętach. Może był to skutek rany, a może przemiana posunęła się już tak daleko, że nie pamiętał dobrze przeszłości. Dużo dałabym, żeby mieć

wode - to skrzywienie jego twarzy moglo oznaczac...

Co on powiedzial? Chcial jedzenia, jakie mialam przy sobie. Otworzylam zawiniatko z prowiantem. Zostaly mi trzy kawalki czekolady i resztki wafli. I jeszcze cos - tubka dzemu z jezyn, przeznaczonego do posmarowania nim wafli, oraz tubka koncentratu miesnego, ktory zamierzalam wykorzystac w tym samym celu. Wybralam koncentrat, z uwagi na jego wartosc odzywcza.

Jednak zawahalam sie przez chwile, zanim zdjelam zakretke. Prowiantu mialam tak niewiele. Musialam go oszczedzac, bo inaczej nie moglabym pomoc ani sobie, ani dzieciom. Odnalezienie dzieci to moj podstawowy obowiazek. Z drugiej strony, ten obcy znal grozace tutaj niebezpieczenstwa. Juz raz mnie uratowal i mogl pomoc w znalezieniu drogi powrotnej. Moja pomoc uzasadnialam sobie takimi wlasnie wzgledami. Wsrod nich byl rowniez i fakt, ze nie moglam odwrocic sie od kogos, kto przyszedl do mnie z prosba o pomoc i wlasciwie nalezal do mojego gatunku.

Wsunelam reke pod jego kudlata glowe, unioslam go odrobine, tak ze oparl sie o moje ramie, i wlozylam koniec tuby miedzy jego na wpol otwarte wargi, wciskajac miekka paste do ust. Nie dalem mu duzo, wiedzac, ze musze ja oszczedzac.

Zobaczylam, ze przelyka, choc wydawalo sie, iz nie przychodzi mu to latwo. Potem poruszyl sie jak ktos, kto probuje usiasc, wiec podtrzymalam go. Przechylil sie do przodu tak bardzo, ze przestraszylam sie, iz upadnie na twarz, ale utrzymal sie w pozycji siedzacej, wykrzywiajac z bolu usta.

-To... bez znaczenia... - Slowa wydobywaly sie z niego wraz z urywanymi oddechami. Widac bylo, ze stara sie opanowac to, co sprawialo mu meke. - Wkrotce... poczuje sie lepiej.

Lecz dla mnie chwile, kiedy tak walczył sam ze soba, zdawaly sie trwac bardzo dlugo. W koncu wyprostowal sie. Na wlosach porastajacych jego twarz blyszczal pot; uniosl reke, zeby zetrzec go z oczu.

Potem spojrzal na jedzenie, a ja wyciagnelam szybko reke, zeby je zakryc. Mogl zjesc tyle, ile dostal, nie wiecej.

-Masz racje. - Jego glos brzmial teraz pewniej. - Nie mozna go marnowac.

Potem, odwracajac glowe z widocznym wysilkiem, wskazal na galazke.

-Daj mi... notus...

W jego glosie znowu pojawilo sie niezdecydowanie, gdy niemal z lekiem spogladal na kwiaty.

Nie wiedziałam, czego się po nich spodziewa; pamiętałam tylko, jak na mnie podziały. Być może liczył na to samo. Pochyliłam głowę, by wchłonąć ich zapach, gdy podawałam mu galazkę.

Odwrocił gwałtownie głowę, jakby aromat, który na mnie wpływał tak pobudzająco, był ohydny fetorem lub gryzącym oparem.

Widziałam, jakiego wysiłku wymagało od niego to, by pochylić głowę nad galazką i głęboko wciągnąć powietrze. Krztusząc się i kaszląc wypuścił je z siebie szybko. Jego ręce uniosły się wolno, przywodząc mi na myśl człowieka wyciągającego palce, by ująć rozżarzony węgiel i dodającego sobie odwagi do wykonania zadania, do którego zmusza go obowiązek lub wola.

Ujął galazkę i zacisnął ją w dłoń, choć zwił się i skrecał, jak człowiek poddawany torturom.

-Nie... mogę... dłużej...

Na jego wardze pojawiła się ciemna kropla krwi w miejscu, gdzie zęby przecięły skórę. Odrzucił od siebie galazkę i siedział z opuszczonymi ramionami tak strapiiony, że zapytałam:

-Czy na to właśnie liczyłeś?

-Zaszedłem zbyt daleko... Kiedy utraciłem racje żywnościowe, pozostało mi tylko albo jesc to co oni, albo umrzeć z głodu, choć cała siła woli próbowałem się opierać.

Siedział wpatrując się we własne ciało, jak gdyby zarazem brzydził się go i obawiał. Potem odniosłam wrażenie, że zdołał pogodzić się z pewnymi faktami, ponieważ znowu uniosł głowę i spojrzał na mnie, gotów stawić czoło temu, co było tu i teraz.

-Nie można iść naprzód oglądając się za siebie. - To mógł być jakiś cytat. - A teraz musimy iść dalej. Czy należysz do starego rodu Terran?

Zmiana tematu zaskoczyła mnie. Potem rozesmiałam się, ponieważ było to głupie pytanie.

-Kto teraz do niego należy, kiedy nawet lokalizacja Terry jest sprawą dyskusyjną? Mój ojciec był zwiadowca. Zawarł planetarny związek na Chaloksie, z którego ja pochodzę. Skąd mogę wiedzieć, ile setek pokoleń dzieli mnie od Terry?

-Terra nieznaną? Ależ to niemożliwe! Przecież na moim statku są terranskie tasmę. Należy do czwartego pokolenia z Pierwszego Statku, które skolonizowało Nordeny.

Teraz ja z kolei wytrzeszczyłam oczy. Nigdy nie spotkałam, nawet wśród tych wszystkich wędrowców, przewijających się przez kwatery Lazka Volka, nikogo kto miałby jakikolwiek rzeczywisty kontakt z Terra. Od pokoleń stanowiła legendę. Słyszałam opowieści o tym, jak

została zniszczona w jakiejś galaktycznej wojnie. Ci, których znalazłam, byli albo mieszancami roznoplanetarnych ras, jak ja sama, albo też z przesadną dumą wywodzili swoje pochodzenie od załogi Pierwszego Statku. Lecz ten statek, z kolei, wystartował z jednego z zatoczonych wewnętrznych światów, nie z Terry.

-Nigdy nie spotkałam nikogo, kto miałby jakkolwiek związek z Terra.

Zastanawiałam się, czy mówi prawdę, czy też z jakiegoś powodu próbuje wyrzucić na mnie wrażenie.

-To nie ma znaczenia. Istotne jest, że na Terrze znane były prastare legendy o miejscach takich jak to... - Wskazał ręką na otoczenie. - Tylko że w tych legendach takie miejsca były częścią Terry.

Zrozumiałam, że musiał postrzadac zmysły i plecie nonsensy umeczony tym, co tutaj przeszedł.

-To jest Dylan! - odcielałam się. Nie byłam jednak tego pewna. Nie był to ten Dylan, który znalazłam.

Ten, który nazywał siebie Jorthem Kosgro, potrząsnął głową.

-Mówisz, że przybyłaś tutaj z Dylana. Ja wiem, że przyleciałem z jakiejś nieznanej planety, gdzie wylądowałem. A Terranie znają legendy. Na moim statku są taśmy zawierające nagrania o tym wszystkim. Mówią o Ludzie ze Wzgórz, który mieszka pod ziemią i próbuje zwabić do siebie zwykłych śmiertelników. Jeśli ktoś zjadł ich jedzenie albo napił się ich wody, zostawał z nimi. Skark - o nim też istnieją legendy. Widziałem nawet na hologramie prastary posąg, podobny do niego. I Shuck - legendy mówią, że nocami pojawia się w pewnych miejscach na Terze, przynosząc cierpienia lub śmierć tym, którzy go zobaczą. Wszystkie te istoty posiadają niezwykłą moc umysłu, dzięki czemu potrafią robić rzeczy, jakie ludziom wydają się niemożliwe. Nawet ochronne pierścienie, te również widywano niekiedy na terranskiej ziemi. I uważa się, że wejście do któregoś z nich, a tym bardziej zniszczenie, przynosi nieszczęście.

Wypowiadał te słowa z pełnym przekonaniem. Przynajmniej nie ulegało wątpliwości, że wierzył w to, co mówił. Lecz to nie mogła być Terra - po prostu nie mogła! I powiedziałam mu to.

-Niewykluczone, że nie jest to Terra, tylko inna planeta. Może to być rzeczywistość jakiejś innej czasoprzestrzeni, świat, w którym nie rządzi prawa materii, jakie my znamy - lecz który co jakiś czas jest w stanie utworzyć połączenie pomiędzy sobą a jedną z naszych planet. Wszystkie te legendy z Terry są stare, bardzo stare. I prawda jest, że dotyczą czasów, kiedy ta planeta była z rzadka zamieszkała, a rodzaj ludzki nieliczny. Do takich przejść w tę i w tamtą stronę dochodziło w odległej przeszłości. Więc mogło być tak, że połączenie zostało w jakiś sposób zerwane i ten świat, lub Terra, przesunął się na inną

pozycje. W takim razie, kiedy wrota zostały ponownie otwarte, połączyły ten świat z inną planetą.

-Ale dlaczego korzystają z tych wrot, dlaczego sprowadzają nas tutaj? - Wszystko to zaczęło nabierać dla mnie sensu. - Bartare... chciała tu przybyć... wskazano jej drogę. Ale po co była im potrzebna?

-Bartare? Kto to jest?

Najkrócej jak potrafiłam opowiedziałam mu, dlaczego i w jaki sposób znalazłam się tutaj, i że muszę odnaleźć dzieci.

-Podstawione dziecko -powiedział. - Istnieje jeszcze inna opowieść o mieszkańcach Wzgórz, mówiła o tym, że co jakiś czas z pewnych powodów potrzebują świeżej krwi, i że muszą zdobywać ją wśród ludzi. Więc albo kuszą dorosłych, albo zwabiają ich podstępem do swojego królestwa. Czasem też zamieniają swoje dzieci na ludzkie, kiedy są zupełnie małe, choć to ostatnie mogło mieć na celu coś innego. Nie ulega wątpliwości, że twoja Bartare dobrze wiedziała, na co poluje, i że znalazła to tutaj. Jeśli naprawdę jest z ich krwi... - Potrząsnął głową. - ...nie sądzę, by chętnie wróciła z tobą.

-Chętnie czy nie, musi wrócić - odparłam zdecydowanie, choć w głębi duszy wątpiłam, czy zdolam wytrwać w tym postanowieniu.

-Zastanawiam się... - zaczął, lecz urwał, więc ponagliłam go.

-Domyslasz się może, gdzie mogę ją znaleźć?

-Chyba tak. Z pewnością wzywał ją któryś z Wielkich. Musisz pojechać do jednego z ich miast, żeby go odnaleźć. A ponieważ posiadają swoje zabezpieczenia, ci, których szukasz, będą o tym wiedzieli. Nie lekceważ ich, Kildo c'Rhyn, bowiem podczas gdy my polegamy na maszynach i potędze naszych umysłów, by podporządkować sobie świat, oni posiadają coś, co okazuje się zupełnie obce naszemu sposobowi myślenia i naszym mocom, lecz jest tutaj o wiele potężniejsze.

-Pokazesz mi... zaprowadzisz mnie tam? - Machnieciem ręki zbyłam jego przestrogi.

-Jeśli chcesz... Wydaje się, że w tej sprawie nie mamy dużego wyboru.

Nic więcej nie zdążył powiedzieć, ponieważ w tej właśnie chwili usłyszeliśmy z oddali dźwięk rogu, który tak bardzo przeraził Oomarkę i mnie. I tym razem nie mieliśmy pierścienia, który zapewniłby nam bezpieczeństwo. Mój towarzysz poruszył się z prędkością, o którą nie posadziłabym go w jego stanie. W mgnieniu oka poderwał się na nogi, wpatrując się w zasłone mgły; jego szerokie i płaskie nozdrza unosiły się i opadały, jak gdyby wykorzystywał zmysł powonienia do zlokalizowania niebezpieczeństwa.

Najpierw zwrocil sie w strone, skad dochodzil odglos. I tym razem nie moglam sie ludzic - dzwiek zblizal sie. Potem Jorth spojrzal w prawo i jeszcze raz pociagnal nosem.

-Tam plynie woda... - Pokazal reka, jakby rzeczywiscie mogl ja zobaczyc. - Jesli zdolamy do niej dotrzec, moze uda nam sie wymknac.

Nie potrafilam zrozumiec, w jaki sposob woda moze nam pomoc. Lecz musialam zaufac komus, kto znal ten swiat lepiej niz ja. Przymocowalam wiec zawiniatko z prowiantem do pasa i ujelam w rece galazke i torbe z kamieniami.

Wskazal na galazke.

-To moze ich zatrzymac na jakis czas. Za kazdym razem, kiedy powiem "teraz", odwroc sie i omiec galazka ziemie w miejscu, przez ktore przeszliśmy. Psy na pare chwil straca trop.

Tak wiec ruszyliśmy pod oslona tumanow mgly. Za kazdym razem, kiedy powiedzial "teraz", odwracalam sie i omiatalam galazka ziemie za soba. Co jakis czas slyszelismy dzwiek rogu i rozlegajace sie w odpowiedzi ujadanie. Niekiedy rozbrzmiewalo blizej, a wowczas serce zaczynalo mi walic i czulam wzbierajaca we mnie fale lodowatego strachu. Potem, ku mej uldze, znowu cichlo, choc nie wiedzialam, czy to dlatego, ze sie oddalamy, czy tez z powodu jakichs szczegolnych wlasciwosci mgly. Zobaczylam jednak, ze moja galazka, ktora wytrwala tak dlugo bez szwanku oddzielona od macierzystego drzewa, zaczyna wiednac i tracic kwiaty. Ogarnal mnie strach, ze wkrótce opadnie z niej wszystko. Powiedzialam o tym Jorthowi, lecz on mogl pocieszyc mnie tylko stwierdzeniem, ze byc moze znajdziemy nastepne srebrzyste drzewo, poniewaz nie nalezaly tutaj do rzadkosci.

-Jestesmy juz blisko, slyszysz?

Tym, co mialam uslyszec, byl szmer plynacej wody. Pod stopami mielismy szara ziemie, w ktorej lsnily blado biale kamienie. Kosgro przyklekнал na jedno kolano i wydlubal kilka z nich. Ku mojemu zdziwieniu ogladal je uwaznie, jakbysmy mieli cala wiecznosc na jakas dziecięca zabawe. Kiedy wybral dziewiec kamieni, machnieciami reki dal mi znac, zebysmy ruszyli dalej. Zsunelismy sie ze skarpy i zobaczylam strumien, ktory nie dosc, ze byl wartki, to jeszcze w dodatku toczyl ciemne wody. Nie mialam ochoty przeprowiac sie przezen w brod.

-Tutaj.

Ujmowal kamienie po kolei i spluwal na nie, mamroczac cos tak cicho, ze nie slyszalam wyraznie, co mowil. Kiedy potraktowal juz tak wszystkie, zaczal wrzucac je do wody, pierwszy blisko brzegu, a kazdy z nastepnych coraz dalej, jak gdyby zamierzal wznieśc na nich przesla jakiegos mostu. Wlasnie kiedy zamierzalam poprosic o wyjasnienie, ze zdumienia odebralo mi mowe.

Czy moglam uwierzyc w to, co widzialy moje wytrzeszczone oczy? Z pomarszczonej falami wody, z kazdego miejsca, gdzie z pluskiem wpadly do niej te male kamienie, wylonil sie

biały skalny blok. Można było przejść po nich z jednego brzegu na drugi. To z pewnością jakaś iluzja!

-Ruszaj!

Wciąż trzymał w jednej ręce trzy kamienie, lecz druga popchnął mnie, podkreślając rozkaz. Zrozumiałam, że chce, abym przeszła po skalnych blokach. Pewnie zbuntowałabym się, tylko że róg odezwał się znowu - o wiele za blisko.

Tak więc wskoczyłam na najbliższy, przekonana, że moje stopy nie znajdą oparcia i wpadnę do wody. Moje stopy znalazły jednak solidne oparcie. Zachecona tym, wskoczyłam na drugi, a potem na następny. Mgła nie pozwalała mi dojrzec drugiego brzegu rzeki, nie wiedziałam też, jak daleko sięga ten dziwny most.

Znalazłam się na szóstym kamieniu i wciąż miałam przed sobą rwącą wodę. Kosgro doskoczył do mnie i przez chwilę badał wzrokiem wodę, zanim rzucił siódmy kamień. Potem powiedział:

-Poczekaj tutaj, dopóki się nie upewnisz, jak odległy jest drugi brzeg.

Wskoczył na siódmy kamień i stamtąd rzucił osmy. Znajdował się na krawędzi mgły i nie widziałam go wyraźnie. Czekalam, drżąc z zimna, kiedy rozbryzgująca się o skalny blok woda spryskiwała mi nogi.

-Dalej... - Jego głos był stłumiony, lecz uznałam, że chce, bym dołączyła do niego. Tak więc przeskoczyłam na siódmy, potem na osmy i w końcu na ostatni. Przede mną wciąż płynęła woda, zbyt szerokim pasmem. Lecz mgła nie mogła ukryć Kosgro, który stał po pas w wodzie, trzymając się zwalonego drzewa, przegradzającego rwący nurt. Skinieniem dał mi znać, że bym skoczyła i że mnie pochwyci.

Kiedy upewniłam się, iż torba z kamieniami i zawiniatko z prowiantem są przymocowane do pasa, wepchnęłam to, co pozostało z gałazki za pazuchę, uwalniając w ten sposób obie ręce. I dopiero wtedy wykonałam ostatni skok.

Prąd był tak silny, że zwałiłby mnie z nog i wciągnął pod powierzchnię, gdyby nie silny chwyt owłosionej ręki. W jakiś sposób udało się nam wydostać na brzeg, gdzie upadliśmy dysząc ciężko.

Znowu odezwał się róg, tak blisko, że musiał rozbrzmiewać z drugiego brzegu rzeki.

-Kamienie... mogą po nich przejść...

-Spójrz - powiedział, a ja poszukałam ich wzrokiem.

Nic nie znalazłam, choć przynajmniej dwa skalne bloki powinnam była zobaczyć.

-To zaklecie nie działa długo ani też nie może być wykorzystane wbrew mojej woli. Jak widzisz, szpiegowanie Ludu okazuje się przydatne. Podglądałem ich z ukrycia, kiedy wychodzili ze swoich warowni, w nadziei, że dowiem się czegoś, co umożliwi mi powrót lub pozwoli na dobicie targu z którymś z nich. Nie zwracają na mnie uwagi, bo jestem jednym z Pomiedzy - nie należę ani do Pomroczy, ani do nich, ponieważ nie chciałem przyjąć ich zwyczajów. Moja jedyna nadzieja kryła się w tym, że dowiem się jak najwięcej. I przynajmniej jeden z tych z trudem zdobytych strzępów wiedzy przydał nam się w tych ciężkich chwilach!

Choć wciąż z trudem przychodziło mi uwierzyć, że przeprowadził nas przez rzekę w tak niezwykle sposób, przecież nie mogłam zaprzeczać oczywistym faktom.

Rozległ się przeraźliwy, budzący grozę dźwięk rogu. Poderwałam się na nogi, gotowa uciekać. Ale w zachowaniu Jortha nie było widać pośpiechu.

-Bieżąca woda. - Wskazał na rzekę. - To powstrzyma Pomroczy, dopóki nie znajdzie gdzieś jakiegoś mostu, po którym będą mogli przejść na drugą stronę. Przez jakiś czas nic nam z ich strony nie grozi.

Rozdział jedenasty

Nie możemy tutaj zostać! Bez względu na to, gdzie znajdował się taki most, chciałam oddalić się jak najszybciej z tego miejsca, choć marsz we mgle również stwarzał problemy.

-To prawda.

Otrząsnął się z wody jak zwierzę. Moje wilgotne ubranie oblepiało mnie. Po raz pierwszy, odkąd znalazłam się tutaj, pragnęłam ciepła, chciałam zobaczyć słońce i poczuć na sobie dotyk jego promieni.

Byłam zdecydowana pozwolić Jorthowi na objęcie przewodnictwa, ponieważ nie wiedziałam, dokąd mamy iść. W tej mgle mogłam zabił się i wrócić do rzeki. Ponownie zaczął węszyć, jakby chciał w ten sposób znaleźć drogę.

Potem powiedział:

-Niedaleko stąd znajduje się miejsce, gdzie chroni się Lud.

Ruszył przed siebie jak ktoś, kto wyraźnie widzi drogę. Pospieszyłam za nim i kiedy się z nim zównałam, zapytałam:

-Skąd wiesz?

-Nie czujesz go?

Czulam tylko zapach wiedznej galazki, i to bylo wszystko.

-Lud uzywa roslin do zaklec czynienia i odczyniania. W miejscach, gdzie rosna, ich zapach jest bardzo intensywny.

-Taki jak tego? - Dotknelam zmietej galazki.

-Nie, te sa inne. Nie wiem, kto je posadzil. Ale Lud ich nie uzywa. Pochodza z wczesniejszej ery, byc moze z czasow jakiegos innego ludu...

-Te kopce, gdzie one rosna - czy byly ongi miastem, czy tez miejscem pochowku?

-Mogly byc tym albo tym, lub jednym i drugim. Jesli ktokolwiek zna historie tego swiata, to tylko Wielcy Ludu. A Wielcy zazdrosnie strzeza swej wiedzy. Oni i Pomrocze od zawsze konkuruja ze soba. Dochodzi tez do rywalizacji wsrod nich samych. I jest jeszcze cos... - Urwal, jak gdyby nie mial ochoty mowic dalej.

Naciskalam go jednak, poniewaz to, czego sie dowiedzialam, nawet najdrobniejsza rzecz mogla umozliwic mi powrot do znanego swiata.

-Co jeszcze?

-Nie wydaje mi sie, zeby Lud byl tu najwazniejszy, choc to prawda, ze udaje mu sie trzymac Pomroczy w szachu. Lecz z tego, co podsluchalem, wynika, ze jest tu jeszcze cos, czego oni sie boja, poniewaz co jakis czas skladaja daniny. I placa te daniny zywyimi istotami - co jest jednym z powodow, dla ktorych musza werbowac mieszkancow innych swiatow.

-Dzieci!

Czy Bartare zostala wezwana z takiego wlasnie powodu? Jesli tak, tym bardziej nalezalo odnalezc rodzenstwo - i to szybko.

-Naprawde nie wiem.

Wydawalo sie, ze niewiele go to obchodzi.

W obliczu jego obojetnosci zaplonelam gniewem, lecz zdrowy rozsadek ugasil te plomienie. Ostatecznie, dlaczego powinno obchodzic? Dzieci nic dla niego nie znaczyly.

Prawdopodobnie jedyna rzecz, ktora trzymala go przy mnie, bylo moje jedzenie. Ale, jesli tak, to czemu po prostu nie ogluszył mnie i nie zabral mi go? Nie watpilam, ze przewyzszal mnie znacznie sila i znajomoscia sztuki walki, i bez wiekszego trudu mogl zabrac mi prowiant. Jednak od poczatku tylko prosil, a nie probowal odebrac mi zapasow przemoca. I w ten sposob zagadka, ktora soba przedstawial, dalej nie dawala mi spokoju.

-Mgla rzednie.

Zajęta swoimi myślami niczego nie zauważyłam, dopóki tego nie powiedział. Teraz na własne oczy mogłam się przekonać, że pole widzenia rzeczywiście się poszerzyło. A parę chwil później znaleźliśmy się na drodze. Nie była to tylko wydeptana darn, jak ścieżka prowadząca do kopców, lecz prawdziwa droga, wyłożona dopasowanymi do siebie kamiennymi płytami. Niektóre z tych płyt jarzyły się takim samym bladym lśnieniem, jak kamienie, wykorzystane przez mojego towarzysza do zbudowania owego niezwykłego mostu. Inne były czerwone, żółte, czy nawet czarne. I choć ułożono je bez jakiegos określonego wzoru, rozrzucając tu i tam, przecież dalaoby się pojsć droga -jesli ktos chcialby poswiecic na to czas i uwage - stajajac tylko po plytach jednego rodzaju.

-Czekaj. - Uniesione ramie Kosgro zagrodziło mi drogę. - To jedno z ich miejsc służących do podróżowania.

-Droga, przecież widzę...

-To coś więcej niż tylko droga. Nie prowadzi do jednego określonego miejsca, lecz do wielu. Och, nie potrafię tego wyjaśnić, ponieważ nie rozumiem zasad, które tym rządzi. Ale widziałem, jak ją wykorzystywano. A działa w taki sposób: poszczególne kolory służą określonym celom. Jeśli nie będziesz uważała, gdzie stawiasz nogę, to albo nie ruszysz z miejsca, albo droga zaprowadzi cię tam, dokąd nie chcesz iść, bowiem Pomrocze również jej używają. Szukając określonej osoby, wybierasz błyszczące płyty. Kroczysz tylko po nich, wyobrażając sobie twarz tego, kogo chcesz zobaczyć. Koncentrujesz się na tym ze wszystkich sił, i wtedy go napotkasz.

-Ale dzieci jest dwoje - Oomark i Bartare. Wzruszył ramionami.

-Chyba więc będziesz musiała wybierać.

Wybierać? Bartare była z tą tajemniczą Panią, która sprowadziła tuja i nas. A ponieważ dziewczynka przybyła tutaj chętnie, być może była na tyle bezpieczna, na ile to możliwe w tym świecie pełnym wielorakich niebezpieczeństw. Ale Oomark uciekł w nieznane. I wspominając polowanie oraz tych, na których natknęłam się wśród kopców, uznałam, że wcale nie mam wyboru - muszę odnaleźć Oomarka. I powiedziałam o tym Kosgro.

-Jak chcesz. Idź zatem po błyszczących kamieniach i wyobrażaj go sobie takim, jakim widziałas go po raz ostatni.

Byłam zaskoczona, ponieważ wyglądało, iż nie jest zainteresowany tym, dokąd mam się udać. Czy to oznaczało, że rozstajemy się tutaj? Zapytałam go o to i z jego ust wydobył się dźwięk, który mógł być ochryplym śmiechem.

-Zostawic cie? Nigdy, dopóki masz to, co dla mnie jest życiem. Lecz każde miejsce jest równie dobre, jeśli tylko Pomrocze nie beda mogli nas dosiegnac. Wciaz nie tracie nadziei, ze z naszego spotkania wyniknie cos wiecej. Jednak przewodnictwo nalezy teraz do ciebie, bo ty prowadzisz poszukiwania. Podaj mi tylko reke, poniewaz nie wiem, na kim mam sie

skoncentrowac, i musze polegac na tobie.

Przez chwile sklonna bylam odmowic, zeby uwolnic sie od Jortha Kosgro. Odzily moje dawne podejrzenia. Lecz w koncu wyciagnelam reke, a on ujal ja mocno.

Gdyby ktos obserwowal nas, ujrzalby dziwny widok. Zeby kroczyc wylacznie po blyszczacych kamieniach, musialam posuwac sie zygzakami, to w przod, to znowu, z koniecznosciami, do tyłu. Staralam sie usunac z mysli wszystko z wyjatkiem obrazu Oomarka, takiego, jakiego zapamietalam, kiedy uciekl ode mnie przestraszony widokiem ukwieczonej galazki.

Poruszajac sie ta kreta trasa oddalilismy sie od miejsca, gdzie po raz pierwszy wstapilismy na plyty. Teraz, kiedy mgla sie cofnela, moglam zobaczyc, ze droga konczy sie nagle niedaleko od miejsca, gdzie przystanelam, by sie jej przyjrzec. Jak dotad nic sie nie stalo i chcialam juz zrezygnowac z tego sposobu podrozowania i zazadac od Kosgro, zebyśmy skierowali sie gdzieś indziej.

-Mysl o chlopcu!

Wygladalo, jak gdyby czytalam w moich myslach i zachecal do skupienia uwagi na poszukiwanej osobie.

Poslusznie wyobrazilam sobie znowu twarz Oomarka i zrobilam trzy ostatnie kroki, ciagnac za soba Kosgro. Nagle odnioslam wrazenie, ze biegnie, a jednak ziemia pod stopami nie uciekala do tyłu, lecz rowniez poruszala sie do przodu, tak ze musialam jeszcze bardziej przyspieszyc, zeby utrzymac sie na nogach. Z obu stron rozlegl sie furkot, a kontury zamazaly sie, jak gdyby zatarte predkosciami, z jaka mijalismy to, co nas otaczalo.

Potem upadlam, albo raczej doznalam uczucia, jakbym zostala wyrzucona z pedzacej drogi; uderzylam o cos twardego, i przez chwile lub dwie lezalam dyszac, zanim usiadlam, by zobaczyc, gdzie jestesmy. Uslyszalam jek i spojrzalam w tamta strone.

Kosgro lezal kawaleczek dalej, z rekami przycisnietymi do bandazy na piersiach, walczac z bolem. Po chwili udalo mu sie usiasc. Wreszcie oboje mogliśmy zobaczyc, dokad trafilismy, podrozujac w tak niezwykly sposob.

Przed nami rozciagala sie szeroka polac zieleni, opadajaca lagodnie w dol od miejsca, gdzie wyladowalismy. Laska cieszyła oczy soczysta zielenia, lecz nigdzie nie bylo widac na niej ciemniejszych kregow. Rosly tu blade kwiaty, biale i kremowe, oraz krzewy, obsypane tymi zlotymi jagodami, ktore tak smakowaly Oomarkowi. Wokol nich pelno bylo latajacych i podskakujacych stworzen.

Niezbyt daleko od nas poruszaly sie wieksze istoty, zajadajace jagody albo lezace w trawie. Oomark? Nie. A moze tamta to Oomark... albo tamta... czy moze ta?

Z tej odległości nie mogłam dostrzec różnic między nimi. Wszystkie miały rozszczerzone kopyta, gęste owłosienie i rogi, tak jak Oomark. Kiedy poruszały się obok siebie, można było tylko dopatrzeć się niewielkiej różnicy w wielkości. Nie potrafiłabym odróżnić jednej od drugiej. Czy Oomark przyszedłby, gdybym zawołała?

Trzy stworzenia zdawały się bawić w jakąś grę, rzucając po kolei, jedna do drugiej, kulisty przedmiot. Inne tuliło małe zwierzątko, pieszcząc je i głaszcząc futerko. I żadne nie nosiło nawet strzępka odzieży takiej, jaką wciąż jeszcze powinien mieć na sobie Oomark. Wspomniałszy jednak, jak łatwo pozbył się butów i wierzchniej tuniki, stwierdziłam, iż nie mogę liczyć na to, że nie wyrzucił reszty swojego nietutejszego stroju.

-Wiesz, który to? - zwrócił się do mnie Kosgro.

-Nie. Ale mogę zawołać...

-Nie! - przerwał mi zdecydowanym tonem. - Lepiej nie sciągać na siebie więcej uwagi niż to konieczne.

-Czy oni... czy to są Pomrocze?

-Nie, to są niższe istoty należące do Ludu. Ale są psotne i złośliwe i nie robią nic, żeby ci pomóc. Wręcz przeciwnie. Lepiej spróbuj odnaleźć chłopca po cichu.

-Ależ one wszystkie są takie same! Z tym tylko, że niektóre wydają się nieco wyższe od pozostałych. To tak, jakbym miała wybrać pojedyncze ziarnko piasku z wielkiej wydmy.

Zaczęłam liczyć. Naliczyłam dziesięć stworzeń i nie mogłam dostrzec między nimi żadnych różnic.

-To rzeczywiście problem - zgodził się Kosgro. - Czy jest coś, do czego chłopiec był mocno przywiązany i o czym mogłabyś teraz wspomnieć, żeby przyciągnąć jego uwagę? Jeśli wiesz o czymś takim, możemy podejść bliżej. Inne będa starały się go ukryć, lecz może zdradzi się odpowiadając ci.

-Bartare? Gdybym tak wymieniła jej imię...

Kosgro potrząsnął głową.

-Z twojej relacji wynika, że jest mocno związana z tym światem. Mogą ją znać. A wtedy postarają się nas zwiścić.

-Wydaje się, że dużo o nich wiesz.

-To prawda. Kiedy zjawilem się tutaj, zdarzyło się, że ugrzeźłem w bagnie i to właśnie te stworzenia ukradły mi wtedy prowiant.

Uciekly, rozerwały torbe i rozrzuciły całą zawartość. Udalo mi się wydostać z trzesawiska i ruszyłem ich tropem, dopóki nie dowiedziałem się, że gniew przyciąga Pomroczy. Odkryłem, że dla ochrony przed nimi muszę kontrolować emocje. Te niższe istoty są niezwykle zmienne, niczym nie potrafią zająć się na dłużej. Sądzę, że wszystkie są dziećmi, które w ciągu stuleci zwerbowano z innych światów...

-Stuleci! Ale przecież nie mogą żyć tak...

Odwrocił się i patrzył mi teraz prosto w oczy.

-Wyjawszy sporadyczne przypadki zbrodni, będących dziełem Pomroczy, nie ma tutaj śmierci.

Galaktykę zamieszkuje rasa, której długowieczność jest bez porównania większa niż w przypadku mojego gatunku - Zacamani, na przykład. Ale nawet ich życie kończy się ostatecznie śmiercią. Nigdy nie natrafiono na miejsce, gdzie życie nie kończyłoby się śmiercią, choć miejsca takie istnieją w legendach i mitach wielu ludów.

-Czy wiesz, co może zainteresować Oomarka? Jakies imię, no, coś w tym rodzaju? - zapytał, kierując moją uwagę z powrotem na to, co mieliśmy zrobić.

Pomyślałam: imię jego matki? Ojca? Nie byłam pewna. Może imię kogoś z przyjaciół z Dylana? I wtedy oślnięło mnie - Griffy! To z jego powodu przeżył taki wstrząs.

-Spróbuj,...

-Nie będziesz miała zbyt wiele czasu - zauważył. - Potrafią poruszać się z taką szybkością, że nie zdołamy ich dopędzić, jeśli uciekna.

Obyłabym się bez tego ostrzeżenia, ponieważ sprawiło, że nerwy miałam jeszcze bardziej napięte. Teraz istoty przyglądały się nam i zlekkały się, że odwróciła się i uciekna. Nie tracąc więc czasu zaczęłam rozglądać się po łacie, jak gdybym czegoś szukała. Wyciągnęłam rękę i zawolałam pieszczotliwie: - Griffy, chodź! Griffy! Griffy!

Nie śmiałam unieść wzroku, żeby zobaczyć, jakie robi to wrażenie na stojących przede mną stworzeniach. Zamiast tego dodałam coś, co miało stanowić ukoronowanie mojego występu:

-Griffy? Musi gdzieś tu być! Pomóż mi go znaleźć... Griffy!

-Griffy! - Tym razem nie ja to zawolałam. Był to młodszy, bardziej przenikliwy głos. - Griffy! Tutaj! Gdzie... gdzie on jest?

Jedna z rogatych postaci wyrwała się z grupy i rzuciła ku mnie. Dwie inne ruszyły, jakby zamierzając przeciąć drogę swemu towarzyszowi. Lecz skreciły i cofnęły się, gdy Kosgro

chwycił male stworzenie, które natychmiast zaczęło się wyrwać. Wówczas pozostałe zerwały się do ucieczki. Poruszały się z taką szybkością, że nigdy nie zdolałabym ich dogonić.

Kosgro z pewnym wysiłkiem zapanował nad jencem. Dyszał trzymając Oomarkę, podczas gdy chłopiec kopał i ryl darn kopytami. Gdy podeszłam do nich, Oomark krzyknął przenikliwie:

-Pusc mnie, pusc mnie! Klamalas! Griffy'ego tutaj nie ma!

Pusc mnie! Zawołam Bartare. Ona sprowadzi Panią i wtedy pozalujecie - naprawdę pozalujecie.

Znowu był małym chłopcem. Teraz, w napadzie furii, utracił ową dziwną sposobność wysławiania się, jaką pojawił się wraz ze zmianami w wyglądzie.

-Chcę się zobaczyć z Bartare, Oomark. Jeśli ją zawołasz, będę ci bezgranicznie wdzięczna...

Tak nagle zaprzestał prób wyrwania się, że nabrałam podejrzeń. Miałam nadzieję, że Kosgro nie da się zwieszc i nie pusti go.

-Nie wiesz, co mówisz. Bartare i Pani sprawia, że będzie ci okropnie przykro. Bardzo dobrze wiedzą, co zrobić, żeby komus było przykro. Zobaczysz!

-Chcę zobaczyć się z Bartare. I myślę, że wiesz, gdzie ona jest. Mówiłaś, że wiesz, miałas mnie tam zaprowadzić.

-Nie lubię tamtego miejsca. Jestem już wśród swoich - należę do wolnego Ludu. Pozwól mi wrócić do nich.

Stał spokojnie i teraz był raczej gotów błagać o wolność, niż walczyć o nią. Tylko że w spojrzeniu utkwionych we mnie oczu kryła się chytrych, pomyślałam, że lepiej zrobimy nie ufając mu. Jego towarzysze, do których chciał wrócić, zniknęli już z pola widzenia.

-Oomark, nie należysz do tego świata... - zaczęłam, ale zobaczyłam, że Kosgro potrząsa głową. Wiedziałam, co chciał przez to powiedzieć: ten argument nie trafi do chłopca. Miał rację, lecz może gniew byłby skuteczniejszy.

-Nie wierze, że wiesz, gdzie jest Bartare. Tylko tak mówisz. Gdybyś naprawdę wiedział, dowiodłbys tego...

Nie miałam pojęcia jak postąpić, gdyby odmówił współpracy. Mogłismy zatrzymać go w charakterze więźnia, lecz przecież nie zmusilibymy go, żeby pokazał nam drogę. A nawet jeśli się na to zgodził, skąd pewność, że prowadzi nas tam, gdzie chcemy?

-Bedziesz zalowac, naprawde bedziesz zalowac!

-Doskonale, bede zalowac. Lecz mimo to musze zobaczyc sie z Bartare.

-Ona jest z Pania. Nie lubie Pani. Nie chce tam isc...

Jego niechec do tajemniczej towarzyszki Bartare byla tak wielka, ze nie trafialy do niego zadne argumenty. Moglam tylko probowac wciaz od nowa.

-Chcesz wrocic do swoich przyjaciol, prawda? Zaprowadz nas zatem do Bartare. Wowczas pozwolimy ci wrocic. Lecz dopoki tego nie zrobisz, zostaniesz z nami.

Byc moze w tym kosmatym ciele pozostala wystarczajaco duza czastka dawnego Oomarka, by mogl odczuc wage autorytetu doroslego czlowieka, bowiem odpowiedzial ulegle:

-Dobrze. W kazdym razie nie bedzie mi cie zal - i ciebie tez kiedy spotkacie sie z Pania.

-Chodźmy już - powiedzialam.

Oomark wyszczerzył zęby.

-Tym lepiej dla mnie. Wreszcie zobacze twój koniec!

W jego głosie zabrzmialo cos wiecej, niz zwykla dziecięca zlosliwosc. Tak jak wczesniej w przypadku Bartare, tak i teraz odnioslam wrazenie, ze zdobył wiedze, jakiej nigdy zadne dziecko nie powinno posiadac. Obca czastka jego istoty znowu wziala gore, tlumiac to, co jeszcze pozostalo w nim z czlowieka. Uniosl wzrok, ogladajac sie na Kosgro.

-Mozesz mnie puscic, ty Pomiedzy - powiedzial tonem rozkazu. - Nie uciekne. Chcesz, zebym to przysial na Darn i na Lisc?

Kosgro cofnal sie o krok.

-Wystarczy mi twoja obietnica.

-Wiec chodźmy, jesli tego chcecie!

Ruszył przed siebie, rozgoraczkowany i zniecierpliwiony, co chwile ogladajac sie na nas.

Podazyliśmy za nim. Prowadzil, utrzymujac takie tempo, ze musielismy klusowac, by nie pozostac w tyle. Gdy znalezlismy sie wsrod krzakow z jagodami, uslyszalam przenikliwe glosy. Pecyny miękkiej ziemi zmieszanej z rozgniecionymi jagodami nadlecialy znikad, rozpryskujac sie na nas, dopoki Oomark nie uniosl reki i nie krzykнал ostro. Wowczas grudy ziemi przestaly spadac, a jego towarzysze, ktorzy byc moze planowali zasadzke, pozwolili nam przejsc. Kiedy jednak w pewnej chwili obejrzalam sie za siebie, zobaczylam, ze nie

opuszcili Oomarka, lecz zbili sie w grupe, podazajac naszym sladem.

Nie mialam zadnych watpliwosci, ze narazamy sie na jedno z wielkich niebezpieczenstw, grozacych w tym swiecie. A zachowanie

Kosgro w zaden sposob nie oslabialo moich zlych przeczuc. Bez przerwy rozgladal sie wokol siebie, jak gdyby w oczekiwaniu ataku. Przyjaciele Oomarka pozostali tak daleko w tyle, ze niemal znikneli we mgle.

-Jak jeszcze daleko? - zapytalam w koncu.

Oomark poslal mi jedno ze swych przebieglych spojrzeń.

-Jak daleko? Jesli Bartare nie bedzie chciala sie spotkac, wtedy zrobi sie podwojnie daleko.

Nie mialo to dla mnie zadnego sensu, lecz Kosgro zdawal sie rozumiec, o co chodzi, poniewaz zatrzymal sie nagle. Oomark odwrocil sie.

-Na co czekasz? Przeciez chcecie zobaczyc Bartare. Jesli tak, to chodzmy!

-Nie, jezeli chcesz poprowadzic nas droga przez doline - odparl ostro Kosgro.

Znowu nic nie rozumialam. Zaakceptowalam jednak fakt, ze przeciwstawil sie Oomarkowi; bylo bowiem oczywiste, iz to wlasnie robi.

Oomark przestapil z kopyta na kopyto w jakims niecierpliwym tancu.

-Nie chce marnowac czasu. Chodzmy albo pusccie mnie!

-Nie droga przez doline.

Oomark odpowiedzial na to wybuchem gniewu.

-Co ty wiesz o drogach? Wewnetrznych, zewnetrznych, przez doline, prostych drogach? Jestes jednym z Pomiedzy. Czysms gorszym niz stworzenia, ktore ryja w tym! - Kopnal grude ziemi, ktora trafila Kosgro w kolano. - Pomiedzak! - krzyknal, zmieniajac to slowo w zniewage.

-Nie droga przez doline - powtorzyl po raz trzeci Kosgro, spokojnym i niewzruszonym tonem. W jego glosie brzial autorytet czlowieka, ktorego kazde polecenie wykonywano bez szemrania, i ma wszelkie powody, by oczekiwac, ze i tym razem tak bedzie.

Oomark opuscil glowe, jakby nie mogl juz wytrzymac spojrzeń swego przeciwnika. Kopnal jeszcze jedna grude, lecz ta nie doleciala do Kosgro, o ile to wlasnie lezalo w jego zamiarach.

-No dobrze! - zawołał w końcu. - Poprowadźcie nas zewnętrzną drogą!

-Tak będzie lepiej.

I znowu spokojna odpowiedź Kosgro odniosła skutek. Na własne oczy mogłam się przekonać, iż faktem, że postawił na swoim, ponownie doprowadził do przebudzenia się dawnej osobowości Oomarka. A z chłopcem o imieniu Oomark łatwiej mogliśmy sobie poradzić.

Podszedł i wyciągnął dłoń do Kosgro, który ujął ją, równocześnie podając mi drugą rękę. Kiedy już połączyliśmy się w ten sposób, Oomark ruszył, prowadząc nas. Tym razem nie klusował prosto przed siebie, tak jak przedtem, tylko kluczył, skrecając i zawracając. Przypomniało mi to przeskakowanie z płyty na płytę na drodze, pozornie prowadzącej donikąd, choć tym razem zamiast kamiennych bloków mieliśmy pod stopami sięgającą kostek trawę. Nie było też tutaj żadnego wzoru, podług którego wytyczaliśmy naszą trasę.

Podążaliśmy więc w ten meczący sposób przez siebie. Droga zdawała się nie prowadzić do żadnego celu, a bardziej przypominała jakąś bezsensowną grę. Jednak doceniałam wagę tej gry, bowiem Oomark zgodził się na to wyłącznie pod naciskiem Kosgro.

Tak bardzo pochłaniało mnie obserwowanie owych skretów i zwrotów, że właściwie na nic więcej nie zwracałam uwagi. W końcu jednak zauważyłam, że trawa rzadnie. Pojawiły się długie lachy srebrzystego piasku, usiane ognistymi plamkami, choć owe cętki nie były czerwone, tylko zielone. Pojawiało się ich coraz więcej i więcej, aż w końcu piasek zaczął przypominać roziskrzony pył.

Kiedy zniknęło ostatnie źdźbło trawy i pozostał tylko owy iskrzący się piasek, we mgle zamajaczyły wysokie cienie. W pierwszej chwili pomyślałam, że są to gigantyczne drzewa; potem zobaczyłam, że to kryształowe kolumny o wielofasetowej powierzchni, mlecznobiałe lub o barwie zimnej zieleni. Przypominały zdobione rzezbami wieże. Tak przynajmniej wyglądały z oddali. Lecz w miarę jak się zbliżaliśmy, stawały się ogromnymi, noszącymi ślady zniszczenia filarami. A jednak te dalsze wciąż przywodziły na myśl wieże, całe mnóstwo wież.

Z bliska złudzenie pryskało. U stop filarów pojawiła się platanina kretych ścieżek. Wśród tych olbrzymich słupów człowiek czuł się mały i zagubiony.

Nawet tutaj Oomark nie szedł prosto, lecz kluczył przechodząc to na jedną, to na drugą stronę ścieżki. Dwukrotnie zawracał po własnych śladach, jak gdyby zamierzając opuścić to miejsce. W jakiś sposób zaprowadził nas jednak w głąb labiryntu. Ogarniał mnie coraz większy strach na myśl, że możemy natknąć się tutaj na takie same potwory, jakie spotkałam wśród kopców.

Być może kopce były ongi czymś takim jak tutaj, tylko że tam filary skruszały i runęły.

Złudzenie, iż jest to miasto, uparcie powracało, z tym tylko, że było to miasto bez przechodniów na ulicach, bez głów w oknach, bez jakiegokolwiek śladu, że przebywają tu inne żywe istoty oprócz nas.

Narastała we mnie ochota, żeby zawołać i dowiedzieć się, czy jesteśmy tutaj sami. Lecz wszędzie wokół zalegała napawająca lekkiem cisza. Słyszałam tylko szeptać Oomarkę; wyglądało to tak, jak gdyby powtarzał jakieś słowa w monotonnym zaspiewie. Być może robił to od chwili, kiedy zaczęliśmy poruszać się w ten niezwykle sposób, ale wcześniej nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Oomark przystanął tak niespodziewanie, że Kosgro wpadł na niego, a ja z kolei zatrzymałam się równie gwałtownie na szerokim ramieniu mojego towarzysza. Widzieliśmy przed sobą miasto, wokół nas filary, i nic więcej. Oomark znowu wyszczerzył zęby w tym nieprzyjemnym, wcale nie dziecięcym grymasie, w którym nie było śladu życzliwości.

-Jest tu ściana - oznajmił.

Nie mogłam dostrzec niczego takiego. Kosgro puścił moją rękę. Wciąż sciskając dłoń Oomarkę, wyciągnął ramię przed siebie. Nie ulegało wątpliwości, że jego palce natrafiły na jakąś niewidoczną powierzchnię. Przesunął rękę w górę i w dół, badając ją. Oomark szarpnął się, próbując mu się wyrwać.

-Tu jest ściana - powtórzył. - Nie da się jej obejść ani wewnętrzną, ani zewnętrzną drogą. Zrobiłem wszystko, co mogłem. Puść mnie teraz!

-Nie zaprowadziłeś nas do Bartare - przypomniałam.

Spojrzał na mnie krzywo, z wyraźną wrogością.

-Teraz to niemożliwe. Nie jestem Wielkim. Nie mogę przez to przejść.

-To prawda, nie możesz - przytaknął Kosgro.

Byłam przerażona. Mój lek brał się nie tylko z faktu, że Jorth zgodził się z Oomarkiem, ale też ze świadomości, że przywykłam polegać na nim, być może za bardzo, do stopnia, który mógł zagrozić temu, co musiałam zrobić.

-My nie możemy, ale niewykluczone, że ona tego dokona. Kosgro odsunął się odrobine, tak że stałam teraz bezpośrednio przed niewidzialną barierą. - Spróbuj z notusem.

Rozdział dwunasty

Spojrzałam na gałązkę. Teraz już marniała w oczach, kwiaty pozółkły i zwiedły, a aromat nie był tak intensywny jak przedtem. Lecz gdy wyciągnęłam ją zza pasa, Oomark cofnął się i skurczył. -Nie!

Z pewnością próbowałby uciec, gdyby Kosgro nie trzymał go.

-Dotknij tym ściany - polecił, przytrzymując chłopca.

Wyciągnęłam rękę i... wmacalam gładką powierzchnię. Była ciepła i w palcach, gdy przesuwały się po niej, poczułam mrowienie, jak gdyby przepływał tam strumień jakiegoś energii.

Potem dotknęłam ściany galazka. Zobaczyłam błysk światła, któremu towarzyszył trzask. Wyglądało to tak, jakby galazka doprowadziła do zwarcia lub krótkiego spiecia.

-Tak. - Kosgro skinął głową. - Tak właśnie myślałem. To dlatego boja się notusa. Działa niszczycielsko na ich moc. A ponieważ czerpie energię z samych siebie, to, co zrobiłaś, może tę moc osłabić. Chodźmy.

Jednak Oomark nie chciał iść. Przestał kopać i wyrywać się, lecz zwiesił ponuro głowę i nie odpowiadał na pytania Kosgro.

-Czy nie możemy po prostu po prostu po prostu iść naprzód? - zniecierpliwiałam się.

-Nie sądzę. To jedno z miejsc, które osłania ich iluzja. Chyba że... - Kosgro znowu spojrzał na galazkę. Skurczyła się bardzo, prosząc szarym pyłem, kiedy nią poruszyłam.

-Czy zostały jakieś kwiaty? - zapytał.

Obejrzałam uważnie galazkę. Pośrodku tkwiło jeszcze sześć; były zwiedle, ale wciąż nietknięte.

-Daj mi trzy. Ty weź pozostałe - powiedział Kosgro. - Wetrzyj je w powieki.

Zawahałam się. Wzrok jest niezmiernie cennym zmysłem. Nie chciałam narazić swojego, pamiętałam bowiem aż nadto dobrze, jak czułam się wśród jaskrawych, geometrycznych figur.

-Jeśli chcesz tutaj znaleźć drogę - teraz on z kolei się zniecierpliwiał - to ten sposób jest naszą jedyną szansą. Ich iluzje są bardzo trwałe. Mogą usidlić nas tak, że się zupełnie zagubimy.

Wierzył w to, co mówił, tego byłam pewna. Powoli uniosłam zmietane kwiaty, zamknęłam oczy, i potarłam powieki zwiedłymi płatkami. Trzymając kwiaty tak blisko twarzy mogłam wdychać ich zapach, który, jak zwykle, napelnił mnie dobrym samopoczuciem. Uniosłam powieki...

Wznoszące się wokół nas wieże-filary zniknęły. Wyciągnęłam głowę, odniosłam bowiem wrażenie, że znowu znalazłam się wśród pagórków, gdzie czaiły się potwory.

Otaczały mnie stosy zwalonych na siebie kamiennych bloków, porośniętych trawą i kolczastymi krzakami, droga zaś, szeroka i prosta, która przedtem ciągnęła się przed nami, okazała się wąską ścieżką, wijącą się tu i tam wśród tych pagórków.

-Co widzisz? - zapytał Kosgro.

Spojrzałam na niego, a potem szybko odwróciłam wzrok, omal nie pokonana przez mdłości i zawroty głowy. Owłosiona postać, tak dobrze mi znana, drżała i migotała; raz była tym, to znowu owym, aż w końcu nie wiedziałam już, co widzę. Czy to sylwetka człowieka, zamglona, o niewyraźnych konturach? Czy też owłosiony stwór? Czy nawet - chwilami - ogromny, purpurowy trójkąt?

-Przeszan!

Wyciągnęłam błagalnie rękę w nadziei, że może przybierze jakąś jednorodną formę.

-Co widzisz? - zapytał znowu.

-Ty... zmieniasz się. Czym... czym jesteś?

-Nie patrz na mnie! - Głos wydobył się z tego oszalamiającego wiru kształtów, w którym jedna postać natychmiast przeistaczała się w drugą. - Co widzisz wokół siebie?

-Pagórki... ruiny.

Badalam wzrokiem to, co wydawało się konkretne i stałe.

-Jest tam droga?

-Wąska ścieżka.

-Poprowadz nas nią - i nie oglądaj się za siebie!

Posłuchałam z największą ochotą. Wzrok wbity w ścieżkę pozwalał mi poczuć się pewniej i po chwili byłam już w stanie opanować panikę, która ogarnęła mnie na widok tego, co stało się z Kosgro.

-A co ty widzisz? - zapytałam.

-To samo co przedtem. Nie użyłem jeszcze notusa.

Pewnie mówił prawdę. Gdyby widział mnie i Oomarkę podwójnie czy potrójnie, sprawiłoby mu to tylko kłopot.

-Trzymasz chłopca?

-Tak. Co jest przed nami?

Nie bylam do konca pewna, do czego potrzebna mu ta informacja, lecz postaralam sie jak najlepiej opisac slowami sypiace sie pagorki. Jednak wszystkie byly tak do siebie podobne, ze znalezienie wsrod nich jakiegos, mogacego sluzyc za znak orientacyjny, raczej nie wchodzilo w rachube. Tylko wydeptana sciezka sprawiala wrazenie, ze ktos korzysta z niej regularnie. Widnialy na niej slady przypominajace odciski kopyt i inne, ktore mogly byc zostawione przez obute stopy. Mowilam Kosgro o tym, co widzialam, lecz on nie zadawal wiecej pytan.

Labirynt kopcow zdawal sie rozciagac na wielkim obszarze. W koncu Kosgro przerwal milczenie.

-Co jest przed nami?

-Nic tylko pagorki i pagorki.

-Jednak my widzimy wyzej polozone skupisko wiez. Mysle, ze zblizamy sie do centrum.

I rzeczywiscie, jego slowa jakby przekrecily jakis klucz, wreszcie bowiem cos sie zmienilo. Zza zakretu sciezki wylonilo sie wzniesienie, z ktorym czas obszedl sie lagodniej niz z cala reszta. Jego bokow nie porastala zielona darn. Kamienne bloki scian byly nagie, a nasza sciezka wiodla ku masywnej bramie otwierajacej sie w murze. Gdyby w wejsciu zalegala ciemnosc, nie sadze, bym tak chetnie je przekroczyla. Lecz zza bramy lalo sie potokami swiatlo, jasniesze niz wszystko, co dotychczas zdarzylo mi sie widziec na tym spowitym mgla swiecie.

Tak wiec przeszliśmy przez brame i znaleźliśmy się na dziedzińcu, z pewnością stanowiącym samo centrum tego dziwnego miejsca. Podworec pozbawiony był dachu. Na wewnętrznych ścianach, w równych odstępach, osadzono pierscienie ze srebrzystego metalu, na nich zaś spoczywały kule, jarzące się bladą poświatą. Blask poszczególnych kul nie był silniejszy od światła księżyca na typowej planecie, lecz razem dawały o wiele jasnieszczą iluminację.

Staliśmy na posadzce z płyt, takich jak te na drodze, po której potrafił poruszać się Kosgro. Posadzke ułożono z różnobarwnych kamiennych bloków: srebrnych, zielonych i kryształowych. Ale w odróżnieniu od tych na drodze, nie było wśród nich czarnych ani czerwonych.

Czworobok posadzki otaczał podium, wznoszące się o dwa stopnie ponad jej płaszczyznę. Samo podium było całe z kryształu i promieniowało łagodnym blaskiem, przypominającym rzadki opar, którego smugi unosiły się z czterech rogów, jak dym z płonących tam ognisk.

Posrodku podium mgielka gestniala i rozplywala sie, potem znowu gestniala tworzac nieokreslone ksztalty, by zaraz zniknac i skupiac sie ponownie. To pulsowanie mgly

przyciągało wzrok, i...

-Kilda!

Szarpnięcie za ramię oderwało moje oczy od podium. W głosie Kosgro brzmiała taka gwałtowność, że natychmiast przypomniałam sobie o jego obecności. I nie potrzebowałam już innych ostrzeżeń. Znajdowaliśmy się w miejscu, gdzie nieustannie należało mieć się na baczności.

Jego okrzyk nie tylko wyrwał mnie spod wpływu na wpół utkanego czaru, lecz również wywołał zmianę w tej falującej mgłę. Zgestniała, przybierając wyraźne kształty.

-Bartare.

Zobaczyłam ją po raz pierwszy od czasu, kiedy opuściliśmy dolinę dzwieczących skal. Ona również się zmieniła.

Włosy, o wiele dłuższe, okrywały ją do pasa jak płaszcz. Jej twarz zeszcupiała, co sprawiało, że oczy wydawały się większe. Stała z uniesioną do podbródka ręką i skubała palcami dolną wargę, mierzac nas wzrokiem osoby, która musi podjąć jakąś ważną decyzję. I otaczała ją oniesmielająca aura pewności siebie.

Uśmiechnęła się, jak gdyby potrafiła czytać moje myśli i zdawała sobie sprawę z mojej narastającej niepewności, bowiem nie było to już dziecko, któremu mogłabym przeciwstawić ową odrobinę autorytetu, jaką niegdys miałam.

-A więc przybyłaś, mimo wszelkich ostrzeżeń, Kildo c'Rhyn - powiedziała. Głos miała wciąż wysoki i beztroski, jak głos dziecka, tyle że nie była już ludzkim dzieckiem. - I co zamierzasz zrobić, Kildo? Zmusic nas do powrotu do tego małego, niedźnego świata, gdzie byłam nikim, niczym? Czy myślisz, że wróce - albo Oomark, teraz, kiedy wie, co oznacza przynależność do Ludu? Czyż nie błagał o wolność? Wyrwaliśmy się ze skorup, jakie twój rodzaj nam narzucił. To ciało należało do waszego świata, tak... Przesunęła rękę od piersi aż po udo. - ...ale duch, który je zamieszkiwał, wrócił do siebie! I teraz ciało przybiera właściwą dla niego formę. Nie możemy wrócić - i nie wrócimy!

Przesunęła się ze środka podium do jego krawędzi, bliżej nas, i teraz stała spoglądając z góry i nawijając na palce długie pasemka włosów. A jednak wciąż była w niej cząstka dawnej ludzkiej istoty, cząstka, która co jakiś czas ujawniała się w Oomarku, bowiem tak samo jak kiedyś, tak i teraz Bartare czerpała radość z tego, że jest góra.

-Jesteśmy wolni! - zawołała. - I nie możesz odebrać nam tej wolności, Kildo!

Ta dziewczyna była osrodkiem wszystkiego. Jeśli kiedykolwiek mieliśmy wrócić do normalnego, zdrowego świata, nie mogło się to odbyć bez niej.

-Jestes wolna, Bartare? - Z uwaga dobieralam slowa. - Kto stoi za toba, tam? -
Wskazalam na slup gesteji mgly, ktorej smugi wciaz wily sie ku gorze posrodku podium.

Z jej twarzy zniknal drwiacy usmieszek i zblizyla sie jeszcze bardziej do krawedzi.

-Nie nazywaj mnie "Bartare"! Nie jestem Bartare. Jestem tym, kim mialam byc. Nie zdobedziesz nade mna wladzy, nazywajac mnie tym imieniem.

-Wiec kim jestes, jesli nie jestes Bartare?

Zauwazylam, ze zbyla milczeniem moje pytanie dotyczace tego, kto jeszcze znajduje sie na podium.

Rozesmiala sie.

-Nie zlapiesz mnie w ten sposob, Kildo. Nie poznasz i nie wymowisz mojego imienia. Zrzucilam z siebie wszystkie wiezy. Zrozum, Kildo - jestem wolna!

-Nie wierze w to - odparlam stanowczo i zuchwale.

Wytrzeszczyla na mnie oczy, a potem, po raz pierwszy odkad stanela przed nami, obejrzala sie za siebie, na mgle. Kiedy znowu skupila uwage na mnie, rozesmiala sie po raz wtory, lecz juz nie z taka pewnoscia siebie. Byc moze kontakt z notusem wyostrzyl mi intuicje, bowiem odgadlam, co bylo przyczyna jej niepokoju.

-Zapytaj jej... - wskazalam na mgle - ...czy jestes wolna.

Czulam, ze Pani, przewodniczka Bartare, musi tu byc. I moje slowa spowodowaly zmiane w tej mgle. Zgestniala jeszcze bardziej i pociemniala. W koncu przeobrazila sie w postac, wyzsza niz jakikolwiek czlowiek, a jednak ludzka w ksztalcie. Byla to kobieta, jak sobie uswiadomilam, i to taka, ktorej majestat napawal lekiem i czcia. Czarne wlosy splywaly falami az do stop; nosila je odrzucone do tylu za ramiona, tak jak Bartare,, a jej glowe opasywala srebrna opaska wysadzana bialymi kamieniami. Takie same biale kamienie zdobily srebrny kolnierz, szeroki i gleboko wcinajacy siew zielona suknie; jego waskie konce zbiegaly pomiedzy piersiami, laczac sie z pasem na wysokosci talii. Jej szata miala taka sama barwe zieleni, jak ta, ktora jeszcze na naszym swiecie tak bardzo podobala sie Bartare. Splywala wokol postaci, jak gdyby okrywala ja nie tkanina, a jakas zywa substancja, ktora piescila jej cialo. Tak jak w przypadku Bartare, czarne brwi kobiety laczyly sie w jedna linie nad oczami, a zimne piekno jej regularnych, wyrazistych rysow bylo wrecz odpychajace.

Widzialam ja tylko przez chwile, jednak wystarczajaco dlugo, by ten obraz wryl mi sie w pamiec na wieki. Potem, tak jak sie to stalo z Kosgro, zamigotala i zmienila sie w cos innego, i jeszcze innego, i jeszcze... Tak szybkie byly te zmiany, ze opanowaly mnie mdlosci, jednak nie moglam oderwac od niej wzroku.

I znowu Kosgro wyrwał mnie z sidel iluzji, bo toż pewnością była iluzja. Głosno, ostro wykrzyknął moje imię. Wzdrygnęłam się i to pozwoliło mi wyzwolic się spod władzy, jaka jej oczy narzuciły moim, i skierować wzrok z powrotem na Bartare.

-Zapytaj o to ja - rzekłam. - Niech ona powie, czy jesteś wolna.

-Nie muszę pytać. - Głos Bartare ociekał dumą. - Należy do tego samego rodzaju, co ona - to moja duchowa matka! Jestem podrzutkiem. Czy wiesz, co to oznacza, Kildo? Kiedyś twój gatunek wiedział. Należy do tych, których umieszczono wśród ludzi, by uczyli się ich zwyczajów i ściągali wybranców do tego świata. Teraz Ona zezwoliła mi, bym ci pokazała, że moje miejsce jest wśród Ludu i że nie możesz wykorzystywać mnie, tak jak byś sobie tego życzyła. Uważasz mnie za dziecko, Kildo, które zrobi wszystko, co mu każesz. Uczestniczyłam w tej grze, dopóki musiałam, żeby dotrzeć do wrot. Ale dziecko z tego świata, dziecko należące do Ludu, nie jest kims, komu możesz cokolwiek rozkazywać. Ponieważ ty... ponieważ ty... - Zawahała się i zająknęła. Jeszcze raz spojrzała na stojącą za nią istotę, choć ja rozważnie nie skierowałam wzroku w tamtą stronę. Cokolwiek Bartare chciała powiedzieć, zrezygnowała z tego i tylko machnęła ręką.

-Patrz, oto Lud i ci, którzy są z nim zjednoczeni. Przychodzą, by zobaczyć, jak dowodzę. Mam prawo zajmować to miejsce i dzierżyć...

Nie miałam pojęcia, skąd to wzięła, lecz nagle zobaczyłam, że trzyma w ręku miecz o wąskim ostrzu, wykonany nie z metalu, tylko z drewna, tak świeżo ściętego, że lśniło jeszcze czystą bielą. Wykorzystując miecz jako wskazówkę machnęła nim w jedną i drugą stronę, zwracając naszą uwagę na fakt, że nie jesteśmy już sami. Pojawili się inni, którzy stali przyglądając się w milczeniu.

Doprawdy, niezwykle wyglądało to zgromadzenie. Niektórzy przypominali Oomarkę; niewykluczone, że należeli do tej samej grupy, która nas śledziła. Były tam kobiety, szczupłe, o gestych zielonych włosach, kolyszających się na ich głowach, i lśniacej brązowej skórze, przyodziane w skąpe okrycia z liści. Obok stali mężczyźni, z wyglądu jeszcze bardziej przypominający ludzi, wszyscy z czarnymi włosami i ubrani na zielono. I byli tam jeszcze inni, piękni i szpetni, wśród których trafiała się głowa czy twarz tak groteskowa, jak gdyby wyjęta z nocnego koszmaru. Wszyscy oni zgromadzili się na podium, ale na wprost Bartare stała tylko nasza trojka.

-Pozostałaś pomiędzy, Kildo, tak jak ten pociągający nosem potwór, który przywlokł się tutaj na twój rozkaz. I Oomark.

Skierowała wzrok na brata, kulacego się teraz u moich stop. Jedną ręką trzymał się moich spodni, lecz głowę miał opuszczoną i nie podnosił oczu.

-Tak, Oomark. Jestem mu coś winna, ponieważ pomógł mi otworzyć wrota - choć nie zrobił tego, by mi pomóc, lecz dlatego, że tak chciałam. Wydaje się jednak, że teraz wybrał

ciebie, Kildo.

Moje usta wypowiedziały słowa, których jeszcze nie zdążyłam sformułować w myślach.

-Ponieważ nie zatracił wszystkiego, czym był wcześniej.

-Tak? Jeśli więc dokonał wyboru, będzie musiał się z nim pogodzić. Teraz zmuszę was troje, byście podporządkowali się naszym zamierzeniom, a potem oddamy was w daninie Zewnętrznym Ciemnościom. Zaryglujecie tamte drugie wrota, przez które wyciekło o wiele za dużo naszej krwi. Na tkwiaca we mnie moc...

-Kildo! - To był Kosgro. - Daj mi reke! Daj, ale nie patrz na mnie. Patrz tam!

Spojrzałam na coś, co rzucił na ziemię. Były to dwa z trzech kwiatów notusa, jakie mu dałam, żółte już i zwiedle, lecz natychmiast rzucające się w oczy.

Jego reka zacisnęła się na mojej tak mocno, że pewnie krzyknęłabym z bólu, gdybym nie uswiadomiła sobie czegoś jeszcze - poczułam w nim siłę, płynącą nie tylko z ciała, ale i z ducha. Coś we mnie odpowiedziało na te siły i zostało przez nią przyciągnięte. Gdyby to ode mnie zależało, mogłabym nie odrywać oczu od tych dwóch kwiatów. Oomark tulił się do mnie, obejmując mnie za nogi i chowając twarz.

-Weź do reki to, co zostało z galazki!

Rozkaz Kosgro sprawił, że zaczęłam po omacku dotykać resztek lodygi, liści i kwiatów. Część z nich rozpadła się teraz w suchy pył, który scisnęłam mocno w piasku.

Niejasno zdawałam sobie sprawę, że słyszę dziecięcy głos Bartare, w monotonicznym zaspiewie skandujący dziwne słowa. Próbowałam zatkać uszy, przekonana, że słuchanie tego pomaga utkać iluzję.

Patrzyłam nadal na zmietane kwiaty, czując jak spięty Kosgro sciska mi bolesnie reke z wysiłkiem, pochłaniającym całą energię.

Kwiaty zamigotały, tak samo jak najpierw Kosgro, a potem kobieta, która nie była kobietą. I nagle na miejscu zwiedzonych płatków ujrzałam lasery, podobne do tych, jakie wiele razy widziałam na moim ojczystym świecie.

Kosgro puścił moją reke. Przyglądałam się, jak się pochyla i podnosi te bronie z innego wymiaru. Jeden laser scisnął w rece, a drugi, kolba naprzód, wyciągnął do mnie. Chwyciłam go, choć nigdy przedtem nie miałam w reku takiego uzbrojenia.

-Powstrzymaj ją!

Zrozumiałam, że kaze mi strzelić do Bartare. Ale ja miałam inny pomysł. Wysunęłam się

przed Kosgro i stanelam u podnoza podium. Cisnelam spopielale resztki martwych kwiatow prosto w twarz dziewczyny. Czesz z nich osiagnela cel. Reszta opadla, tworzac chmure czasteczek; wydawalo sie, ze jest ich o wiele wiecej niz ta odrobina, ktora rzucilam.

Bartare krzyknela okropnie. Miecz-rozdzka wypadl jej z reki, uderzyl o krawedz podium i zlamal sie na pol. Dziewczyna zachwiala sie, orzac palcami twarz. Potem zrobila jeden czy dwa chwiejne kroki w moja strone i przechylila sie nad krawedzia podium, jedna reka oslaniajac oczy, jak gdyby probowala znalezc po omacku swoj zlamany miecz. Pochylila sie jeszcze bardziej i spadla niemal prosto w moje ramiona, a ja chwycilam ja mocno.

W glebi podium ow slup mgly zawiroval dziko; zrobilam wszystko, zeby oderwac od niego wzrok. Trzymajac w ramionach zwisajace bezwladnie cialo dziewczynki, i wiedzac, ze jest to brzemie, ktorego nie zdolam utrzymac zbyt dlugo, cofnelam sie. Nawet przez chwile nie probowala sie wyrwac. Bylam za to wdzieczna losowi. Gdyby walczyła, nie udaloby mi sie jej podporzadkowac.

-Do tyłu!

To byl Kosgro. Nie zmienial sie juz; widzialam przed soba te sama postac, co zawsze: owlosionego humanoida. W rece trzymal gotowy do strzalu laser. Wsunal sie pomiedzy mnie i tamtych.

Zgromadzeni przygladali sie nam w absolutnej ciszy. Zaden z nich nie ruszyl w nasza strone. Nie moglam uwierzyc, ze los dalej bedzie nam tak sprzyjal. Zamierzali pozwolic nam tak po prostu odejsc z Bartare?

Oomark wciaz kulil sie na ziemi w miejscu, gdzie go zostawilam, kiedy oderwalam sie od niego, by zaatakowac Bartare. Teraz zaczal pelznac na czworakach, jakby brakowalo mu sil, zeby powstac. Pragnelam mu pomoc, lecz nie moglam zajac sie dwojgiem dzieci naraz.

W powietrzu rozleglo sie trzepotanie. Z wirujacej masy na podium wyleciala w nasza strone dluga, zielona macka. Zobaczylam jak przecina ja jasny promien lasera. Odciety kawalek spadl na posadzke. Lecz zamiast znieruchomic, zaczal pelznac ku nam, wijac sie po podlozu jak jakas niebezpieczna, wezowata istota.

Kosgro strzelil jeszcze raz i przecial ja na pol. Teraz oba kawalki poruszaly sie gadzimi ruchami. Za to zgromadzeni na podium w dalszym ciagu stali jak wyciosani z kamienia. Wygladalo to tak, jak gdyby cokolwiek, co znajdowalo sie, pomiedzy nami a istota na podium, wcale ich nie dotyczylo. Bylam im wdzieczna za te dziwne neutralnosc, lecz wiedzialam, ze nie mozemy sie na tym opierac.

Weszliśmy pod luk bramy w murze. I wydawalo sie, ze - pomijajac te pelzajace zielone wstazki - zdolamy wycofac sie bez przeszkod, chyba ze na zewnatrz czyhalo jakies niebezpieczenstwo...

Lecz za brama zobaczyłam tylko kopce... Kopce? Nie! Z rozplywajacych sie pagorkow wylanialy sie blyszczace, krysztalowe wiezycy. Dzialanie notusa, ktory chronil przed iluzja moj wzrok, ustepowalo. Krzyknelam.

-Co sie stalo? - zapytal natychmiast Kosgro.

-Znowu widze wieze. Notus...

-Dobrze, ze to trwalo tak dlugo, ale zdaje sie, ze teraz szczescie nas opuscilo.

Wiedzialam, co chcial przez to powiedziec. Skoro moj wzrok znowu mamila iluzja, moglam nie odnalezc powrotnej drogi. Ale jesli ja nie moglam, czy dotyczylo to rowniez Oomarka? Znowu przyszedl do mnie i trzymal sie mnie mocno jak przerazone ludzkie dziecko, choc z wygladu wciaz przypominal owlosionego stwora, w jakiego sie zmienil. Bezwladne cialo nieprzytomnej Bartare ciazylo mi w ramionach.

-Nie zdolam poniesc jej dluzej...

-Wiem. Daj mi ja.

Kosgro wzial dziewczynke z moich obolalych ramion i przerzucil ja sobie przez masywny bark, przytrzymujac lewa reka. W prawej wciaz trzymal laser.

Ujalam Oomarka i podnioslam go do pozycji stojacej. Nie stawial zadnego oporu. Pozostawivszy pilnowanie tylow Jorthowi, odwrocilam chlopca tak, by mial przed oczami droge, biegnaca z pozorow prosto pomiedzy szeregami wiez.

-Oomark, musisz nas poprowadzic!

Spojrzalam na reke, w ktorej przedtem trzymalam spopielale resztki notusa. Ich cienka warstewka wciaz przylegala do dloni. Niewykluczone, ze moglo mi to pomoc, rozsmarowalam ja wiec po powiekach.

I oto znalazlam sie w obliczu migoczacego swiata - najpierw jeden obraz, potem drugi. Wymagalo calej sily mojej woli, zeby nie zamknac oczu i nie odgrodzic sie od tego wywolujacego mdlosci kalejdoskopu zmieniajacych sie form. Trzymajac Oomarka za ramie skierowalam go w strone drogi, ktora widzialam jedynie we fragmentach. Zaczal isc, patrzac prosto przed siebie, jak gdyby poruszala go wylacznie moja wola, a nie jego wlasna.

Widzialam dosc, bym mogla uzyc lasera. Zielona macka podpelzla, zeby oplatac nam stopy, a druga wysunela sie zza pagorka. Gdy do nich strzelilam, promien lasera nie zniszczyl ani jednej, ani drugiej; wijac sie, pelzly dalej za nami.

-Czy tamci ida naszym sladem? - zawolalam do Kosgro.

-Nie.

Drobna czastka umyslu zastanawialam sie nad tym. Lecz przede wszystkim koncentrowalam sie na drodze.

Kluczylismy, zawracajac i posuwajac sie naprzod. Wokol nas wieze stawaly sie pagorkami, a pagorki wiezami. Ale po jakim czasie wieze zaczely sprawiaac wrazenie trwalszych i solidniejszych, i domyslilam sie, ze dzialanie pylu ustepuje. Oomark wciaz jednak szedl, nawet wowczas, kiedy ja widzialam juz tylko iluzje, to on stal sie wiec nasza jedyna nadzieja na uciezke. Nie odezwal sie od czasu, kiedy przeszlimy przez niewidoczna barriere, podazajac w tamta strone, i teraz poruszal sie jak w transie.

Nie wiedzialam, czy wracalismy ta sama droga, ktora przyszlimy. Pragnienie, by wydostac sie stad, bylo tak wielkie, ze bieglabym, gdybym mogla. Lecz Oomark nie dawal ponaglic sie do szybszego kroku, a i Kosgro nie wytrzymalby takiego tempa, niosac Bartare.

Potem, w pewnej chwili, laser zniknal z mojej reki. Uslyszalam okrzyk Kosgro i domyslilam sie, ze on rowniez stracil swoj. Jak inne dary notusa, tak i bron zostala nam dana tylko na pewien czas. Ale przynajmniej na poczatku umozliwila nam uciezke. Teraz ogladalam sie z lekiem na wszystkie strony, czy nie ujrze gdzies czajacych sie w zasadzce zielonych macek.

Droga zdawala sie wlec bez konca. Drzalam ze strachu. Jednak to uczucie pobudzalo mnie do marszu. A i Oomark kroczył tak zdecydowanie, ze nabralam przekonania, iz wyprowadzi nas stad. I tak tez sie stalo - wreszcie znalezlismy sie na otwartym terenie.

Opadlam na kolana i przyciagnelam chlopca do siebie, tulac go z wdziecznoscia. Potem spojrzalam na Kosgro.

-Udalo sie nam! Jesteśmy bezpieczni!

Rozdział trzynasty

Forth potrzasnal kudlata glowa.-Wcale nie. Prawde mowiac, znalezlismy sie w jeszcze wiekszym niebezpieczenstwie.

Powiedzial to takim tonem, ze az zdretwialam, jak gdyby nagle smagnal mnie lodowaty wiatr.

-Ale przeciez wydostalismy sie z tego miasta! - zaprotestowalam. Poprawil przewieszzone przez bark bezwladne cialo Bartare.

-Juz nie pamietasz, jak powiedziala, ze zamierzaja zlozyc nas jako danine Zewnetrznym Ciemnosciom?

-Jak to nalezy rozumiec?

-Jesli tak, jak przypuszczam, to zagrozenie jest powazne. Lud nie ma tutaj dominujacej pozycji, choc chelpia sie, ze tak wlasnie jest. Dwie sily toczy wojne na tym swiecie, a Pomrocze pobieraja danine. Slyszałem jak szeptano, ze nawet Wielcy Ludu musza placic za to, by utrzymac sie przy wladzy. I mysle, ze to wlasnie nas chca oddac w charakterze zaplaty.

-Jesli... jesli nie zdolamy wrocic...

-Tak, nasza jedyna nadzieja jest ucieczka do wlasnego swiata. A tych dwoje dzieci otworzylo kiedys wrota. Mamy zatem nikla szanse, ze zdolamy dowiedziec sie od nich, w jaki sposob wrocic. Ale nie mozemy zatrzymywac sie tutaj.

-Dokad wiec idziemy?

-Tam, gdzie nie ma ani swiatla, ani ciemnosci - do tak zwanej przez tutejszych mieszkancow naturalnej ziemi.

-To cos takiego istnieje?

Pomyslalam, ze sytuacja staje sie coraz bardziej beznadziejna.

-Sa takie miejsca. Mozna je rozpoznać po rosnacym tam notusie. Obie sily unikaja tych miejsc.

-Gdzie one sie znajduja?

-W tym problem. Nie jestem pewien. Ale pozostawanie w ruchu dziala na nasza korzysc. Jesli zatrzymamy sie w jakimś miejscu na dluziej, mozemy stac sie ofiara albo swiatla, albo ciemnosci.

Czulam, ze jeszcze troche, a zacne krzyzec ze zlosci. Rozbil w pyl wszystkie moje nadzieje, nie dajac w zamian prawie nic. Tylko szaleniec mogl wpasc na pomysl, zeby blakac sie po omacku w tej nawiedzzonej krainie, pomyslam.

Odnioslam wrazenie, ze potrafi czytac w moich myslach, bowiem powiedzial:

-Mowie ci prawde, poniewaz ukrywanie najgorszego jest jak rozposcieranie jeszcze jednej sieci, w ktora mozemy wpasc. Beda na nas polowac tak, jak pewnie na nikogo przedtem, i mozemy polegac wylacznie na sobie. Lecz im predzej odejdziemy stad, tym lepiej.

Nawet sie nie obejrzal, zeby zobaczyc, czy pojde za nim. Przerzucil sobie Bartare przez ramie i ruszyl w mgle. Widzac, ze nie ma innego sposobu, wzielam Oomarka za reke i powlokłam sie jego sladem. Na szczescie chlopiec nie wyrywal mi sie ani nie wzbraniał przed marszem, choc wciaz poruszal sie jak we snie.

Przekroczyliśmy lache szmaragdowego piasku, a potem weszliśmy na grunt pokryty darnią. Bez chwili przerwy otaczała nas mgła i nie rozumiałam, skąd Kosgro bierze pewność, że nie zatoczmy kola i nie wrócimy tam, skąd uciekliśmy. Jorth nie spieszył się i nie biegł, tylko szedł krokiem, któremu Oomark i ja bez trudu mogliśmy dorównać. Teraz, kiedy bezpośrednie zagrożenie minęło, poczułam głód i uswiadomiłam sobie, że nie zajdziemy daleko bez odpoczynku i posiłku.

Równy dywan darni tu i owdzie zaczęły urozmaicać krzaki. W pewnej chwili Oomark wyrwał mi się i podbiegł do jednego z nich, obwieszonych złotymi jagodami. Kiedy chciałam pobiec za nim, Kosgro powstrzymał mnie.

-Pozwól mi. I tak będzie je jadł, bez względu na to, czy będziesz starała się go przed tym powstrzymać, czy nie. Musimy oszczędzać jedzenie z tamtego świata dla nas.

Zabrzmiało to tak bezlitosnie, że odwróciłam się ku niemu zaskoczona i rozgniewana. Bez wątplenia odczytał z mojej twarzy, co mnie dreczyło.

-Tak właśnie jest. Dzieci nie będą jadły twoich zapasów. Zmuszanie ich do tego to marnotrawstwo, ponieważ ich ciała odrzuca taką żywność. Potrzebujemy siły, która da nam to jedzenie. Jeśli poddamy się i zaczniemy jeść tutejszą żywność, przestaniemy być tym, czym zawsze byliśmy. Czy tego właśnie chcesz, Kildo?

Możliwe, że jego logika była nie do obalenia. Lecz ja buntowałam się przeciwko temu, być może tak samo gwałtownie, jak Oomark buntowałby się przeciwko naszemu jedzeniu. Kosgro ułożył Bartare na trawie i przykucnął obok niej na piętach. Wahalam się. Chciałam podejść do Oomarka, który pospiesznie obrywał jagody z gałęzi i wpychał je do ust, obryzgując się sokiem.

Kiedy jednak przyjrzałam się jedzaczemu chłopcu, zrozumiałam, że Kosgro znowu miał rację. Nie byłabym w stanie podporządkować sobie Oomarka bez reszty. A Jorth manifestacyjnie nie udzieliłby mi pomocy. Usiadłam więc i popatrzyłam na leżącą bez ruchu Bartare, po raz pierwszy zastanawiając się nad jej stanem.

Pod ręką wyczułam bijące równo serce. Pozornie wydawało się, że leży pograzona w spokojnym śnie.

-Bartare!

Dotknęłam ręką jej ramienia. Palce Kosgro zacisnęły się na nadgarstku mojej ręki i odsunęły ją.

-Lepiej zostaw ją. Jeśli się obudzi, może nie będzie chciała iść z nami, a my nie możemy z nią walczyć...

-Ale... co się z nią dzieje?

-Jest w stanie szoku wywołanego kontaktem z notusem. Zdarzyło mi się już widzieć coś takiego. To nie trwa długo. Ale w tej krainie wszyscy ludzie i inne istoty boją się utraty przytomności, wtedy bowiem bez trudu mogą podkręcić się do nich ich wrogowie.

Przyjęłam jego wyjaśnienie, choć w głębi ducha irytowało mnie, że tak bardzo poległam na tym obcym. A jednak znowu rozumował logicznie: jeśli Bartare była wobec nas nastawiona wrogo (a mieliśmy wszelkie powody, by przypuszczać, że po przebudzeniu również to się nie zmieni), rzeczywiście mogłaby opóźnić naszą wędrowkę.

-Potrzebujemy jedzenia. - Kosgro wdarł się bezceremonialnie w moje myśli.

Ponownie zastanowiłam się nad jego postępowaniem. Już dawno temu mógł wyrwać mi te resztki, zabrać je i zostawić mnie tu na pastwę losu. Lecz nie zrobił tego i zamiast wydzierać siłą, prosił o nie. Samo to przekonało mnie, że mogę na nim polegać.

Otworzyłam zawiniatko i zbadalam wzrokiem smętne pozostałości naszych zapasów. Czy mamy podzielić się wafelami? A może tabliczka czekolady?

Ale Kosgro ciągnął dalej:

-Musimy zjeść więcej niż poprzednim razem...

-Nie! - Obiema rękami zasłoniłam zapasy. - Mamy tak mało, że powinniśmy bardzo oszczędzać!

-To prawda. Ale nie wytrwamy długo bez sily, która nam da jedzenie. A teraz potrzebujemy wszystkich naszych sił.

Wciąż nie chciałam się na to zgodzić. I z zazdrością obserwowałam Oomarkę. Myśl, że całym tym rosnącym wokół jedzeniem nie można nakarmić głodującego ciała, bolała podwójnie. Ile czasu minie, nim zostaniemy zmuszeni do zjedzenia tego, co tutaj rosło, pomyślałam.

-Musimy mieć sily, żeby iść dalej - powtórzył Kosgro.

Rece trzęsły mi się odrobine, kiedy odwijalam dwa wafle z opakowania i potem, kiedy podawałam mu jeden z nich. Zjadł go tak samo jak ja, żując każdy kęs tak długo, jak to było możliwe. I żeby nie kusilo nas więcej, natychmiast spakowałam zawiniatko i wsunelam je za pas.

Oomark wrócił, wycierając lepkie rece o boki i zlizując sok z podbrodka. Spojrzał najpierw na Bartare, potem na mnie, a ja dostrzegłam w jego oczach czujność i błysk dawnej chytryści.

-Pani chce jej. Przyjdzie po nią - zauważył.

Powiedział to z takim przekonaniem, że aż odwróciłam się, spodziewając się ujrzeć nadciągające kłopoty.

-Będzie, co ma być. - Kosgro wstał i pochylił się, żeby podnieść Bartare. - Lepiej ruszajmy...

-Dokąd? - zapytał Oomark. - Przy następnym napływie mgły będziemy już tylko mięsem dla myśliwych.

Kosgro spojrzał na chłopca tak uważnie, jakby chciał wydobyć z niego odpowiedź na jakieś nie zadane pytanie. A potem powiedział, zwracając się do Oomarka jak do równego sobie:

-Gdzie schroniłbyś się przed łowcami?

Odniosłam wrażenie, że zaskoczył tym chłopca. Lecz teraz w drobnej twarzy Oomarka znowu było widać więcej cech ludzkich.

-Jest tylko jedno miejsce... jeśli zdołamy je odnaleźć.

Kosgro skinął głową. Wiedzieli coś, czego ja nie wiedziałam. Nie chciałam, żeby tak było.

-Jeśli wiesz... jeśli wiecie... zatem gdzie to jest?

-Tam, gdzie rośnie notus - odparł Oomark, nie spuszczać oczu z Kosgro.

-Myślałam... - Przypomniałam sobie, jak uciekł ode mnie, kiedy podniosłam galazkę notusa, jakby stanowiła dla niego wówczas śmiertelne zagrożenie.

-Tam można się schronić przed Pomrociami, przed Pania.

Widziałam jak drzy.

-To miejsce jest bezpieczne - potwierdził Kosgro w sposób, który wywołał we mnie wrażenie, że składa mi jakąś obietnicę. Ponieważ nie chcieli podzielić się ze mną tym, co wiedzieli, zirytowałam się jeszcze bardziej i zapytałam głośno, jakby chcąc ich poroznić:

-Gdzie to jest? Blisko?

-Poszukamy - odparł Kosgro. - 1 miejmy nadzieję, że będzie nam sprzyjała resztką szczęścia, jaka pozostała nam jeszcze na tym świecie. Możemy odnaleźć je po zapachu...

Odwrócił się, ruszając w drogę. Wyciągnęłam rękę do Oomarka, byśmy mogli iść tak jak przedtem. Ale on umknął mi i wysunął się przed Jortha. Ponieważ wydawało im się, że wech może zapewnić nam bezpieczeństwo, ja również zaczęłam wciągać powietrze głęboko w płuca, szukając tego zapachu.

Choc posuwalismy sie rownomiernym krokiem przed siebie, moje zmysly nie wyczuwaly nic, co mogloby nam pomoc. Ogarnialo mnie coraz wieksze zniecierpliwienie i rozgoryczenie. Nabralam przekonania, ze byl to glupi pomysl, zbytuo uzalezniacy od przypadku, a jednak nie moglam zaproponowac nic w zamian.

Darn pokrywala tu ziemie tylko skrawkami, a gdzieniegdzie ponad zielen trawy wystawaly fragmenty skal. Skaty byty szare, a mgla osiadla na nich strumyczkami wilgoci, na ktora spogladalam tesknie, przesuwasjac jezykiem po suchych wargach i wspominajac coraz natretniej wspanialy smak wody w ustach.

Potem z otaczajacej nas zaslony mgly wylonila sie skala inna niz pozostale, poniewaz w jakiejs odleglej przeszlosci ukszaltowaly ja rozumne istoty. Natura nie mogla nadac jej takiego ksztaltu. Byl to czworoboczny slup. A na zwroconym ku nam boku, wyciete tak gleboko, ze nawet erozja nie zdolala zatrzec wszystkich wglebien i linii, widnialy litery. Nie nalezaly jednak do zadnego ze znanych mi alfabetow i nawet w zbiorze martwych jezykow galaktyki Lazka Volka nigdy takich nie widzialam. Na lewym boku kolumny, czesciowo zwroconym w nasza strone, dostrzeglarn plaskorzezbe przedstawiajaca jakas postac. Z twarzy, jesli kiedykolwiek taka miala, czas starl rysy. Pozostal tylko zarys kraglej glowy i humanoidalnego ciala, choc to cialo okrywaly jak plaszczem skrzydla.

Wyrzezbiona postac pochylala sie do przodu, jak gdyby wpatrywala sie we wlasne stopy albo w podstawie kolumny. Rosla tam bujnie wysoka, ciemnozielona trawa, taka sama jak ta, ktora wyznaczala kregi bezpieczenstwa.

Kosgro przystanal. Wyciagnal jedna reke wskazujac trawe.

-Oto przewodnik, jesli zechce nim byc.

-Przewodnik... ale jak... - Nie dokonczylam, bo mi przerwal.

-Zerwij spora garsc tej trawy, Kildo.

Choc nie rozumialam, dlaczego mam to zrobic, podeszlam do podstawy kolumny, chwycilarn pek trawy i szarpnelarn najmocniej jak potrafilarn, zeby wyrwac ja z ziemi. Ale trawa zostala tam, gdzie byla. Na dodatek odporne zdzbla przeciely mi skore, tak ze puscilarn je z okrzykiem zaskoczenia.

-Nie tak! - zawolal Oomark, podbiegajac. - Nie bierz, tylko pros. Jesli zyskasz jej przychylnosc, pozwoli sie wyrwac.

Stanal tuz przy mnie i spojrzal na pozbawiona rysow glowe rzezby.

-Daj mi reke.

Nie czekal, zebyrn ja wyciagnela - sam ja chwycil. I zanim zdazylnarn zaprotestowac, potarl

otwarta dlonia, na której zebrala sie krew wyciekajaca z ran, kamienna piers rzeźby.

-Zaplacono krwia! - zawolal. - Zaplacono krwia! Odwdziecz sie teraz, jak stara umowa nakazuje. Daj to, o co prosimy!

Jego zachowanie zrobilo na mnie takie wrazenie, iz niemal spodziewalam sie zobaczyc, jak wyrzezbiona istota otwiera usta, by wyrazic zgode lub odmowic. Lecz nic takiego sie nie stalo. A Oomark, puscivszy moja reke, pozwolil, by zsunela sie po skale, pozostawiajac za soba ciemne smugi.

-Teraz sprobuj - zwrocil sie do mnie.

Ale ja zajeta bylam ranami na rece.

-Mam skaleczona dlon, zrob to sam.

-Nie moge. To ty zaplacilas te cene, nie ja. Jesli targ zostal dobity, to wylacznie z toba.

Nic wiecej nie wyjasnil, tylko odsunal sie, tak bym mogla zrobic to sama. Jeszcze raz chwycilam trawe, tym razem druga reka.

-Nie! - powstrzymal mnie jeszcze raz Oomark. - Zrob to prawa reka, bo inaczej nie zostana spelnione warunki targu.

Skrzywilam sie, zaciskajac palce na wiechciu trawy. Tym razem nie szarpnelam, tak jak przedtem, lecz staralam sie ciagnac wolniej. Po chwili napięcia trawa ustapila. Korzenie wcale nie byly cienkie i nitkowate; zobaczylam, ze pek trawy, ktory wyrwalam, wyrasta z pojedynczego, sekatego i grubego korzenia. W chwili gdy wyrwalam go z ziemi, uslyszalam przenikliwy pisk protestu. Przykucnelam na pietach, czekajac az Kosgro wyjasni mi, co zamierza zrobic z tym skarbem.

-Ta trawa ma pewna moc. Jesli w poblizu rosnie notus, wskaże nam droge do niego. Nie trzymaj jej w zacisnietej piesci; byle tylko nie wypadla ci z reki. Gdy ruszymy, wskaże nam droge.

Poniewaz wszystko to stanowilo fragment obcego, nie znanego mi swiata, nie sprzeciwialam sie. Wstalam i gdy ruszyliśmy w droge trzymalam pek trawy zgodnie z poleceniem, a jej sztywny, powyginany korzen niemal dotykala mojego ciala.

-Wkrotce mgla zacznie wzbierac.

Oomark wcisnal sie pomiedzy nas, jakby szukajac opieki. I mial racje. Szybko zblizal sie jeden z tych momentow, kiedy mgla nadchodzila i gestniala tak bardzo, ze latwo mozna bylo sie w niej zgubic.

Nagle pek trawy i korzen w mojej rece obrocil sie w prawo. I choc staralam sie ustawic je w poprzedniej pozycji, uparcie wychylal sie w tamta strone. Poinformowalam o tym moich towarzyszy i uslyszalam jak Kosgro odetchnal z ulga.

-Mgla wzbiera... - Oomark pociagnal za jeden ze strzepow munduru, ktore wciaz opinaly cialo Kosgro. - Nie mozemy isc dalej.

-Mysle, ze nie mamy wyboru - odpowiedzial Jorth.

Zobaczylam, ze przygarbil sie jeszcze bardziej pod ciezarem ciala Bartare, i ze przyciska reke do bandaza opasujacego mu piers, jak gdyby rana znowu zaczela mu dokuczac.

-Notus moze byc daleko... - zaprotestowal Oomark.

-Zatrzymaj sie - polecil mi Kosgro. Dotknal korzenia, sciskajac go palcami, a potem cofnal gwałtownie reke i wytarl ja o udo.

-Nie sadze. Ale i tak musimy zaryzykowac. Tutaj nie ma zadnego schronienia.

Dotarlimy do miejsca uslanego skalami, ktore wcale mi sie nie podobalo. Latwo byloby tutaj urzadzic zasadzke; moja wyobraznia podsuwala mi obraz nieprzyjaciol czyhajacych za kazda z mijanych skal. Oomark pewnie ukrylby sie tutaj, ale dla mnie to miejsce nie wygladalo na bezpieczna kryjowke.

Korzen poruszal sie i zmienial polozenie w mojej rece, gdy obchodziliśmy glazy. Z koniecznosci posuwalismy sie wolno, bowiem podloze, nierowne i uslane malymi, kraglymi kamieniami, sprzyjalo potknieciom.

Bandaze na moich stopach ledwie sie juz trzymaly i wiedzialam, ze jesli szybko nie zdołam zastapic ich nowymi, bede musiala isc boso. Mysl ta przerazala mnie, wiec chwilami, nie zwazajac na nastepstwa, przyspieszalam, reagujac dopiero na rzucane polglosem ostrzezenia Kosgro.

Mgla wezbrala juz niemal zupełnie, co jeszcze bardziej spowolnialo tempo naszego marszu. Tym razem nie slyszelismy dzwiekow myśliwskiego rogu. Obecność czajacego sie gdzieś niebezpieczenstwa zdradzila najpierw fala cierpkiego odoru, na tyle silnego, by przyprawic mnie o mdlosci.

Kosgro wciagnal gleboko w nozdrza cuchnace wyziewy. Przystanal, tak samo jak i ja, wykorzystujac obie rece, by poprawic zywe brzemie, ktore dzwignal na barku. Zobaczylam twarz Bartare, jej zamknięte oczy i piers unoszaca sie w wolnym, rownym oddechu.

Na nieszczęście korzen wskazywal dokładnie kierunek, z ktorego dochodzil obrzydliwy zapach. Oparlam sie o skale i spojrzalam na Jortha. Czy wiedzial, co nas tam czeka? Czy jest to cos, czemu osmielimy sie stawic czolo? - zadalam sobie w duchu pytanie.

Wygladalo to tak, jakby badal nasze szanse. Dwukrotnie wciagnal gleboko powietrze w nozdrza. Oomark skulil sie pomiedzy nami, ponownie szukajac opieki, jaka mogliśmy zapewnic jego drobnemu cialu.

W koncu Kosgro wzruszyl ramionami.

-Nie mamy wyboru. Predzej czy pozniej i tak wyczuje nas, tak jak my wyczuwamy jego. A wtedy nie bedziemy mieli juz zadnych szans na ucieczke.

-Co to jest?

-Mysle, ze jeden z robakostworow. Ale to nie jest pewne wszystkie Pomrocze cuchna podobnie. Wykorzystuje to Lud dla wlasnego bezpieczenstwa, poniewaz tamci czesto zdaja sie zapominac, ze swoim zapachem zdradzaja sie przed tymi, na ktorych poluja. Na tym...

Nie chcialam isc, chcialam zostac tam, gdzie bylam, poniewaz kamien, ktory czulam pod reka, wydawal mi sie teraz dobrym schronieniem. Ale tak jak zawsze musialam uznac, ze Kosgro wie lepiej, i na tym polegac.

Z wskazujacym kierunek korzeniem w reku precisnelam sie pomiedzy skalami. Wstretny zapach przybieral na sile. Choc wytezalam sluch jak tylko moglam, nie slyszalam jednak, by cos sie poruszalo. Wyciagnelam reke do obciazonej kamieniami torby, ktora wciaz mialam przy sobie, zawieszona u pasa. Czy zdaze jej uzyc, gdybym nagle stanela oko w oko z jakimś potworem? Odwiazalam ja i trzymalam w reku, gotowa do zadania ciosu.

Ohydny smrod rozkladu torturowal moje nozdrza. Chcialo mi sie kaszlec, ale nie smialam tego zrobic. Oomark obie rece przycisnal do nosa i oddychal ustami.

Mgla zawirowala. Teraz nie ulegalo juz watpliwosci, ze cos sie tam porusza. Poczulam zaciskajace sie na moim ramieniu palce i zaraz potem zderzylam sie bolesnie z wysoka skala, na ktora zostalam popchnieta. Kosgro wcisnal mi w rece Bartare i wyrwal torbe z kamieniami. Wysunal sie przed nas kolyszac torba, jak gdyby sprawdzal wage i zasieg tej nedznej broni. Oomark przysunal sie do mnie.

Mgla poruszala sie wokol ciemnego rdzenia. Byla tak gesta, ze gdybysmy czekali, by zobaczyc, co tam pelznie, to cos mogloby znalezc sie o wiele za blisko. Nie potrzebowalam zadnych ostrzezen ze strony moich towarzyszy, zeby znieruchomic jak kamien. Chcialam stlumic bicie serca, najcichszy szmer oddechu. Wydawalo mi sie, ze oba te dzwieki sa sygnalami przyciagajacymi do nas te istote.

Ciemniejsza plama we mgle zrobila sie wyrazniejsza. Zblizyla sie do skraju oparu. Potem kurtyne mgly przebil waski, czarny klin, wycelowany w Kosgro. Przez sekunde lub dwie myslalam, ze jest to grot wloczni.

Jednak to cos znalazlo sie juz zbyt blisko, zeby sie mylic. Stwor mial budowe

piersceniowata i pomiędzy tymi pierscieniami jakby z chrzastki kurczył się i rozciągał. Nie była to żadna bron, tylko fragment żywej istoty, choć nie mogłam wypatrzeć oczu, pyska, nosa nie widziałam nic, z wyjątkiem czarnego ciała.

Klinowaty leb kolysał się przez chwile w powietrzu, a potem wystrzelił w stronę Kosgro. Jorth zamachnął się i wałnął torbą w bok stożkowatej głowy z taką siłą, że odskoczyła w lewo, roztrzaskując się jak pod uderzeniem młota na sterczącej tam skale.

Nie usłyszałam żadnego odgłosu, tylko zobaczyłam, jak ze zmiażdżonej głowy bluzga gesta, lepka ciecz. Potem, w dzikich podrygach, zwałilo się na nas całe okropne cielsko, wijąc się i smagając jak biczem. Kosgro uderzał raz za razem, choć żaden cios nie był tak skuteczny jak pierwszy. Dwukrotnie zwoje robakowatego ciała oplotły go z miażdżącą siłą. Jednak za każdym razem udało mu się wyrwać z uścisków, bowiem stwor z rozbitą głową miał się bezładnie.

W niczym nie mogłam pomóc Jorthowi, zawaładnął mnie strach. Długość ciała stworza była chyba trzykrotnie większa od wysokości Kosgro, zaś ciosy zdawały się odbijać od niego, nie wyrządzając mu żadnej szkody.

Kosgro uderzał przede wszystkim w głowę potwora. Raz czy dwa pomyślałam, że już po nim, kiedy robił oplatki mu nogi i omal nie zwałił na ziemię. Widziałam też, że mój towarzysz jest zmęczony. Jeśli pierwszy szczęśliwy cios był tym śmiertelnym, to stwor nielato rozstawał się z życiem.

Jeszcze dwa razy widziałam, jak Kosgro daje się opleść zwojom robakowatego ciała, skupiony wyłącznie na zadawaniu ciosów w zmiażdżoną głowę. Potem leb opadł na ziemię, gdzie znieruchomiał, choć reszta cielska wila się i skrecała. Kosgro odwrócił się, szukając mnie wzrokiem. W jego twarzy było coś, co sprawiło, że oparłam się na Bartare o głaz i rozejrzałam się rozpaczliwie w poszukiwaniu jakiegokolwiek broni.

Tylko kamienie! Wepchnęłam korzeń, który wskazywał nam drogę, za pazuchę i chwyciłam kamień, tak ciężki, że dzwignawszy oburącz zdołałam unieść go tylko do wysokości kolan. Udało mi się jakos dotrzeć głaz na miejsce, gdzie spuściłam go na splątane ciało robaka. Kamień trafił w cel, choć nie miałam czasu, by dokładnie wymierzyć. Szczęśliwym trafem ugodziłam w jakieś czułe miejsce, bowiem przez sploty, w których tkwił Kosgro, przebiegło konwulsyjne drżenie i rozluźniły się, tak że mój towarzysz zdołał wyswobodzić się i przeskoczyć w bezpieczne miejsce, zanim zacisnęły się znowu.

Kosgro poderwał się na nogi i odepchnął mnie do tyłu w samą porę, bowiem konwulsje targające ciałem robaka gwałtownie przybrały na sile. Uderzając tylną część ciała smagał jak biczem ziemię i skały. Przez głuchy łomot tych uderzeń usłyszałam, jak Kosgro dyszy:

-Musimy... wspiąć się... wyżej...

Poprowadził mnie z powrotem do dzieci. Potem, zbrzydany krwią robaka, cuchnący jego

okropnym smrodem, pochylił się i podniósł dziewczynkę.

-Do góry!

Jego oczy zalsniły, jak gdyby sama siła tego okrzyku mogła unieść nas wszystkich.

Pomogłam Oomarkowi, który wdrapywał się już na głaz, próbując znaleźć jakieś oparcie dla stop - lub kopytek - pomocne we wspinaczce. Podtrzymałam go, dopóki nie wdrapał się na szczyt głazu. Po chwili, ledwie zdając sobie sprawę z tego, jak to zrobiłam, znalazłam się obok niego.

Zobaczyłam szereg występów skalnych przypominających drabiny. Oomark wspiął się już na pierwszy z nich. Odwrociliłam się, by podciągnąć Bartare, którą Kosgro podtrzymał z dołu. Potem on również dołączył do mnie.

Wspomnienie dalszych etapów tej obiednej wspinaczki zamazuje się w mojej pamięci. To, że nam się udało, było takim samym niesłychanym szczęściem, jak ów pierwszy cios, zadany przez Jortha w walce z robakiem. Niestety, ta walka wiele go kosztowała. Próbował, z moją pomocą, zarzucić sobie Bartare na ramię, i nie zdołał. Tak więc musieliśmy nieść ją wspólnie, dopóki nie znaleźliśmy się w miejscu położonym o wiele wyżej od tego, gdzie spotkaliśmy robaka.

Z dołu, tam gdzie zalegała teraz mgła, wciąż dochodziły do nas odgłosy uderzeń o skały i ziemię. Wydawało się, że robakowi daleko jeszcze do śmierci. Słuchając tego, w przerwach między spazmatycznymi oddechami, Kosgro powiedział:

-Musimy... iść... dalej... To... przyciągnie... łowców...

Ruszyliśmy więc w drogę, zsuwając się i podciągając nawzajem, oraz taszcząc Bartare, która wciąż spała tak, jakby leżała we własnym łóżku. Tak mnie to rozdrażniło, że zapragnęłam wymierzyć jej policzek i obudzić; z trudem udało mi się nad tym zapanować.

W końcu Kosgro opadł zupełnie z sił. Ułożył się, na wpol siedząc, na wpol leżąc, na występie skalnym wystarczająco szerokim, by pomieścić nas wszystkich. Widoczność była ograniczona, zarówno w górę, jak i w dół, czy nawet wzdłuż polki. Kosgro wypoczywał, oddychając ciężko. Ja, w nieco lepszym stanie, przysiadłam obok niego. Oomark skulił się nieopodal, krecąc głową to w prawo, to w lewo, jakby nasłuchiwał czegoś w straszliwym napięciu.

Rozdział czternasty

Odgłosy miotającego się w dole robaka przypominały odległe dudnienie bebna. Pojawiły się również inne dźwięki. Ten świat, który - kiedy mgła wzbierała i podchodziła bliżej - wydawał się pograzony w ciszy, teraz rozbrzmiewał różnymi szelestami, choć ich źródło znajdowało się gdzieś daleko, poniżej naszej grzedy. Nie potrafiłam ich zidentyfikować ani nie miałam na

to ochoty. Oomark przysunął się trochę do nas.-Najpierw zjawiał się mały, potem większy. Wkrótce skończy z robakiem i wtedy mogą pojsc za nami.

-To prawda - przytaknął Kosgro. - Czas, byśmy ruszyli dalej.

Spojrzał na Bartare i jeszcze raz, bardzo delikatnie, dotknął zabandażowanego boku.

-Jestes ranny, trzeba to opatrzyc.

-Później. Teraz nie ma na to czasu - odparł nie znośnym sprzeciwu tonem. - Lecz prawda jest, że może nie starczyć mi sił, żeby nieść ja długo.

-Jak jeszcze daleko? - zapytał niecierpliwie Oomark. - Spojrz na korzen, Kildo. Jak daleko?

Zupełnie zapomniałam o naszym dziwnym przewodniku. Teraz wyciągnęłam go zza pazuchy. Gdy znalazł się w mojej ręce, natychmiast wskazał kierunek wzdłuż skalnej polki. Kosgro tracił korzen palcem.

-Całkiem sztywny. Chyba jesteśmy już blisko. I dopóki będę mógł, poniosę ja.

Wyraźnie podniesiony na duchu tym, co odczytał z korzenia, wstał i pozwolił, bym pomogła mu umieścić Bartare na jego barku.

Gdy już znalazła się na swoim starym miejscu, ruszyliśmy dalej wzdłuż skalnej polki. Nikt nie musiał mnie przestrzegać, bym zachowywała ostrożność. Az nadto dobrze zdawałam sobie sprawę z dobiegających z dołu odgłosów. I domyślałam się, co mogłoby się stać, gdybysmy zwrócili na siebie uwagę tych, którzy tam ucztowali. Mielismy niewiarygodne szczęście w starciu z robakowatym stworzeniem. Nie mogliśmy liczyć, że następne spotkanie skończy się równie szczęśliwie.

Występ zrobił się wezsy, a ja zaczęłam rozmyślać, co zrobimy, jeśli okaże się, że musimy podjąć wspinaczkę albo zejść na dół po urwisku. Watpiałam, czy z nieprzytomną Bartare dalibysmy sobie z tym radę.

Szczęście uśmiechnęło się do nas jeszcze raz, bowiem gdy polka się skończyła, zobaczyliśmy przed sobą szereg prowadzących do góry występów, po których mogliśmy się wspiąć. Wyglądały jak schody dla olbrzymów.

Była to trudna wspinaczka i gdy znaleźliśmy się na szczycie, znowu padliśmy bez sił, dysząc ciężko. Korzen przekreślił mi się w ręce, ustawiając się pod kątem do podłoża, z czego wywnioskowałam, że znajdujemy się wyżej niż nasze spodziewane schronienie. Ściana mgły podeszła już tak blisko nas, że zaczęłam się obawiać, iż jakkolwiek wędrowka w tych oslepiających tumanach może skończyć się upadkiem z jakiegokolwiek niewidocznej krawędzi.

-Na dół, co? - Kosgro zgarbił się nad ciałem Bartare, spoglądając na korzen. - Lecz jeśli

tam prowadzi nasza droga, nie możemy nią pójść, przynajmniej jeszcze nie teraz. -
Westchnął jak ktoś, kto podjął wielki wysiłek na marnie.

-Trzeba też - kontynuował po chwili, w której zdążyłam pojąć, w jak wielkim znaleźliśmy się
niebezpieczeństwie - pomyśleć o jedzeniu...

Jedzenie! Zaciśnęłam kurczowo rękę na zawiniatku. Byłam jednak głodna i nie mogłam temu
zaprzeczyć. Ten śmieszny posiłek, spożyty przez nas pod krzakiem z jagodami, nie
zaspokoił dreczacego mnie głodu. A jeśli sama myśl o jedzeniu sprawiała, że robiło mi się
słabo, to jak musiał czuć się Kosgro, który nie tylko niosł Bartare, ale też stracił mnóstwo
energii w walce z robakowatym stworzeniem.

Niechętnie odwinęłam zapasy i po raz kolejny przebiegł mnie zimny dreszcz, kiedy
zobaczyłam, jak jest ich mało. Gdy i to zniknie, nasza ostatnia nadzieja na pozostanie sobą
będzie nam odebrana, pomyślałam.

Rozsmarowałam proteinową pastę na waflach i dla siebie zatrzymałam mniejszą porcję. Do
większej, przeznaczonej dla Kosgro, dodałam kostkę czekolady. Nie krygował się,
przyjmując większą porcję. Rozsadek nakazywał taki podział.

Zując wafel szybko spakowałam zawiniatko, chowając je, by nie budziło pokusy. Potem
zajęłam się bandażowaniem na nowo moich stóp. Musiałam na ten cel poświęcić znowu
material z mojej tuniki.

Skrzywiłam się, kiedy spojrzałam na stopy - tak obco wyglądały. Palce były nienormalnie
długie, jak... jak... korzenie! Ukorzenione stopy, Isniaca, stwardniała jak kora skóra, zielone
włosy przyłożyłam rękę do ust i nie krzyknęłam, ale cały czas drżałam, gdy pośpiesznie
bandażowałam te dziwne stopy, starając się nie myśleć.

Przypuszcmy, że uległabym dreczacemu mnie impulsowi, by zrzucić bandaż i zanurzyć moje
palce-korzenie w ziemi. Czy takie działanie sprawiłoby, że stałabym się krzakiem, drzewem,
czymś stałym unieruchomionym w tym świecie na wieki? Musiałam uważać, by do tego nie
doszło, nie powinnam zatem dotykać ziemi gołymi palcami.

Oomark chodził tam i z powrotem. Teraz zbliżył się, szczekając kopytami o skalne podłoże.

-Musimy iść! Na dole jest wiele Pomroczy i wciąż nadciągają nowi.

Kosgro znowu westchnął.

-Ma rację. Kiedy wzbiera mgła, mają największy apetyt. Robak im nie wystarczy.

Podniosłam korzeń z nadzieją, że może w jakiś sposób zmienił swój sygnał. Wciąż jednak
wskazywał na dół.

-Dokad idziemy? Jesli mamy isc wedlug tych wskazan, powinniśmy zawrocic.

-A tego nie wolno nam zrobic. - Kosgro zgial rece. - Bedziemy musieli isc tym grzbietem tak dlugo jak sie da, z nadzieja na hit szczescia.

Jeszcze raz zarzucil sobie Bartare na ramie. Teraz juz nie maszerowalismy, a raczej pelzismy, czesto zatrzymujac sie na odpoczynek. W pewnej chwili korzen niespodziewanie przesunal sie w mojej rece. Przystanelam, zeby pokazac towarzyszom, ze wskazuje odwrotny kierunek.

-Musielismy minac schronienie.

Kosgro polozyl dziewczynke na ziemi. Razem opadlismy na czworaki i popelzismy w lewo, bardzo wolno i ostroznie, z nadzieja, ze dotrzemy do krawedzi grzbietu, na ktorym sie znajdowalismy, by stamtad ocenic, co znajduje sie w dole. Potem, tak jak fetor robaka byl dla nas ostrzezeniem, tak teraz fala ozywczego zapachu notusa przyniosla nam nadzieje. Kosgro zawolal, rozciagajac waskie usta w groteskowej parodii ludzkiego usmiechu:

-Teraz juz mnie nie mdli!

-Co cie nie mdli?

-Zapach notusa! Wytrzymuje go. - Walnal wielka owlosiona piescia w skale. - Nie rozumiesz? Jedzenie pomoglo. Nie jestem juz tak bardzo zwiazany z tym swiatem. Notus nie ostrzezl mnie!

Rozumialam jego radosc, czulam bowiem to samo, kiedy moja skora wygladzila sie, gdy podnioslam tamta galazke notusa. Lezelismy obok siebie, ramie w ramie, starajac sie dojrzec, co jest za krawedzia grzbietu. Otaczala nas jednak tak gesta mgla, ze niczego nie mogliśmy byc pewni. Drzewa, ktorych szukalismy, mogly znajdowac sie bardzo daleko albo zupelnie blisko, ale tak czy inaczej mgla kryla je przed nami.

Tak jak moje palce-korzenie czerpaly jakas forme energii z gleby, tak teraz zapach notusa napelnial mnie inna moca. Glod, sygnalizowany przez bolesne ssanie w brzuchu, przestal mi dokuczac. Czulam, jak ogarnia mnie spokoj, ale nie tylko spokoj - rowniez uczucie, ze mam nieograniczone mozliwosci, ze moze rozkazywac losowi i podporzadkowac go mej woli.

-Zejscie nie okaze sie chyba zbyt trudne - powiedzialam.

W zasiegu wzroku skala byla spekana i podziurawiona, obfitowala w dogodne wsparcia dla nog i uchwytów dla rak.

-Na odcinku, ktory jest widoczny - przytaknal Kosgro, lecz dodal: - Bac nalezy sie tego, co nie jest widoczne. Gdybysmy mieli line, albo cokolwiek, co ulatwiloby wspinaczke, wowczas moglibysmy...

Czyżby zamierzał się poddać?! Zdumiona, dzwignęłam się do pozycji siedzącej.

-Ale musimy zejść na dół!

-Zgadza się. Tylko powiedz mi, w jaki sposób.

Zastanowiłam się nad tym spokojnie i stwierdziłam, że ma rację. Nas troje dokonaliby tego bez trudu. Ale co z Bartare? Wiedziałam już, jakie jest jedyne rozwiązanie. Tylko ja mogłam trzymać swobodnie gałazkę notusa. Zostało dowiedzione, że taka gałazka daje tutaj potężne wsparcie. A my potrzebowaliśmy go, żeby przetrwać. Dlatego to ja musiałam zejść, zdobyć gałazkę i wrócić z nią.

Powiedziałam to i przygotowałam się na sprzeciw ze strony Kosgro. Milczał przez długą chwilę, a potem powiedział:

-Myślę, iż to jedyny sposób.

-Wydaje się, że nie jesteś do końca przekonany.

-Nic na to nie poradzę. Nie wiemy, co nas czeka na dole, nawet jeśli skala pozwoli na zejście poniżej tego krótkiego odcinka, który jest widoczny. Wyprawa w nieznaną jest niebezpieczna, a ty nie jesteś przygotowana do stawienia czoła takim zagrożeniom.

-Sądząc po zapachu, musi tam być sporo kwitnących drzew notusa. Jakie niebezpieczeństwa tego świata mogą mi grozić w ich pobliżu? A może się mylę sądząc, że notus stanowi remedium na wiele miejscowych nieszczęść?

-Nie mylisz się. I masz rację twierdzić, że tylko ty jesteś w stanie przynieść gałazkę notusa. Mogę ci jedynie prosić, byś była czujna i nie zaniedbała żadnych środków ostrożności.

Po tym, co tutaj przeżyliśmy, nie potrzebowałam takich przestroż. Ponownie sprawdziłam bandaż na stopach upewniając się, że są szczelne. I zanim zsunęłam się z krawędzi, zrobiłam coś jeszcze. Odwiązałam od pasa zawiniatko z prowiantem, dając tym samym dowód, jak bardzo mu ufam. Nie dotknął go; spojrzał na mnie badawczo i rzekł, ostro i wyraźnie wypowiadając słowa:

-Jeśli spodziewasz się niepowodzenia - nie idź. W samym powietrzu jest tu coś, co wyczuwa i potęguje wszelką niepewność, i co sprawia, że człowieka spotyka los, jakiego właśnie chciał uniknąć.

Rozesmiałam się z przymusem, mając nadzieję, że nie pokazałam, jak bardzo jego słowa mnie wstrząsnęły.

-Więc myślisz, że przewiduje, iż spotka mnie jakieś nieszczęście? Mylisz się. Zostawiam prowiant, bo nie chcę, żeby zawiniatko przeszkadzało mi w schodzeniu na dół. Teraz ja z

kolei pragne przestrzec cie z cala moca: mozliwe, ze od tego zawiniatka zalezec bedzie nasze zycie.

Skinal glowa.

-Sadzisz, ze nie zdaje sobie z tego sprawy? Mozesz miec pewnosc, ze bede go dobrze strzegl.

Nie spojrzalam na niego, kiedy zsuwalam sie z krawedzi, cala uwage poswiecajac skalnej scianie, posiadajacej wiele przydatnych do wspinaczki pekniec. Pomimo ciasnych bandazy, moje stopy byly o wiele bardziej gietkie i latwiej wyszukiwaly wystepy i szczeliny, niz gdybym miala na nich buty. Lecz schodzilam bardzo wolno, sprawdzajac kazdy wystep, nim wykorzystalam go jako oparcie.

Moj swiat zawezil sie do pasa skalnej sciany, pokrytej warstewka wilgoci wytracajacej sie z mgly. Sekret polegał na tym, jak szybko stwierdzilam, ze nalezalo zwracac uwage wylacznie na czynnosci wykonywane w danej chwili. Przywieralam wiec do sciany i poszukiwalam wystepow, i znowu powtarzalam te same gesty, za kazda zmiana pozycji schodzac odrobine nizej. Zapach notusa przybieral na sile, dodajac mi otuchy, kiedy smialam o tym pomyslec, i napelniajac przekonaniem, ze drzewo lub drzewa nie moga sie znajdowac zbyt daleko.

W koncu moje stopy dotknely plaskiej powierzchni i znieruchomialam, wciaz zwrocona ku scianie, nie osmielajac sie jeszcze odwrocic, dopoki - przesuwajac najpierw jedna, a potem druga stope nie upewnialam sie, ze podloze jest stabilne. Wciaz przytrzymujac sie jedna reka skalnego wystepu, bardzo wolno odwrocilam sie od sciany.

Pod nogami mialam lita skale, wybiegajaca plasko w mgle. Dostrzeglam tez skrawek zielonej darni. Zawahalam sie, nim ruszylam dalej, poniewaz nie bylam pewna, czy uda mi sie wrocic w to samo miejsce. Notus nie mogl jednak znajdowac sie zbyt daleko, a wahanie niczego nie rozwiazywalo.

Zaczelam glosno liczyc kroki z nadzieja, ze moze to byc dla mnie jakas wskazowka przy powrocie. Tak dotarlam do darni, ktora sprezynowala miekko pod stopami. Pochylilam sie i zerwalam garsc trawy, oznaczajac w ten sposob to miejsce, choc lykowate zdzbla stawialy opor. Idac dalej zostawialam takie same znaki po kazdych pieciu krokach.

W taki oto sposob dotarlam do pierwszego drzewa notusa. Bylo ich tam wiecej - prawde mowiac tworzyly maly zagajnik. Przystanelam i oddychalam gleboko, radujac sie wypelniajacym mnie uczuciem mocy i ozywienia.

Kwiaty zwisaly w bujnych kisciach, lecz nie byly jednolicie biale, jak tamte na pierwszej galazce. Platki niektorych lsnily zlotawo na koncach. Inne znow opadaly, splywajac lagodnie ku ziemi, gdzie darn pokrywala juz ich gruba, lotna warstwa.

Weszłam ostrożnie pod najbliższe drzewo, spoglądając do góry, zdecydowana wybrać gałązkę z najświeższymi kwiatami, wyglądało bowiem na to, iż znalazły się w okresie przekwitania, i niedługo wszystkie spadną.

Kiedy wreszcie dokonałam wyboru, uniosłam ręce, żeby zerwać gałązkę. Kiedy jednak dotknęłam jej palcami, poderwała się umykając gwałtownie, jakby drzewo zdawało sobie sprawę z tego, co chce zrobić, i nie wyrażało na to zgody. Zaskoczyło mnie to tak, że aż odskoczyłam, ponieważ przyszła mi do głowy osobliwa myśl, iż teraz w odwecie drzewo może wysmagać mnie galeziami.

Czy w tym przypadku należało postąpić tak jak z trawą-przewodnikiem? Czy w zamian za gałązkę muszę dać jakas dziwną zapłatę? Zbadalam rany na dłoni. Wciąż piekły, lecz już nie krwawiły. Wzięłam głęboki oddech i podeszłam do drzewa, przykładając pokaleczoną i brudną dłoń do jego łsniacej, srebrzystej kory.

Nie wiedziałam, dlaczego tak zrobiłam, ale w jakiś sposób wydawało mi się to właściwe. I przemówiłam do drzewa jak do towarzysza, którego można nakłonić do udzielenia pomocy, o ile zostanie przekonany, że naprawdę jest nam potrzebna. Prosiłam drzewo o to, co może mi dać, zapewniając, że nie będę próbowała tego wziąć siłą, jeśli się sprzeciwi, przypominałam sobie bowiem, jak tamta pierwsza gałązka przyniosła do mnie wiatr, i wcale nie musiałam jej zrywać.

Ponad moją głowę wstawkowate liście zaszeleszczyły, a kłosa kwiatów zatrzesły się. Tego ruchu nie wywołał żaden wiatr. Poruszenie przeniosło się na sąsiednie drzewo, potem na następne, stając się coraz to głośniejsze.

Wokół mnie spadł deszcz przekwitających kwiatów, zerwanych tym drgnieniem. Zatrzymały się na moich włosach, w fałdach spodniej tuniki, przywarły do ramion i barków, jak gdyby ich płatki powleczone były jakas lepka substancja.

Gdzieś nad moją głowę rozległ się ostry trzask. Kiedy odchyliłam się do tyłu, nie odrywając ręk od pnia, by zobaczyć, co się stało, prosto w moje ramiona, z niezwykłą precyzją, spadła gałązka. Miała kształt litery Y, a każde ramie zwieńczone było kłosa kwiatów. I, ku mej radości, kwiaty nie wyglądały na przekwitłe, jak te, które opadły, tak że mogłam się spodziewać, iż wytrzymają przez jakiś czas.

Dziękując mocy, która przekazała mi ten dar, przemówiłam jeszcze raz, przepelniona nabożnym lekiem i poruszona odpowiedzią na moją prośbę, zawstydzona wcześniejszą, łapczywą próbą zerwania gałązki.

Pod moimi dłońmi pien sprawiał wrażenie, jakby się pocił, kondensowała się na nim jakas wilgoc. Zapragnęłam dotknąć pnia wargami, wessać do suchych ust ciężkie, błyszczące krople. To przemożne pragnienie stłumiło rozwagę, i rzeczywiście objełam pien, przyciskając don ust.

Wilgoc nie była woda - miała zbyt słodki smak. Lecz niosła z sobą ciepło, uczucie szczęścia i nadzieje. I, choć nie mogłam napić się nią do syta, niezmiernie mnie odświeżyła. Gdy odsunęłam się od drzewa, jeszcze raz złożyłam podziękowania. Nie wydawało mi się to dziwne, ponieważ notus najwyraźniej nie był zwykłym drzewem choć nie miałam pojęcia, czym jest naprawdę.

Z gałązką zatknietą za pas ruszyłam z powrotem do skalnej ściany. Wspinaczka w górę nie była tak trudna jak zejście, ponieważ wszystkie dogodnie uchwyty miałam w polu widzenia, a nadto soki notusa pokrzepiły mnie, przygotowały do zwiększonego wysiłku.

Kwiaty, które na mnie spadły, wciąż przylegały do mojej skóry. Wcale nie chciałam ich usunąć, ponieważ zapach i miękki dotyk sprawiały mi przyjemność.

Wedrowka w górę, mniej absorbująca od zejścia, tym samym trwała krócej, co bardzo mnie ucieszyło. Kiedy wciągałam się przez krawędź skalnej ściany na szczyt, pełna entuzjazmu starałam się wymyślić jakiś sposób, który pozwoliłby nam wszystkim zejść do zagajnika. Widziałam w nim idealne schronienie, gdzie moglibyśmy odpocząć i pokrzepić się.

Mgła zaczęła właśnie ustępować, kiedy wdrapałam się na grzbiet. Leżała tam Bartare, najwyraźniej pogrążona w śnie tak samo głęboko jak przedtem. Oomark przysiadł na piętach nieco dalej, jak gdyby udając wartownika. Kosgro siedział obok dziewczynki, zgarbiony, z rękoma zwieszonymi pomiędzy kolanami, sprawiając wrażenie całkowicie wyczerpanego.

Uniosł głowę, gdy pomachałam triumfalnie gałązką.

-Musimy jakos zejść na dół - zwróciłam się do niego. - Rosnie tam cały zagajnik notusa. I...

Kiedy tak machałam, część płatków przywierających do mojej skóry odpadła. Zawirowały w powietrzu i kilka spadło na Bartare, na jej twarz i piersi.

Po raz pierwszy poruszyła się - nie tylko poruszyła, lecz również odzyskała przytomność, tak szybko, jak odzyskuje ją człowiek budzony przez groźące mu niebezpieczeństwo. Przesunęła gwałtownie rękami po twarzy. Byliśmy zbyt zaskoczeni, żeby się poruszyć. Od tak dawna zachowywała się jak martwy przedmiot, że po prostu zaczęliśmy ją w ten sposób traktować.

Kosgro wyciągnął do niej rękę - zbyt późno. Odsunęła się od niego z rozpaczliwą zwinnością zwierzęcia, które stara się wymknąć z pułapki. Jeden z płatków zgarniętych z twarzy przywarł do jej palców. Krzyknęła, uderzając ręką o ciało, jakby ze wszystkich sił starała się pozbyć jakiegoś dreczącej ją istoty.

-Bartare!

Ruszyłam ku niej, lecz przystanęłam, gdy wrzasnęła, zasłaniając się wyciągniętymi do góry

ramionami. Czyżby zobaczyła we mnie jakieś monstrum, któremu nie była w stanie stawiać czoła?

Kosgro złapałby ją zapewne, gdyby Oomark nie przeciał mu drogi. Jorth wpadł na chłopca, potknął się i omal nie upadł, tracąc równowagę. Bartare, poderwawszy się wreszcie na nogi, rzuciła nam spojrzenie wypełnione grozą, ale i buntem, i uciekła we mgłę, oddalając się od urwiska i kierując w nieznaną. Nie zastanawiając się, pobiegłam za nią. Dopiero kiedy ogarnęła mnie mgła, uświadomiłam sobie, jakie szalenstwo popełniłam: teraz wszyscy zaczniemy się blakac bez nadziei na to, że się odnajdziemy. Moglibyśmy wprawdzie wołać i w ten sposób, być może, nawiązać kontakt. Lecz takie okrzyki z pewnością zwróciłyby uwagę czegoś, z czym nie chcielibyśmy ani nie mieliśmy odwagi się spotkać.

Skoro tylko zrozumiałam ten poważny błąd, przystanęłam nasłuchując. Z przodu dobiegał do mnie tupot stop na skale - to była Bartare. Kiedy jednak poruszałam się, nie słyszałam jej, a zatem nie mogłam kierować się tym dźwiękiem. Spojrzałam na galazkę notusa. Korzeń doprowadził nas do niego. A może teraz notus mogłby doprowadzić mnie do Bartare? Ledwie ta myśl przyszła mi do głowy, gdy galazka przekreśliła się w mojej rece, tak że rozwidlenie zwieńczone kłębami kwiatów wskazywało kierunek. Byłam pewna, że w żaden sposób nie wpłynęłam na zmianę położenia galazki. Nie miałam innego wyjścia, jak tylko pojsć za jej radą.

Zrobiłam tak, jak poinstruował mnie Kosgro, kiedy szukaliśmy Oomarka. Wyobraziłam sobie twarz Bartare i pozwoliłam, by notus wskazywał drogę.

Jeszcze raz zeszłam ze skały na opadające w dół zbocze, pokryte piaskiem i nagą ziemią, gdzie karłowate krzaki wylaniały się poszarpanymi kształtami z mgły, by zaraz znowu w niej zniknąć. Często przystawałam, wytezając słuch. Jeśli Bartare wciąż biegła, zapewne wyprzedziła mnie znacznie. Słaby tupot stop nie dochodził już do moich uszu. Słyszałam za to wystarczająco wiele innych dźwięków, by mieć pewność, że nie jestem sama w okrytej mgłą okolicy. Jakies stworzenia przemykały to tu, to tam, zajęte swoimi własnymi sprawami.

Zadrzałam na myśl o tym, że być może Bartare znalazła się oko w oko z jednym z potworów zamieszkujących te krainy. Nie wiedziałam, czy dziewczynka ma możliwości wezwania swej Pani na pomoc. I nie wykluczone, że będę musiała stawiać czoło im obu, kiedy znajdzie moja podopieczna. Nie pozwoliłam, by ta myśl napelniła mnie strachem.

Potem usłyszałam wołanie, które było nie tylko dźwiękiem, ale również wibracją powietrza, czułam je bowiem całym ciałem. A ponieważ galazka wskazywała kierunek, z którego ono dochodziło, pomyślałam, że to Bartare próbuje wezwać pomoc. Grunt opadł nagle przede mną, a ja poslizgnęłam się na pokrywającej go gładkiej warstwie mchu i trawy i zjechałam na siedzeniu w dół.

Zakończyłam podróż, uderzając z niemalym impetem w bok jednego z tych porośniętych

darnia kopcow. Usłyszałam podniecony śmiech i uniosłam wzrok. Na szczycie kopca klęczała Bartare i wpatrywała się we mnie z zadowoleniem, że widzi swego wroga w opalach. Potem uniosła rękę, dając znak komus, kogo ja nie widziałam. Równocześnie zawołała głośno i wyraźnie:

-Chodź i najedź się, biegnący-w-ciemności!

Ostrzeżona ponieważświe o groźnym mi niebezpieczeństwie zdążyłam tylko ukleknąć, zanim ową cieniem stał się przerażająco wyraźny. To był Shuck, albo stworzenie na tyle do niego podobne, że mogłoby być jego bliźniakiem. Zbliżał się ku mnie sliniacz, w posepnym i przejmującym grozą milczeniu, błyskając klami w rozwartej paszczy.

-Jedź! Jedź! - Przenikliwy głos Bartare zupełnie zatracił ludzkie brzmienie. Po chwili dodała:
- Na koniec muszę ci podziękować, Kildo. Przynajmniej raz na coś mi się przydałaś. Poigraj sobie z Shuckiem, a on zapomni o mnie.

Wciąż na klęczkach, uniosłam rękę, w której trzymałam ukwieconą gałązkę, i wyciągnęłam ją w stronę Shucka.

-Shuck!

Włożyłam w to słowo całą moc, jaką dysponowałam. Potwór zatrzymał się tak gwałtownie, że aż się zakolysał, orząc łapami bruzdy w ziemi, gdy próbował cofnąć się przede mną. Wtedy, uderzyłam gałązką jak biczem. Shuck chciał się uchylić, lecz kwiaty smagnęły go po łbie i barku.

Odskoczył, warcząc i wydając odgłosy przypominające głuche pokasywanie. Przypadł brzuchem do ziemi, próbując podpełznąć do mnie z innej strony. Ale ja byłam na to przygotowana.

-Shuck!

Przejęłam inicjatywę, podrywając się na nogi i napierając na kulacego się potwora. Wymachiwałam gałązką nad głową, a on cofał się przede mną, aż w końcu odrzucił łeb do tyłu i zaskowyczał tak przeraźliwie, że zadzwieczało mi w uszach. Potem skoczył i zniknął we mgle.

Najszybciej jak mogłam podbiegłam do kopca. Bartare zeszła z niego po drugiej stronie i stała u podnoża. Najwyraźniej nie mogła się zdecydować na ucieczkę w nieznaną. Zanim zdążyła się ruszyć, dopadłam do niej i chwyciłam za nadgarstek.

Wrywała rękę i zmagala się ze mną, wyłącznie jednak po to, by się uwolnić. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że śmiertelnie się boi ukwieconej gałązki. I choć opierała się przy każdym kroku, wlokłam ją ze sobą, zwrócona lewym bokiem do kopca, nieustannie badając wzrokiem mgłę w oczekiwaniu ataku. Zmagając się w ten sposób obeszlęśmy pagórek, aż

znalazlyśmy się w miejscu, gdzie wyladowalam po upadku na zboczu.

Odnalazłam Bartare i wiedziałam, że potrafię zatrzymać ją przy sobie, przynajmniej przez jakiś czas. Nie wiedziałam jednak, czy kiedykolwiek odnajdziemy pozostałych. Myśl, że naprawdę mogłyśmy się zgubić, ciążyła mi bardziej niż cokolwiek innego. Bartare wciąż próbowała się wyrwać, aż w końcu krzyknęłam do niej:

-Jeśli się nie uspokoisz, użyj tego!

Podsunęłam jej gałazkę pod nos, a ona odchyliła głowę najdalej jak potrafiła.

Obawa przed powrotem Shucka, który mógł sprowadzić posiłki, oraz strach przed utratą Kosgro i Oomarka sprawiły, że powiedziałam to poważnie. Musiała odczytać determinację malującą się na mojej twarzy, ponieważ natychmiast przestała się wyrwać.

Rozdział piętnasty

Nie masz pojęcia, co chciałaś zrobić! - Znowu jej głos nie był głosem dziecka. - Możesz mnie tym zniszczyć! - Ty też chciałaś nas zniszczyć - przypomniałam jej. - Czy nie zaatakowałaś nas w tamtym mieście?

Posłała mi jedno z tych chytrych, kosych spojrzeń, takich samych jak te, którymi obrzucał mnie Oomark, kiedy zatracił swoją ludzką naturę - tyle tylko, że to spojrzenie było jeszcze bardziej obce. Znowu przebiegł mnie dreszcz.

-Posłuchaj - szybko dostrzegła mój słaby punkt - przecież nie chcesz mnie zabić, tylko zatrzymać. Dlatego nie użyjesz tego...

Jednocześnie zobaczyłam i poczułam, jak jej ciało teżeje, gdy zaczęła przygotowywać się do walki, odpowiedziałam więc szybko, mając nadzieję, że zarówno z mojego głosu, jak i wyrazu twarzy bije pewność siebie.

-Nie, nie chcę cię zabić, Bartare. Wystarczy tylko lekko dotknąć i myślę, że to cię okiełzna, albo uczyni bezradną i pozbawi przytomności, tak jak przedtem.

Wyciągnęłam gałazkę, a ona skuliła się i cofnęła. Jeszcze nie była poskromiona.

-Nie możesz kazać mi, bym robiła to czy tamto. Należy do tego świata w takim samym stopniu, w jakim ty jesteś tu obca. I jeśli spróbujesz sciągnąć mnie z powrotem, wiedz, że będę walczyła do końca z tobą i z tą skomlącą kreaturą, nazywającą siebie moim bratem. Bratem!... Nic nas nie łączy! I z tym Pomiedzy, który czolga się, zebrze i robi wszystko, żebyś tylko dała mu wylizac okruszki z torby z jedzeniem. To śmieszne, że wam trójgu przychodzi do głowy przeciwstawiać się Ludowi!

-Tak jak wówczas, kiedy cię porwałismy? - wtraciłam zjadliwie. Ale w głębi duszy czułam

przygnebiecie. Nie wiedziałam, jakim sposobem zdołamy zatrzymać ją przy sobie, jeśli dalej będzie taka zbuntowana. Ani jak wydobyć z niej informacje konieczne do ucieczki z tego świata... Chyba że... Zaszła mi pewna myśl.

-Naprawdę możesz pozbyć się nas wszystkich raz na zawsze...

-Tak też się stanie - odparła natychmiast - gdy Melusa policzy się z wami. - Rozesmiała się. - Nie przychodzi ci do głowy, żeby rzucić na nią zaklęcie, wypowiadając głośno to imię? Nie jest ono prawdziwe, tak samo jak Bartare nie jest moim prawdziwym imieniem. W ten sposób nie zdobędziesz nad nami władzy.

-Możesz uwolnić się od nas bez żadnej szkody dla siebie - powiedziałam jej. - Ale jeśli będziemy musieli się bronić, to się obronimy, jak już tego dowiedliśmy. Wskaz drogę, która pozwoli nam opuścić ten świat, a nie sprawimy ci już więcej kłopotów.

-Być może ty i ten Pomiedzy. Oomark nie - on już za bardzo jest jednym z nas. A poza tym nie mam klucza do żadnych wrot z tej strony.

Poczułam ukłucie strachu. A jeśli wrota dadzą się otworzyć tylko z tamtej strony?

-Twoja Melusa na pewno ma klucz. Jak inaczej mogłaby cię odnaleźć?

Bartare przesunęła językiem po wargach. Przestała się wrywać.

-A jeśli Melusa to zrobi, naprawdę odejdziesz i nie pojawisz się nigdy więcej?

-Masz moje słowo.

Ten koszmarne świat był ostatnią rzeczą, jaką kiedykolwiek chciałabym znowu zobaczyć. Wcale jednak nie zamierzałam zostawić tu Bartare. Tak naprawdę nie mogłam uwierzyć, że płynie w niej obca krew, że pozostawiono ją na Chaloksie dla jakiegoś, znanego tylko Ludowi celu. Zamierzałam raczej, kiedy nadejdzie ta chwila, zobaczyć jak odchodzi z nami. W grę wchodziło stare, bardzo stare prawo, które obowiązywało od czasu, kiedy mój gatunek opuścił swoją kolebkę - owa legendarna Terre. To nieważne, czy twój towarzysz jest twoim najzacieklejszym wrogiem - nie masz prawa porzucić go na obcej planecie. Twoim obowiązkiem jest walczyć do końca, by uwolnić go i zabrać z sobą.

Nie lubiłam Bartare, ale też nie chciałam zostawić jej tutaj, gdyby usmiechnęło się do nas szczęście i znalazlibyśmy wrota. Nie wiedziałam jeszcze, jak mogłabym przetransportować ją i Oomarkę w jego zmienionej postaci; teraz przede wszystkim należało zawrzeć pakt z Bartare, żeby przestała być dla nas takim ciężarem.

-Nie do końca ci wierzę - powiedziała Bartare. - Jednak...

Cokolwiek chciała powiedzieć, nie zrobiła tego. Jej twarz zmieniła się i tylko to sprawiło, że

odwrocilam sie i spojrzalam na cos, co sie do nas zblizalo.

Shuck zawezwal posilki, bo gdyby tego nie zrobil, ta istota mogla wydrzec mu jego lup. Majac w przeszlosci dostep do biblioteki Lazka Volka, zawierajacej opisy najbardziej niesamowitych istot, sadzilam, ze nic nie potrafi mnie zdziwic, lecz ta belkoczaca maskara byla najgorsza ze wszystkich, jakie dotychczas widzialam.

Moj gatunek ma wrodzona awersje do gadow. Poniewaz jednak rozprzestrzenilismy sie w kosmosie, zdolalismy stlumic ja w przypadku takich ras jak Zacathani i jedna czy dwie inne, ktorych przodkowie zamiast siersci pokryci byli luskami. Ale wciaz tkwilo we mnie dostatecznie duzo tego pierwotnego strachu, by unieruchomic mnie na sekunde czy dwie, co moglo okazac sie fatalne w skutkach.

Istota prezentowala soba budzaca mdlosci mieszanine cech gadzich i ludzkich. Jej cialo okrywala naga, zielona skora, usiana brodawkami i guzami. Wyciagniete lapy mialy po cztery palce, a na koncu kazdego z nich, po wewnetrznej stronie, znajdowala sie owalna przyssawka. Cialo rozdymal obwisly zoladek, nogi byly krotkie i lukowato wygiete, jak gdyby pod ciezarem wielkiego brzucha. Duza i okragla glowe wienczyly wielkie oczy osadzone niemal na jej szczycie. Nie dostrzeglam sladu uszu, za to w glebi rozwartych ust cos...

Instynkt, byc moze wyostrzony tym wszystkim, co zdarzylo sie wczesniej, uratowal mnie. W chwili ataku odruchowo unioslam galazke i ow dlugi, ociekajacy ohydny, zoltym sluzem powroz jezyka, wysuwajacy sie blyskawicznie z pyska potwora, dotknal jednej z kwiatowych kisci.

Natychmiast cofnal sie, znikajac w ustach, ktore zamknely sie gwaltownie. Istota, zadziwiajaco ludzkim gestem, przycisnela obie lapy do pyska, cofnela sie chwiejnym krokiem, szarpiec okalajace usta wargi, wygladajace jak waskie paski ciemniejszej zieleni, potraszajac baloniasta glowa, najwyrazniej dreczona nieznosnym bolem.

-Chodz!

Bartare pociagnela mnie za reke. Wycofywalam sie, zerkajac do tyłu na gadzia stwore. Oparla sie plecami o kopiec i wciaz szarpala wargi, sprawiajac wrazenie, jakby zupełnie o nas zapomniala.

Przesuwalymy sie wzdluz sciany kopca najszybciej jak moglysmy. A jesli z drugiej strony czekal Shuck? Rzucilam ostatnie ostrozne spojrzenie na zielona istote i wbilam wzrok przed siebie. Nic tam nie czernialo. Jednakze, gdybysmy zanurzyly sie we mgle, kazdy moglby podejsc do nas nie zauwazony.

Jak odnajde Kosgro i Oomarka bez jakiegokolwiek wskazowki czy znaku orientacyjnego? Spojrzalam na Bartare.

-Potrafisz znalezc swojego brata?

Jesli on umial wytropic ja w tym swiecie, ona z pewnoscia powinna potrafic to samo. Kiedy nie odpowiedziala od razu, zastanowilam sie, czy w ogole zdolam wydobyć od niej te informacje. Moja wladza nad nia, jesli jakakolwiek mialam, byla niezmiernie ulotna.

-Posiadasz to cos, co sprawia, ze Pomrocze postaraja sie ciebie omijac z daleka - powiedziala w koncu. - Ale nie wszystkie dadza sie trzymac na wodzy. Nie sadze, ze bys - bedac tym, czym jestes - poszla sobie i zostawila mnie z nimi. Mozliwe, ze istotnie zostalam odrobine zmieniona przez pobyt wsrod twojego ludu. Tak, potrafie odnalezc Oomarka - i jesli tamten Pomiedzy jest z nim, jego rowniez. Chodz!

Nie moglam zrobic nic innego, jak tylko jej zaufac, choc z trudem przyszlo mi rozstac sie ze zludnym poczuciem bezpieczenstwa, jakie dawal wznoszac sie za moimi plecami pagorek. Jednak nie byla to prawdziwa ochrona przed atakiem Shucka lub brodawkowatego stwora. Najskuteczniejsza bron dzierzylam w rece i wiedzialam, ze musze zachowac czujnosc i zwazac nie tylko na ewentualne, wrogie poczynania Bartare, ale rowniez na to, co moglo czyhac we mgle.

Znalazlismy sie u podnoza tego gladkiego zbocza, z ktorego zjechalam, i okazalo sie, ze wspinaczka po nim wcale nie jest latwa. Zajeta wchodzeniem na gore, nie moglam trzymac Bartare. Gdyby znowu uciekla, bylaby zgubiona.

Lecz w koncu wdrapalismsy sie na szczyt i oto mialismsy przed soba pokryta zwirem przestrzen. Wowczas, przypomniawszy sobie sztuczke, ktorej nauczyl mnie Kosgro, zaczelam co kilka krokow omiatac delikatnie nasze slady z nadzieja, ze w ten sposob powstrzymam poscig.

-Mgla sie podnosi - zauwazyla Bartare zgodnie z prawda, lecz zmeczenie, jakie odczuwalam, pozwalalo mi myslec wylacznie o tym, ze musimy gdzies znalezc schronienie. Z pewnoscia najbezpieczniejszy bylby notusowy zagajnik - gdybysmy tylko wraz z Jothem zdolali naklonic Oomarka i Bartare, by tam weszli. Moze wtedy Kosgro potrafilby wykonac jakas sprytna sztuczke, ktora na jakis czas rozwiazalaby nasz problem.

Weszlismsy z powrotem na skalna plyte grzbietu. Co za szczescie! Kosgro nie poszedl mnie szukac, lecz siedzial tam z Oomarkiem, juz niemal tak gesto owlosionym jak on, opiekunczo obejmujac chlopca ramionami.

Wstali, gdy podeszylismsy do nich. Kosgro spojrzal na mnie pytajaco. Przebywalam z nim juz jakis czas i nauczylam sie rozpoznawac, co oznaczaja nawet drobne zmiany jego zwierzeczych rysow. Nie odezwal sie, dopoki odwrocona tyłem nie omiotlam po raz ostatni pozostawionych przez nas sladow.

Wowczas zapytal:

-Towarzystwo?

-Tak, i to takie, jakiego nie chciałabym mieć za plecami.

-Zatem najlepiej zrobimy, jeśli zaraz ruszymy dalej.

-Tam, na dół.

Oczekiwałam jakiegoś sprzeciwu ze strony Oomarka, ale chłopiec nic nie powiedział. Pozostał przy mężczyźnie, trzymając się jednej z jego wielkich rąk.

Kiedy Bartare podeszła do krawędzi urwiska, zatrzymała się gwałtownie. Być może ostrzegł ją zapach notusa.

-Nie! Nie pojdę.

Teraz swój sprzeciw wyrażała tonem upartego dziecka. Zastanawiałam się, czy zagrozić jej znowu galazką, lecz wyreczył mnie Kosgro, który stanął przed nią,

-Pojdziesz! - rzekł z przekonaniem. - Bo inaczej zostaniesz tutaj sama.

Ponieważ Bartare już raz podjęła samotną ucieczkę w nieznaną, pozornie bez leku, nie potrafiłam dostrzec w tej groźbie niczego, co mogłoby zmusić ją do posłuchu. Wszystko jednak wskazywało na to, że ta trojka dysponuje wiedzą niedostępną dla mnie. Kosgro uniosł rękę.

-Słuchaj!

Nadstawiłam uszu. Zgiełk dochodzący z miejsca, gdzie zdechł robakowaty stwor, tłumiony dotychczas przez mgłę, teraz rozbrzmiewał głośniejszy. Słyszałam warknięcia, pomruki, i jeszcze jakieś inne, o wiele gorsze odgłosy; nie potrafiłam ich zidentyfikować.

-Pozarli to, co los im zesłał - rzekł Kosgro, zwracając się do Bartare. - Ci, którzy przybyli za późno, nie mają nic dla zaspokojenia rozbudzonego apetytu. I nie minie wiele czasu, jak zaczną rozglądać się i podejma nasz trop...

Przerwała mu:

-Pomroczce polują tylko wtedy, kiedy wzbiera mgła.

Przypominała jakieś małe stworzenie zapedzone w matnię, strzelające oczami w prawo i w lewo w poszukiwaniu drogi ucieczki. Na wszelki wypadek stanałam tak, by zagrozić jej ścieżkę, która właśnie przyszlismy.

-Kiedy są głodne, polują bez względu na porę. Na dole czeka na nas jedyne bezpieczne schronienie. Nie pójdą tam, nawet gdyby je do tego ^zmuszano, grożąc użyciem mocy.

-Nie możemy tam iść! Nie możemy!

Teraz już płakała. Straciła całą pewność siebie, jaką okazywała w mojej obecności. Ponieważ Kosgro bardziej niż ja należał do tego świata, widziała w nim zapewne groźniejszego przeciwnika.

-My możemy i ty możesz - odparł. - Albo to zrobisz, albo będziesz musiała stawić czoło temu, co nadejdzie. A nadejdzie głodne i nie da się zawrócić z drogi. I dobrze wiesz, Bartare, że ucieczka przed nimi, kiedy są głodne, pobudza je tylko do zwiększenia wysiłku. Nawet jeśli zdołasz uciec, i tak spotka cie mamy koniec. Nie ma tu żadnego schronienia, z wyjątkiem tego tam w dole.

-Notus to też śmierć!

Bartare splotła ręce.

-Wcale nie. Skosztowałaś notusa, kiedy Kilda złamała twoje zaklecie. Czy to cie zabiło?

Zawahała się, zanim odpowiedziała.

-Sprawilo, że zasnelam i zaczęłam snic. Nie chce takich snów!

-Miałas wtedy jedynie przelotny kontakt z notesum. Teraz możesz schronić się w jego cieniu i nie dotykać go. Tamci też nie zdołają cie dosięgnąć.

Wiedziała, że nie była przekonana, lecz w jakiś sposób ujarzmił ją. Skurczyła się. Nie potrafię lepiej wyrazić tego, co się z nią wówczas stało. Wyglądała z powrotem jak mała dziewczynka.

Posłuchała Jortha, kiedy skinal reka, choć było oczywiste, że śmiertelnie boi się każdego kroku naprzód. Doznałam ogromnej ulgi, gdy zsunęła się z krawędzi urwiska. Oomark zszedł zaraz za nią. Potem Kosgro skinal na mnie. Potrząsnęłam głową.

-Ja pójdę ostatnia i będę zacierała ślady.

Machnęłam głową, bowiem myślałam nie tylko o niewidocznych stworach gromadzących się przy truchle robaka, ale również o tej gadziej istocie. Mogła przecież ruszyć naszym tropem, o ile otrzaskała się z szoku, jakiego doznała, gdy dotknęła językiem galazki. Było w niej coś, co sprawiało, że balałam się jej bardziej niż Shucka czy Skarka. Nie chciałam spotkać się z nią znowu.

-Doskonale.

Opuszczył się niezdarnie z krawędzi, jak gdyby poruszanie sprawiało mu trudność. Pomyślałam o jego ranie. Czyżby wysiłki, na jakie ostatnio musiał się zdobywać, sprawiły,

ze sie otworzyła? Nigdy nie pozwolil mi jej opatrzyc, a ja nie moglam wymoc tego na nim wbrew jego woli.

Zgodnie z obietnica zatrzymywalam sie co jakis czas i omiatalam skale notusem. Tak jak w przypadku poprzedniej galazki, rowniez i ta na razie nie sprawiala wrazenia, ze wiednie czy usycha. Postanowilam, ze kiedy bedziemy opuszczali notesowy zagajnik, postaram sie o jeszcze jedna galazke, zeby miec ja w rezerwie.

Zapach notusa byl bardzo silny. Wciagalam go gleboko w pluca, za kazdym oddechem odprezajac sie coraz bardziej. Kiedy u stop urwiska odwrocilam sie w strone zagajnika, w niewielkiej odleglosci przed soba zobaczylam Kosgro, ktory obejmowal ramionami dzieci, ponaglajac je, choc nie ulegalo watpliwosci, ze wejście pod korony drzew jest niezmiernie trudne dla nich wszystkich.

Zaglebialismy sie w zagajnik, dopoki nie znalezlismy sie na otwartej polanie, gdzie nie roslo zadne drzewo, a nad soba mielismy tylko zamglone srebro nieba. Tam Kosgro puscil dzieci i cala trojka osunela sie na ziemie, zeszywniala i milczaca. Sprawiali wrazenie, jak gdyby zostali otoczeni przez jakies wrogie, zle sily.

Podeszlam do najblizszego drzewa i przylozylam rece do jego pnia, po raz wtory czujac na dloniach te jakze pozadana wilgoc. Przesunelam mokrymi dlonmi po twarzy, co orzezwilo mnie tak, jakbym napila sie do syta z jakiegos strumienia. Potem wyciagnelam na wierzch skraj mojej spodniej tuniki i oderwalam pasek materialu. Przylozylam go do pnia, zbierajac wszystkie plyn, jaki moglam znalezc. Kiedy material nasaczyl sie dobrze, wrocilam do moich towarzyszy.

Skoro ta wilgoc dzialala na mnie tak ozywco, uznalam, -ze pomoze rowniez Kosgro. Ten zas siedzial z glowa zwieszona na piersiach, przyciskajac obie rece do zabandazowanej rany, tak ze nie moglam zobaczyc jego twarzy. Ukleklam i najdelikatniej jak umialam polozylam reke na barku Jortha.

Pozwol mi opatrzyc rane - zwrocilam sie do niego. - Jesli ulegnie zakazeniu, skonczy sie to fatalnie nie tylko dla ciebie, ale dla nas wszystkich.

Spojrzal na mnie tepo, jak gdyby nie slyszal albo w ogole nie rozumial tego, co mowie. Polozylam wilgotny pasek materialu na galazce, tak by nie stykal sie z ziemia, i odsunelam rece Jortha, zeby odwinac i zdjac poplamiony i brudny bandaz. Pod nim, na wypuklosci wielkiej klatki piersiowej, biegla nabrzmiata, czerwona prega. Niewiele wiedzialam o ranach i sposobach ich opatrywania, lecz ta nie wygladala dobrze.

Glowa Kosgro znowu opadla i nawet nie uniosl reki, zeby zaprotestowac. Wzielam nasaczony sokiem notusa material i zaczelam dotykac nim czerwonej opuchlizny, starajac sie robic to tak lekko i delikatnie, jak to tylko mozliwe.

Skrzywil sie i wzdrygnal. Potem, jak ktos, kto zbiera sie w sobie, by wytrzymac zadawany

mu dla jego dobra bol, napial wszystkie miesnie. Dwukrotnie wracalam do drzew, by nasaczyc szmatke, i dalej przecieralam rane. Za trzecim razem az przechylilam sie do tyłu na pietach. Zdumialo mnie, bowiem to, co zobaczylam, i w pierwszej chwili nie moglam uwierzyc, ze oczy mnie nie zawodza. Zapalenie wyraźnie ustepowalo. Wygladalo na to, ze notus potrafi na wiele sposobow pomoc w rozmaitych przypadlosciach.

Ponownie zwilzylam pasek materialu, a potem obwiazalam nim rane, spinajac go ta sama odznaka, ktora Kosgro przymocowal pierwszy opatrunek. Byla to spinka do kolnierza, wyblakla, lecz niewatpliwie stanowiaca czesc umundurowania Sluzby Zwiadowczej. Kiedy skonczylam, Kosgro westchnal i odprezyl sie.

-Jak to wyglada? - zapytal.

-Z poczatku sadzilam, ze zle. Ale sok z tego drzewa pomogl.

Stan zapalny ustapil.

Ostroznie napial miesnie.

-Masz racje. Teraz o wiele mniej boli.

Poswiecilam jeszcze jeden skrawek mojej tuniki. Byl to ostatni kawalek, jaki osmielilam sie oderwac. Nasaczylam go sokiem notusa i podeszlam do Oomarka.

-Pozwol, bym obmyla ci twarz.

Szarpnal calym ciałem, probujac sie uchylic. Ale Kosgro przytrzymal go. Staralam sie robic to bardzo delikatnie, wiedzac, ze chlopiec boi sie notusa. Nie krzyczal, tak jak sie tego spodziewalam. Wygladal meznie, choc caly dygotal.

Jeszcze raz zebralam cenny sok. Kiedy wrocilam, Bartare stala, szamoczac sie z Kosgro.

-Nie rob tego! - wrzasnela, gdy zblizylam sie do niej. - Pozalujesz, jesli to zrobisz! Nie zdolam odnalezc dla was starych wrot... Zostane... Pomiedzy!

Zachowywala sie jak oszalala, wyrywajac sie i krzyczac, przystanelam wiec, niezdecydowana.

-Ale nie obejdiesz sie bez wody, Bartare, a ja odkrylam, ze paroma kroplami tego soku mozna zaspokoic nawet największe pragnienie.

-Zmus mnie do tego - rzucila wyzywajaco - a zobaczysz, co sie stanie. Kontakt z notusem sprawia, ze czlonkowie Ludu zapominaja to, co wiedzieli. Mowie ci, ze zapomne wszystko, a tobie przeciez potrzebna jest moja dobra pamiec!

Nie ulegalo watpliwosci, ze wierzyla w to, co mowila, a ja nie smialam podejmowac proby

przekonania się o tym. Jeśli pragnęła się napić, będzie musiała poczekać, dopóki nie ruszymy dalej i nie znajdziemy jakiegos sadzawki czy strumienia.

Złożyłam niewykorzystany skrawek wilgotnego materiału i wsunęłam go za pas, tak że dotykał bezpośrednio skóry pod moją przykrotką już spodnia tunika.

Kosgro odwiązał od pasa zawiniatko z naszym jedzeniem. Kiedy podał mi paczuszkę, otworzyłam ją; żywności było o wiele za mało, jak na nasze potrzeby. Zaproponowałam dzieciom, żeby też zjadły trochę. Bartare odmówiła, podkreślając to przesadnym gestem wyrażającym obrzydzenie. Ku mojemu zaskoczeniu, Oomark przyjął wafel. Odgryzał małe kęsy, które zół tak, jak gdyby miał w ustach coś gorzkiego, lecz mimo wszystko jadł.

Kiedy mu się przyglądałam, wezbrała we mnie odrobina nadziei. Być może notes spowodował w nim jakąś zmianę. Zyskałam pewność, że chłopiec zrobił krok we właściwą stronę.

Porcja, którą podzieliłam się z Kosgro, była naprawdę bardzo mała. Jakims sposobem jednak ta odrobina wystarczyła mojemu ciału. Potem sprawdziłam bandaż na stopach. Paski materiału wycierały się i strzepiły bardzo szybko. Musiałam wymyślić coś lepszego. Kiedy przyglądałam się ponuro swoim nogom, Kosgro odezwał się:

-Dlaczego nie spróbujesz z tym?

Wskazał na wstawkowate liście, zalegające grubą warstwą pod najbliższym drzewem. Były żółte i zwiedle, lecz kiedy wzięłam garść i zaczęłam je rozciągać i zginać, stwierdziłam, że są niewiarygodnie wytrzymałe. Natychmiast nabrałam ich pełen podolek.

-Pozwol.

Kosgro wziął trochę liści i choć jego palce zginały się w skurczach, a mięśnie drżały, jakby to zajęcie sprawiało mu ból, zaczął je splatać ze zrezygnacją, jakiej moje niezdarne próby nie mogły dorównać. Naśladowałam go we wszystkim i w rezultacie zrobiliśmy dwa komplety mat, grubych na szerokość mojego kciuka, i parę zwojów powroza, również skreconego z włókien liści.

Sandale, które w końcu nałożyłam na moje zniekształcone stopy, nie były wybitnym dziełem sztuki, ale zapewniały mi ochronę lepszą niż cokolwiek, co miałam na nogach od chwili, gdy porzuciłam buty. Przyglądałam się im z niemalym zadowoleniem, kiedy siedząc zaciągałam mocno ostatni węzeł.

Nie wiedziałam, jak długo wytrzymają, musiałam więc być przygotowana na to, że szybko ulegną zniszczeniu. Zaczęłam zbierać liście; układałam je w paczki i wiązałam razem, żeby zabrać ze sobą.

Zalowałam torby z kamieniami, pozostawionej przez Kosgro tam, gdzie walczył z robakiem.

Nie tylko stanowiła ona nasza jedyna bron, ale znajdowały się w niej również porzucone przez Oomarka rzeczy, które mogły się nam teraz przydać. Zaczęłam się nad tym zastanawiać.

-Co teraz zamierzasz?

Byłam bardzo zaskoczona, bo wyglądało to na czytanie w myślach, czy raczej w niesprecyzowanych zamiarach. Wytrzeszczyłam oczy na Kosgro. Uważałam za nieprawdopodobne, by zgodził się ze mną, iż warto podjąć próbę odzyskania torby, ja jednak tego chciałam.

-Zostawiliśmy tam torbę.

-A ty proponujesz, żebyśmy wrócili po worek, wypchany kamieniami? - Rozesmiał się ochryple. - Sądziś, że to skarb, po który warto wracać?

Poczułam się dotknięta.

-Przydała ci się w walce z robakiem. Gdyby nie ona, ty...my wszyscy bylibyśmy teraz martwi!

-Nie masz pojęcia, co tam się teraz dzieje.

-Ale mam notus...

-Nie bądź zbyt pewna siebie. Istnieje coś takiego jak zasadzka. Nie wiesz, kim są czające się tam istoty. Zmysły, jakie posiadamy, nie są w stanie ostrzec nas na czas przed niektórymi z nich. Z notusem czy bez... - Uniosł ręce do góry w osobliwym, niedokonczonym geście. - Jeśli jednak nie można cię przekonać... jeśli musisz stawić czoło przeznaczeniu...

Rzecz zastanawiająca, lecz jego rezygnacja, ton głosu, którego nie potrafiłam określić, przekonały mnie. Zawsze uważałam, że bezmyślna odwaga nie jest żadnym bohaterstwem, a niekiedy nawet czymś o wiele gorszym od tchorzostwa. Korzyści wynikające z posiadania torby nie były warte spotkania z potworami. Doskonale pamiętałam, że tylko zaskoczenie malujące się w oczach Bartare uratowało mnie przed brodawkowatą istotą podkradającą się do mnie od tyłu.

-Masz rację.

Szczelina jego ust rozciągnęła się w uśmiechu.

-Oby niebiosa zapamiętały te historyczne chwile: kobieta przyznaje, że się myli.

Teraz ja z kolei się rozesmiałam.

-Wcale nie! Nie powiedziałam, że się mylę, stwierdziłam jedynie, że ty masz rację.

-Wiec to w taki sposob uchylasz sie przed rozstrzygniciem sporu, Kildo? Coz, nawet to mnie zadowala. Nie zaluj torby z kamieniami. Moze uda mi sie zdobyc inna bron, lepsza, nie tak niepoleczna w uzyciu.

Wstal, napinajac miesnie grubych ramion. Bylo oczywiste, ze porusza sie z wiekszym ozywieniem niz wowczas, kiedy dotarlismy do zagajnika. Widzac to, poczulam sie pewniejsza.

Potem ruszyl skrajem polany, szukajac czegos wsrod zalegajacych na ziemi lisci, oproszonych tu i owdzie sniegiem spadajacych kwiatow.

Rozdzial szesnasty

Okrazywszy polane wrocil z nareczem patykow, opadlych galezi drzew. Potem sprawdzil ich wytrzymalosc, zginajac je. Kilka zlamaro sie, lecz trzy pozostaly cale. Dwie z nich byly grube jak moje dwa palce zlaczone razem, a trzecia, masywniejsza od tamtych, miala na jednym koncu sekate zgrubienie. Kosgro wyprobował te trzy galezie, zadajac nimi ciecia i sztychy, niby mieczami, jakie widywalam na holofilmach nagranych na prymitywnych swiatach.

-Nie jest to tak skuteczne jak laser - stwierdzil - ale w porownaniu z twoja torba z kamieniami stanowi pewien progres.

I zgial sie w pol, zwracajac sie w moja strone, co, gdyby nie jego zwierzece cialo, mogloby zostac poczytane za oficjalny uklon w wykonaniu jakiegos uprzejmego mezczyzny z planet wewnetrznych.

Galezie wydaly mi sie kruche i slabe, kiedy pomyslam, ze moga byc wykorzystane jako bron w walce z jakimis potworami. Ale - poniewaz pochodzily z notusa - mogly byc warte wiecej niz zwykle kije.

-Trzymasz je w rekach - zauwazylam. - Przedtem, kiedy probowales dotknac galezi...

-Tak! To prawda, ze notus nie sprawia mi juz klopotu. Jedzenie, to... - dotknal nowego opatrunku - ...to wszystko dobrze na mnie wplywa!

Nie zauwazylam w nim zadnych zewnetrznych zmian, takich, jakie zaszly we mnie, kiedy po raz pierwszy dotknelam notusa. Z drugiej strony jednak ten swiat nie oddzialywal na mnie tak dlugo i wszechstronnie, jak na niego.

-Mysle, ze ta i ta. - Odrzucil jedna z cienszych galezi, zatrzymujac dwie pozostale. - Jest jeszcze cos, co mozemy wyprobowac. Wrocil do drzew i zgarnal pare garsci zwiedlych, opadlych kwiatow. Znowu odnioslam wrazenie, przygladajac mu sie, gdy wracal z nimi do mnie, ze moze je trzymac bez zadnej szkody dla siebie.

-Wetrzymaj je w galezie - powiedział, siadając ze skrzyżowanymi nogami i wykorzystując połowę z tego, co przynosił, w tym właśnie celu, ja zaś zrobiłam to samo z drugim patykiem.

Kwiaty, gdy zgmiotłam je w rekach, zmieniły się w oleista papkę. Czulałam ich silny aromat, aż nadto słodki. Nie zwracałam jednak na to uwagi i pracowałam z zapalem, a drewno lapczywie wchłaniało te substancje. Biała kora zaczęła świecić fluorescencyjnym blaskiem, tak że kiedy strzepnelismy z rak resztki lepkiej mazi, mieliśmy nie tylko prymitywną broń, ale również swego rodzaju pochodnie.

Kosgro przeciał ze swistem powietrze swoją galezią i w odpowiedzi rozległ się krzyk Bartare, która do tej pory siedziała pogrążona w ponurym milczeniu; przestałam zwracać na nią uwagę sądząc, że lepiej będzie zostawić ją spokoju przez jakiś czas. Teraz cofała się skulona, choć cios nie spadł nigdzie w jej pobliżu. Nie wstała, lecz zaczęła wycofywać się na czworakach, z twarzą zwróconą w stronę Jortha, jak gdyby nawet na chwilę nie śmiała spuścić go z oczu.

-Oczywisty dowód skuteczności tej broni - zauważył. - Być może zdobyliśmy coś, co jest tak samo dobre jak lasery.'

-Nie!

Wyrzuciła ręce do góry, kiedy chciałam do niej podejść, zaniepokojona jej zwierzęcym przerażeniem. Zachowywała się tak, jakbym trzymała w ręce gotowy do użycia bicz. Poczulałam się zażenowana tym, że potrafię wzbudzić taki strach. Odrzuciłam gałązki i wyciągnęłam przed siebie puste dłonie.

-Zobacz, nie mam nic, Bartare. Nie musisz się bać.

Popatrzyła zza uniesionych w obronny sposób ramion, a potem opuściła je. Wielkie zielone oczy zdawały się niemal wypełniać jej drobna twarz. I właśnie w owej chwili uświadomiłam sobie, jak niewiele zmieniła się pod względem fizycznym.

Spojrzała na mnie ostrożnie, a ja powiedziałam:

-Nie chcemy cię skrzywdzić, Bartare. Dlaczego się boisz?

-Przeklęty! - krzyknęła niemal, robiąc gest, obejmujący nie tylko drzewa notusa rosnące wokół nas, ale też Kosgro i mnie. Przeklęty dla Ludu.

-Przez kogo? - ponagliłam ją.

-Przez tych, którzy dotarli tu przed Ludem. Lud przybył przez wrota niezbyt liczna gromada. Tamci dali Ludowi schronienie i pozwolili tu żyć. Oni nie wykorzystywali skarbów tego świata, nie chcieli przywoływać mocy i władcy nimi. Tymczasem Lud odkrył, iż potrafi to

robic. W koncu tamci zakazali Ludowi takich praktyk. Powiedzieli, ze wrota zostana otwarte i Lud bedzie musial odejsc przez nie do jakiegos innego swiata. Ale Lud nie chcial tego, poniewaz ilekroci czlonkowie Ludu odchodzili stad na jakikolwiek okres czasu, zaczynali starzec sie, tracic moc i w koncu umierali.

Doszlo wiec do wojny miedzy Ludem a tamtymi. I Lud zwyciezyl, bowiem wladal poteznymi mocami. Tamci, ci drudzy, mieli jednak swoje sposoby - zaintonowala, jak gdyby recytowala spiewnie jakas prastara sage lub na wpol zapomniana opowiesc - i nalozyli ograniczenia na moce. Choc wiekszosc z nich wykorzystala swoje wrota i odeszla, niektorzy postanowili zostac...

Kosgro uklakl przed Bartare, sluchajac tak, jakby jej slowa byly wazne dla nas wszystkich.

-Wiec oni wciaz sa tutaj, Bartare, ci sami, ktorzy toczyli wojne z Ludem?

Dziewczynka potrzasnela glowa.

-Tego nikt nie wie. Wiele miejsc otoczyli barierami, ktorych Lud nie umie przekroczyc. Caly czas obserwowano te miejsca, ale poniewaz od dawna nic nigdy stamtad nie wyszlo, Lud uwierzyl, ze tamci albo umarli, albo odeszli. Zostawili jednak notus. Tej rosliny Lud nie potrafi ani wyrwac, ani zniszczyc w jakikolwiek inny sposob. I notus jest zly! - Jej twarz wykrzywila sie w wyrazie obrzydzenia. - Rani, niszczy i sprawia, ze czlowiek traci moc i zapomina rytualow. Jest takim samym wrogiem jak Pomrocze. A teraz ty bierzesz go w swoje rece - i chcesz uzyc przeciwko Ludowi!

Zaczela plakac. Taki placz ma swe zrodlo w osamotnieniu ducha i w tak glebokim smutku, jakiego zadne dziecko nie powinno doswiadczac. Podeszlam do niej i wzielam ja w ramiona, przytulajac do siebie mlode, wstrzasane lkaniem cialo. Zwrocilam sie do niej tak kojacym tonem, na jaki potrafilam sie zdobyć.

-Bartare, nie uzyjemy tej broni przeciwko nikomu, z wyjatkiem tych, ktorzy nas zaatakuja. Sam Lud walczy z Pomrociami, prawda? My tez. Nie chcemy skrzywdzic mieszkancow tego swiata. Chcemy tylko, jak juz ci powiedzialam, wrocic bezpiecznie do wlasnego.

Zastanawialam sie, czy tak bardzo zatracila sie w swym nieszczęściu, ze nie potrafila mnie zrozumiec, a moze nawet uslyszec? W zaden sposob bowiem nie zareagowala na to, co powiedzialam. I wowczas zostalam zaskoczona przez Oomarka. Podeszedl do nas, niesmiato ujal reke Bartare spoczywajaca bezwladnie na moim kolanie, i scisnal ja w dloniach.

-Bartare - powiedzial - nie potrzebujesz nas, prawda? Ucieszysz sie, jesli odejdziemy. I Pani, tak naprawde, tez nas nie chce.

Wciagnela ze szlochciem powietrze i przekrecila glowe na moim ramieniu, zeby na niego spojrzec.

-Oni chcą wziąć ciebie... mnie... ze sobą!

-Oni przede wszystkim sami chcą wrócić - odparł. - A Pani... przecież potrafi ich zatrzymać, jeśli naprawdę będzie tego chciała.

Cos w tym wyrażonym przez niego powatpiwaniu podziałało na Bartare jak uklucie ostroga. Odsunęła się nieco.

-Ona chce mnie! - wybuchnęła; zauważyłam, że pominęła Oomarkę. - Nie pozwoli mi odejść! W porządku. - Znowu opanowana, co jednak nastąpiło zbyt szybko, by mogło być normalne, zwracała się teraz bardziej do Kosgro niż do mnie. - W porządku! Zaprowadzę was do wrot, jeśli zdołam je znaleźć, i sobie przez nie przejdziecie. A my będziemy zadowoleni, zadowoleni, zadowoleni! Za każdym razem, kiedy mówiła "zadowoleni", waliła pięścią w ziemię, jakby zadawała ciosy jakiemuś wrogowi.

-Jak to daleko stąd? - pragnął dowiedzieć się Kosgro.

Wzruszyła ramionami.

-Skąd mogę wiedzieć, jeśli znajduje się tutaj? Notus uniemożliwia wyczuwanie na odległość. Żeby odnaleźć wrota, muszę stąd odejść.

Ponownie więc mieliśmy polegać na przewodniku, któremu nie ufaliśmy, i to mi się nie podobało. Jeszcze mniej mogliśmy jej zawierzyć niż Oomarkowi. Zastanowiłam się, czy nie udałoby się go wykorzystać dla zapewnienia sobie kontroli nad Bartare.

Wreszcie, kiedy mgła się cofnęła, opuściliśmy zagajnik, choć nie mogłam znieść myśli, że stracę z oczu to sanktuarium. Nie zawróciliśmy w stronę miejsca, gdzie zginał robak, lecz obraliśmy trasę odbiegającą od niego pod pewnym kątem. Ponieważ nie istniał sposób umożliwiający sprawdzenie kierunków świata, nigdy nie wiedziałam, czy zdążamy na północ, wschód, południe czy zachód. Prawde mówiąc wciąż obawiałam się, że możemy błądzić, zataczając koła.

Bartare poprowadziła nas drogą wiodącą przez coś, co wyglądało na dolinę lub wąwoz. Z początku narzuciła ostre tempo. Myślałam, że pragnęła jak najszybciej oddalić się od notusa. Potem zatrzymała się, właśnie wtedy, kiedy przestał dochodzić do mnie jego zapach.

-Zostawcie mnie. Nie podchodźcie!

Dobrym gestem podkreśliła to polecenie, wspinając się na wierzchołek wysokiej skały. Tam stanęła z zamkniętymi oczami, a potem zaczęła się wolno obracać. Obróciła się tak trzy razy. Następnie uniosła rękę i trzymając ją wyciągniętą przed siebie, zaczęła obracać się po raz czwarty.

W pewnej chwili jej ręka wyprężyła się i znieruchomiała. Wówczas otworzyła oczy i skinęła

na nas druga reka.

-W tamta strone.

Najwyrazniej byla tego pewna. Nie wiedzielismy, czy droga prowadzi nas do wrot, czy tez moze do jakiejś twierdzy Ludu, gdzie zostaniemy pojmani. Mialam tylko nadzieje, ze rozumowanie Oomarka przekonalo ja.

Jeszcze raz wyszlismy ze skal na szerokie polacie porosnietej darnia rowniny, poznaczonej ciemniejszymi kregami. I wkrótce natknelismy sie na gaszcz krzakow z zoltymi jagodami. Bartare popedzila naprzod, zrywajac jagody i pozerajac je chciwie. Oomark ruszyl za nia, a potem przystanal. Lecz kiedy w koncu podjal decyzje i dolaczyl do siostry, zauwazylam, ze nie ucztowal z taka radoscia, jaka okazywal wczesniej przy takich okazjach. Zerwal tylko garsc jagod i jadal je wolno.

Wreszcie Bartare byla zadowolona i gdy podeszla do nas, jej usmiech kryl w sobie wiele z dawnego, chytrego zuchwalstwa. Szybko dochodzila do siebie po zalamaniu, jakie przezyla w zagajniku.

-To bardzo zle, ze nie chcesz jesc pozywienia Ludu - zauwazyla. - Dlaczego chcesz byc Pomiedzy, Kildo? Czy dlatego, ze boisz sie zmiany?

-Boje sie, ze przestane byc soba, Kilda c'Rhyn - powiedzialam.

-Jak gdyby Kilda c'Rhyn byla czymś naprawde waznym!

-Dla mnie jest Urodzilam sie taka, i taka chce pozostac.

-Jednak uwazasz mnie za dziecko! A ja posiadam madrosc, jakiej ty nigdy nie zdobedziesz. Jestes jak ktos, kto zerwal Sloneczne Jablko i zjadal sama skorke, wyrzucajac caly miazsz.

-Zdarza sie, ze ktos ma nadmiar wiedzy szkodliwej dla niego - odparlam. Z jakiegos powodu Bartare chciala mnie sprowokowac. O ile w zagajniku sklonna byla nas sluchac, teraz gore wziala jej dawna arogancka osobowosc. I to mnie zaniepokoil, bowiem w takim stanie ducha bez zadnych oporow mogla zaprowadzic nas prosto w pulapke.

-Ty!- Obrocila sie w strone Kosgro. - Czy bycie Pomiedzy to dobre zycie? Ty tez chcesz byc soba? A czy teraz jestes soba?

-Przypuszczam, ze mi to powiesz- odparowal. - Mowisz, ze nalezysz do Ludu, a ja jestem Pomiedzy. Czy nie stalem sie przez to niegodnym twej uwagi?

Mowiac, machnal od niechcenia galezia notusa, a ona to spostrzegla i natychmiast stracila nieco ze swej pewnoscii siebie.

Nie odpowiedziała mu wprost, zwróciła się raczej do nas wszystkich:

-Wasze wrota leżą przed wami. Chodźcie więc, jeśli chcecie je znaleźć.

Ruszyła dalej, a my podążyliśmy za nią. Ale dreczące ranie złe przeczucia z każdym krokiem stawały się coraz silniejsze.

Zielona darn ślala się jak dywan pod naszymi stopami. Sandały z opadłych liści były wygodniejsze od bandazy. Czulałam się tak, jakbym maszerowała po poduszkach.

W końcu doszliśmy do kopca, wyższego od wszystkich, jakie dotychczas widziałam, grąbo porośniętego darnią. Na zwróconym ku nam zboczniu zielen została wycięta. Na szarym podłożu widniał symbol wyższy od człowieka. Trudno go było przeoczyć na tle zieleni.

Bartare zatrzymała się u podnoża kopca, unosząc wzrok na symbol. Potem odwróciła się do nas z triumfalnym uśmiechem na ustach.

-Obiecałam przyprowadzić was do wrot i zrobiłam to. Ale otwarcie ich to zupełnie inna sprawa, a ja nie potrafię tego zrobić. No i jak sobie teraz poradzicie?

Kosgro, który stał kawalek za nią, również badał wzrokiem symbol. Pomyslałam, że jego znaczenie nie jest dlań obce. A jednak Bartare miała rację, drwiąc z naszej bezradności. Znajdowaliśmy się w zasięgu mocy umożliwiającej nam powrót do normalnego świata Dylana i nic z tego dla nas nie wynikało. Wszystkie nasze wysiłki mogły okazać się niepotrzebne.

-Co... - zaczęłam, lecz w tej właśnie chwili Kosgro machnięciem ręki nakazał mi milczenie. W jego postawie było coś, co wskazywało na rosnące podniecenie. Czyżby dostrzegł jakiś sposób umożliwiający rozwiązanie naszej sytuacji?

Kosgro unosił gałąz notusa i wycelował jej koniec w magiczny znak. Bartare krzyknęła i chciała skoczyć na niego, wyciągając rękę, żeby mu przeszkodzić. Wtedy ja wysunęłam swój patyk, zagradzając jej drogę jak bariera. Upadła na plecy, z wykrzywioną konwulsyjnie twarzą, belkocząc jakieś słowa, których nie potrafiłam zrozumieć.

Kosgro poruszył się znowu. Koncem gałązi notusa nakreślił w powietrzu - dosłownie - kontury symbolu. Gałąz zostawiła bowiem za sobą lśniące smugi, odwzorowując w pomniejszeniu kształt widniejący na kopcu. Choć Jorth opuścił ją, owy lśniący kształt unoszący się w powietrzu pozostał.

Potem unosił gałąz znowu, trzymając ją jak ktoś, kto chce rzucić włócznią. Wykrzyczał głośno dwa słowa i cisnął patyk przez zawieszony w powietrzu symbol. Gałąz smignęła i wbiła się, drząc, w sam środek wyciętego na kopcu kształtu.

Słowa, które Kosgro wykrzyczał, odbijały się wciąż i wciąż tak silnym echem, jakiego nigdy

przedtem nie slyszalam, az w koncu poszczegolne dzwieki zlaly sie w ogluszajacy huk gromu. Z drzacej galezi wbitej w kopiec wystrzelila oslepiajaca kolumna bialego ognia.

Dzwieki ucichly. Bartare lezala zwinieta w klebek na ziemi, oslaniajac rekami glowe. Obok niej kulil sie Oomark. Kosgro stal wyprostowany, zwocony twarza do ognia, ktory w tak niesamowity sposob rozniecil, a ja stalam ramie w ramie z nim.

Pragnelam zapytac, co zrobil. Czy posiadal "moc", czy tez cokolwiek innego, co bylo potrzebne, zeby otworzyc wrota? Jednak widzac, z jakim skupieniem wpatruje sie w ogien, nie osmielilam sie odezwac.

Nie otworzily sie zadne wrota. Zamiast tego, wraz z kolejnym gromem, cos pojawilo sie pomiedzy nami a ta buchajaca plomieniami galezia. Kosgro wyciagnal reke, choc nawet na mnie nie spojrzal, i wzial ode mnie moja galaz notusa. Opuscil nieco jej koniec, lecz trzymal ja tak, jak kazdy mezczyzna dzierzylby swoja bron.

Wirujace swiatlo okrzeplo. Po raz wtory znalezlismy sie przed kobieta, ktora towarzyszyła Bartare w miescie. Nie poruszyla sie ani nie uczynila zadnego gestu, tylko przygladala sie nam z beznamietnym wyrazem swej pieknej twarzy.

To prawda, ze byla piekna. I mysle, ze sprawialo jej rozkosz wykorzystywanie swej urody jako broni. Lecz zawiodla sie, jesli sadzila, ze pobije nia Kosgro.

-Melusa - powital ja rzesko, jak ktos, kto czeka na rozpoczecie targu i nie chce marnowac czasu.

-To jedno z moich imion - odparla; jej slowa, choc ciche, rozbrzmiewaly tak wyraznie, jak dzwiek rogu mrocznego lowcy. I tak samo mrozily krew w zylach. Moze i nalezala do Ludu, lecz nam ukazala oblicze Mroku.

-Czego sobie zyczysz? - Przeszla do rzeczy tak samo bezposrednio jak on.

-Chce, by wrota zostaly otwarte.

Ledwie dostrzegalny cien usmiechu wykrzywil te zbyt doskonale usta.

-Ach, czlowieczku, gdybys wiedzial, o co prosisz, nie zadalbys tego ode mnie.

-Prosze o mozliwosc powrotu dla siebie i dla tych, ktorzy nie naleza do tego swiata. To nie jest odpowiednie miejsce dla nas. Pozwol nam odejsc.

-Co zrobisz, jesli odmowie?

Sprawiala wrazenie dziecka, rozbawionego natretnymi prosbami.

-Uzyje tego. - Uniosl odrobine galaz notusa. - I tego...

Domysliłam się, czego sobie życzył, i potrzaskałam ukwieconą galazką, trzymana w ręce.

-Używasz czegoś, czego nie rozumiesz, być może w celu, jakiego wcale nie chciałbyś osiągnąć. Nie jesteś adeptem, nie należysz nawet do Ludu. To, czym tak pochopnie zawiadnałeś, jeszcze szybciej jest w stanie cię zniszczyć.

-Jak dotąd służyło nam dobrze. Myślę, że to ty najbardziej powiniś się tego obawiać. Prosimy cię tylko o jedno: byś otworzyła drzwi, nie jesteśmy bowiem z tej samej gliny co ty,

-Jedno z was jest. - Jej głos zabrzmiał odrobinę ostrzej. - Odszukaliśmy ją i uformowaliśmy dla naszych celów. Nie będziemy targować się o to, co do nas należy.

-Do was? Jednak nie mogła wystąpić przeciwko nam, gdy rozkazałaś, by zademonstrowała swoją moc. Ukształtowałaś ją, a jednak kiedy wystawiłaś na próbę, nie zdała jej. Spójrz na nią! Czy sercem należy do was?

-Melusa!

Bartare poderwała się na nogi. Minęła nas i zaczęła wspinać się na pagórek z wyciągniętymi ramionami, jak gdyby chcąc objąć czekającą tam kobietę. Lecz Melusa nie odpowiedziała żadnym gestem.

-To wszystko, czego chcesz? - zwróciła się do Kosgro nad głową dziewczynki.

-Tak. I nie próbuj żadnych sztuczek, bo z twoich oczu widac, że o tym myślisz.

-Melusa!

Bartare krzyczała jak ktoś ogarnięty bólem. Próbowła dosięgnąć kobiety. Zamachnęła się i uderzyła pięściami w coś, co sprawiało wrażenie niewidzialnej ściany, wznoszącej się pomiędzy nimi.

-Gdyby naprawdę była twoją krewną, czy nie potrafiłaby przedostać się przez te bariery? - ciągnął Kosgro. - Wzniosłaś ją, by chronić cię przed wszelkimi możliwymi niebezpieczeństwami. Dlaczego więc powstrzymuje kogoś, kogo nazywasz "corka"?

-Melusa!

Bartare wykrzykiwała to imię. Osunęła się na kolana, lecz wciąż waliła pięściami w ścianę, której nie widzieliśmy, oddzielającą ją od kobiety.

-Spierasz się, używając języka weza! - wybuchnęła kobieta.

Po raz pierwszy zobaczyłam, jak traci panowanie nad sobą.

-Nie spieram się, tylko stwierdzam oczywiste dla wszystkich fakty. Bartare nie zdradziła

was, ale wydaje się, że ty lub twój lud wyrzekliście się tej dziewczyny. Czy bariera nie przepuściłaby jej, gdyby naprawdę do was należała?

-Była jedna z naszych wybranych, od dawna szkolona i wyczekiwana. - Melusa spojrzała na dziewczynkę, nie mogącą do niej dołączyć. - Dlaczego bariera miałaby ją odrzucać? - Wyciągnęła rękę ku Bartare, która uniosła głowę, wpatrując się w nią w niemym błaganiu pełnymi łez oczami.

Zapadła długa chwila ciszy, przerywanej jedynie szlochem Bartare. Potem Melusa odezwała się znowu:

-Nie wiem dlaczego ani jak. Wydaje się jednak, że nie jest jedna z nas. Ty to zrobiłeś, zatem...

Otoczała ją taka aura zła, że jeszcze mocniej scisnęłam gałazkę notusa.

Ponownie wyciągnęła rękę, tym razem w stronę Kosgro. Z koniuszków jej długich palców wystrzelił promień zielonego światła. Ale Kosgro poruszył się równie szybko jak ona i zasłonił się gałazką notusa, która odbiła gorejąca smugę tak, jak lustro odbija padające na nie światło. Odchylony promień trafił w ziemię, zmieniając ją w szybko powiększającą się czarną plamę spaleniżny. W powietrzu uniosła się smuzka dymu.

Teraz kobieta wyciągnęła rękę w moją stronę. Ja jednak przewidziałam jej następny ruch i trzymałam gałazkę w pogotowiu. Poczulałam gorąco wydzielane przez skierowany ku mnie promień, bowiem nie potrafiłam zatrzymać go w tak dużej odległości od siebie jak Kosgro. Mój towarzysz okrecił się na piecie, uderzył gałazką w promień powstrzymywany moją kruchą tarczą, i jeszcze raz odchylił go.

-Sama widzisz - jego głos brzmiał spokojnie i pewnie - że nie można nas ujarzmić. Wiem, że Lud nie należy do tych, którzy toczą beznadziejną walkę, choć nie mają szans na wygraną. Pozwól nam odejść, bo inaczej wciąż będziemy stanowić zarzewie konfliktu. Twojemu światu niepotrzebne są takie problemy. Kto wie, co może się stać, jeśli otworzycie wrota, by przyjąć nowo zwerbowanych, a my na dobre tu pozostaniemy? Podobne przyciąga podobne. Możemy przeciągnąć na naszą stronę tych, którzy odpowiedzieli na wasze wezwanie. Czy nie zepsuje wam to planów i zamierzeń?

Nie wiedziałam, które z tych groźb były realne. Ale Melusa pewnie też nie wiedziała. Jednakże poddała nas jeszcze jednej próbie. Tym razem wyciągnęła ramiona do Bartare i zawołała łagodnym i pełnym czaru głosem:

-Bartare, chodź do mnie!

Dziewczynka dobyteła z siebie resztkę sił, rzucając się na niewidzialną barierę, dopóki nie osunęła się na ziemię, wciąż słabo uderzając w przeszkodę posiniaczonymi rękami. Jednak ściana nadal tam była. Wreszcie Melusa opuściła ramiona i zwróciła się do Kosgro:

-Jesli bariera powstrzymuje Bartare, oznacza to, ze dziewczynka jest dla nas bezuzyteczna. Wydaje sie, ze w jakis sposob przekupiliscie ja. Dlatego tez nalezy teraz do was. Prosiliscie o wrota - doskonale, bedziecie je mieli...

-Nie. - Kosgro przerwal jej stanowczym tonem. - Nie prosilem o jakies wrota. Prosilem o nasze wrota - te, ktorymi wszedlem tutaj ja, i te, przez ktore przeszli pozostali. Nie chcemy znalezc sie na jakims kolejnym obcym swiecie, lecz na naszych wlasnych swiatach, skad zostalismy tutaj sciagnieci.

W jaki sposob mogl ja do tego zmusic? Wygladalo na to, iz nawet teraz grozilo nam, ze zostaniemy oszukani. Zastanowilam sie, jakie srodki bezpieczenstwa mogliśmy zastosowac, by uchronic sie przed zdrada.

-Wasze wlasne wrota? Doskonale. - Ow cien usmiechu, ktorego tak nie lubilam, stal sie wyrazniejszy, co jeszcze mniej mi sie podobalo, bowiem przydawal jej pieknu zlowrozbnej aury. - Otrzymasz to, o co prosisz, choc moze sie okazac, ze niewiele na tym skorzystasz, i ze nawet bycie Pomiedzy stanowilo lepszy los.

-Przysiegiesz na Siedem Imion - na Archerona, na Balafinara, na...

Na jej twarzy odmalowala sie groza. Uniosla reke, jak gdyby chciala rzucic jakis, zly urok.

-Nie kalaj tych mocy swoim plugawym jezykiem! Jesteś samym brudem, ohyda, czymś gorszym niz nic! Tacy jak ty nie maja prawa odwoływac sie do nich! Sprofanowales wielkie moce i zasluzyles...

Przerwal jej, unoszac galaz.

-Jestem brudem, ohyda, i mimo to nie boje sie wymienic tych przekletych imion? Czyniac to, nie zostalem ani zniszczony, ani upokorzony, poniewaz mam cos, co posiada wieksza moc. Poznalem niektore z waszych tajemnic, Meluso. I dzieki nim wiem, co zrobic, by zmusic cie do spelnienia moich rozkazow. Przeto mowie ci: przysiegnij na te imiona, ze umozliwisz nam powrot do naszych macierzystych swiatow.

Opanowala sie juz, lecz nienawisc plonela czerwienia w jej oczach.

-Nie potrafie sprawic, byscie znalezli sie z powrotem w tych swiatach. Moge tylko otworzyc wrota. Przejscie przez nie nalezy do was.

-Niech tak bedzie. Lecz najpierw przysiegnij.

I przysiegla. Choc wypowiedane przez nia imiona brzmialy dla mnie niewyraznie, wydawalo sie, ze Kosgro jest zadowolony. Kiedy skonczyla, skinal glowa.

-Doskonale. A teraz wrota, Meluso.

Wyciągnęłam rękę do Oomarka. Ujął ją i scisnął mocno. Potem podeszłam do Bartare. Próbowła odsunąć się ode mnie, ale była tak wyczerpana, że nie miała siły, by mi się wyrwać. Chciałam, aby nasza trójka razem wróciła do świata, do którego należeliśmy.

Potem spojrzałam na Kosgro. Teraz, kiedy nadszedł czas rozstania, czułam się oszłamiona i nieszczęśliwa. Tyle jeszcze chciałam powiedzieć, lecz nie było już na to czasu. Nagle uświadomiłam sobie, że nie chcę odchodzić bez niego. Jednak on właśnie o to prosił i musiałam pogodzić się z jego wyborem.

Kosgro wciąż obserwował Meluse.

-Jesteśmy gotowi, Pani.

-Idźcie więc i przyjmijcie ze spokojem to, co was spotka! - zawołała. Tupnęła nogą. Darnyękła i błyskawicznie powiększająca się szczelina jak gdyby rozdarła kopiec, tworząc ciemny luk bramy.

-W drogę! - powiedział Kosgro, a ja pomyślałam, że słysze to po raz ostatni. Pomaszerowałam w ciemność. Niechętnie podążyłam za nim, ciągnąc za sobą dzieci.

Rozdział siedemnasty

Ogarnęła nas ciemność, która była również ruchem. Wydawało mi się, że wiruje to w tę, to w tamtą stronę. Przestałam czuć własne ciało, nie wiedziałam, czy wciąż trzymam dzieci, czy może stałam się zdżbłem trawy unoszonym przez jakiś huragan. Potem mrok znieruchomiał, a mnie ogarnął spokój. To zadowolenie nie trwało długo. Coś mi dokuczało, ponaglając do wysiłku. Nie mogłam się, przed tym uwolnić, więc otworzyłam oczy.

Nie otaczała mnie już ciemność. Czułam na sobie ciepłe, gorące promienie słońca, plonącego tak jasno, że zaczęłam mrugać na wpół oslepiona. Ujrzałam zwykle, normalne słońce, którego tak mi brakowało w tamtym świecie wiecznej mgły.

Usiadłam i rozejrzałam się wokół, by się upewnić, że znalazłam się w miejscu podobnym do tego, w jakim się urodziłam. Zobaczyłam łache piasku, na której leżałam, a dalej czerwone skały przemieszane z szarymi. Ich widok poruszył wspomnienia, poczułam ukłucie strachu. Czerwone skały?... Miałam powody, żeby się ich bać.

Nie dalej niż na wyciągnięcie ręki leżało małe ciało. Miało na sobie tylko strzępy spodni, ale to był człowiek! Żadnych rogów na czole, a nagie stopy nie wyglądały jak kopyta! Odetchnęłam z ulgą. Oomark stał się znowu zwykłym chłopcem, a nie odmiencem, jakim uczynił go tamten świat.

Oomark... A gdzie była Bartare? Czyżby umknęła mi podczas przejścia i pozostała w zielonej kramie? Rozejrzałam się wokół. Nie leżała tam, z chudymi, bladymi nogami i ramionami rozrzuconymi tak, jakby nie upadła łagodnie, lecz została niedbale upuszczona;

zabawka, która jakieś olbrzymie dziecko nie chciało się już więcej bawić.

To do niej podpełzłam najpierw, przewracając ją na plecy i biorąc na ręce. W tych pierwszych chwilach ogarnął mnie strach, że nie spi, że już opuściła nas na zawsze. Powieki miała mocno zacisnięte pod czarną krechę brwi, twarz blada, jak gdyby przeszła jakaś długa i wyniszczająca choroba. Oddychała jednak równo i lekko, jak człowiek pogrążony w normalnym śnie.

-Bartare! - zawołałam cicho, układając jej głowę na moim ramieniu. - Bartare!

Poruszyła się. Z jej ust wydobyły się słowa zbyt ciche, bym mogła je usłyszeć. Wreszcie uniosła powieki i spojrzała prosto w moją twarz. W pierwszej chwili nie dostrzegłam w tych oczach zrozumienia, tylko oszłomienie. Potem wróciła pamięć, na jej twarzy pojawił się bowiem wyraz takiego osamotnienia, jakiego -jak sądziłam- żadne dziecko nie mogło odczuwać. Później zaczęła płakać. Nie było to jednak głośne, buntownicze łkanie, lecz cichy płacz wyrażający głęboki smutek. Łzy spływały jej po policzkach, usta poruszały się, jednak nie wydostawał się z nich żaden dźwięk. Ten widok wzbudził we mnie współczucie. Przytulilam ją mocniej, kolysząc i nucąc coś z ustami zanurzonymi w potarganych włosach, starając się dać jej tyle pociechy, ile mogła ode mnie przyjąć.

-Kilda?

Oomark usiadł i spojrzał na nas. Na jego twarzy malował się strach. Popelztał przez piasek i kamienie do mego boku, a potem objął mnie i swoją siostrę, wtulając się w nas mocno. Pewnie byliśmy dla niego jednym bezpiecznym miejscem w całym wrogim świecie. Uniosłam ramię i objełam go również, tuląc do siebie oboje.

-Wszystko w porządku - powtarzałam bez końca, jakbym recytowała jakiś wiersz. - Wszystko w porządku. Wróciliśmy.

Byliśmy w miejscu, gdzie zaczęła się nasza przygoda, w korycie wyschniętej rzeki, usłanym śpiewającymi skalami, które otworzyły wrota do innego świata. Jak długo nas nie było? Zupełnie straciłam poczucie czasu. Mogłam tylko przypuszczać, że to kwestia dni, i że z pewnością szukano nas. Najpewniej szukający wciąż znajdowali się gdzieś w okolicy i mogłabym ich odnaleźć. Całe ciało bolało mnie ze zmęczenia, jakiego nie doświadczyłam nigdy przedtem. Spojrzałam na stopy, obute w prymitywne sandały... Galazka... Dopiero teraz przypomniałam sobie o galazce notusa i sięgnęłam do pasa, gdzie ją wsadziłam, zanim podałam ręce dzieciom pod kopcem oznaczonym symbolem. Lecz galazka zniknęła. Stwierdziłam też, że moje stopy są takie same jak dawniej, mają normalne palce. Zatem znowu byłam w pełni człowiekiem, tak samo jak Oomark.

-Jestem głodny, zimno mi. Chcę wracać do domu! - zapłakał Oomark.

-Wrócimy, och, wrócimy. Bartare, kochanie, jak myślisz, zdołasz utrzymać się na nogach? Gdybysmy dotarli do stacji strażników, szybko znaleźlibysmy się w domu.

-Ja bylam w domu... Zabralas mnie stamtad.

Jej glos byl cichy, zalamany, zalosny. Zaczela odsuwac sie ode mnie.

-Chce do domu! Zaraz! Prosze, Kildo, ja chce do domu!

Oomark wstal i pociagnal mnie za reke.

Podnioslam sie, badajac wzrokiem doline i niebo nad nia, w nadziei, ze dostrzeze tych, ktorzy nas szukaja, co zaoszczedziloby nam pieszej wedrowki do stacji. Moje ciało sprzeciwialo sie bowiem kazdemu ruchowi, jak po jakimś ciezkiem wysilku.

Nikogo jednak nie wypatrzyłam. Tak jakbysmy znalezi sie na nie zamieszkanym swiecie. Kosgro... Na jakiej planecie sie ocknal? Czy wrocil do swego statku i polecial ku nowym odkryciom, traktujac przejscia w zasnutej mgla krainie jako kolejny incydent w swym pelnym przygod zyciu? Czy bedzie probowal za pomoca jakiegos oficjalnego kanalu odszukac nas i dowiedziec sie, co sie z nami stalo? I czyja moglabym zrobic to samo, jesli chodzi o niego? Ale odsunelam od siebie te mysl. Teraz najwazniejszy stal sie powrot do stacji, a potem do Tamlinu.

Bartare nie protestowala. Wydawala sie pogodzona z mysla, ze nigdy juz nie wroci do tamtego swiata. Mimo to jej cichy, zalosny placz nie ustawal. Co jakis czas przykladala rece do policzkow, ocierajac lzy.

Wdrapalismy sie na szczyt urwiska bedacego brzegiem dawno wyschnietej rzeki, kiedy uswiadomilam sobie, ze powrot do stacji okaze sie zapewne trudniejszy niz przypuszczalam. Moje ciało opieralo sie kazdemu nowemu wysilkowi, jakiego od niego wymagalam, a dzieci wciaz zostawaly z tylu. Nie mialam sil, zeby je niesc. Oparlismy sie o jakies skaly, zeby odpoczac, ja zas kolejny raz przebieglam wzrokiem po niebie i okolicy, szukajac sladu zycia.

-Kildo! Tam ktos sie zbliza! - zawolal Oomark, pokazujac nie na niebo, lecz na gaszcz porzeczanych skal. To nie byl szukajacy nas straznik. Zblizala sie do nas jakas postac, przystajac czesto, z jedna lub druga reka oparta na najblizszym glazie; najwidoczniej potrzebowala wsparcia. Zaczelam machac rekami i krzyknelam:

-Tutaj! Tutaj jestesmy!

Zobaczylam, jak ten ktos potwierdzil gestem, ze mnie uslyszal, a potem skierowal sie wolno w nasza strone. Musial byc chory lub ranny, skoro dotarcie do nas wymagaloby takiego wysilku.

Kiedy zblizil sie, zobaczylam, ze jest to mlody mezczyzna, i ze nie ma na sobie munduru straznika. Odziany byl w postrzepione resztki spodni, a piers opasywal bandaz. Skore rak i twarzy mial spalona na braz, jak ludzie, ktorzy czesto przebywaja na pokladach statkow

kosmicznych, ale mniej wyeksponowane części ciała były kremowobiałe. Nie nosił brody. Ciemnorude włosy miał przycięte bardzo krótko, jak ściernisko pokrywające czaszkę. Z twarzy, zapadniętej i wynędzniałej, sterczały kości, opięte ciemnobrunatną skórą. Najwyraźniej nie był w lepszym stanie niż my.

Moja uwagę skupiły bandaży - stałam bez ruchu, ledwie oddychając. Czy to możliwe?... Przecież Melusa przysięgła, że umożliwi nam powrót do naszych własnych światów. Skąd tutaj wziąłby się Kosgro? Wylądował gdzieś na nie zamieszkałej planecie, a potem przez przypadek przeszedł przez wrota. A tu był Dylan, świat znany i zamieszkały od ponad stu lat.

Zrobiłam krok czy dwa w jego stronę i zapytałam:

-Jorth Kosgro?

Przystanął, lewa ręka trzymając się skały, a prawa przecierając oczy, jak gdyby wątpił w to, co widzi.

-Złamała jednak przysięgę - powiedział. - Posłała was za mną.

-Nie! Stało się właśnie na odwrot! - Choc Melusa, rozmyślnie czy nie, zdradziła go, cieszyłam się z tego, mimo iż wiedziałam, co to dla mnie znaczy. - Znajdujesz się na Dylanie, posłała cie razem z nami! Wytrzeszczył na mnie oczy.

-To jest - powiedział wolno, starannie oddzielając słowa, tak jakbym to zrobiła, gdybym starała się zwrócić na coś uwagę roztrzępanego dziecka - planeta, na której wylądowałem. Nie ma jej na żadnej z map. Ja ją odkryłem.

-To jest Dylan! - sprzeciwiłam się. - A to droga, którą przyszlismy... Machnęłam ręką w stronę niewidocznej stacji. - Tuż za tymi grzbietami jest stacja strażników leśnych. Teraz powinni być gdzieś tutaj, szukając nas. Stąd już tylko krótki lot śmigaczem do Tamlinu, portu kosmicznego.

Spoczywająca na skale dłoń zwiłała w piasek, i walnąła w głaz.

-Mówię ci, wylądowałem na nieznanym świecie. Nie przesłałem jeszcze raportu... Mogę zaprowadzić cie do mojego statku... Udowodnie to...

Bredzi w malignie, oczywiście, wszystko z powodu tej rany, pomyślałam. Przyjrzałam się bandażom, które zakładałam. Nie zauważyłam na nich świeżych plam. Nawet jeśli rana się nie otworzyła, to i tak musiał być skrajnie wyczerpany. Mielismy bardzo mało jedzenia. I im szybciej znajdziemy się w stacji, tym szybciej otrzymamy właściwą opiekę.

-Chodźmy! - Oomark podbiegł do Kosgro i chwycił go za rękę. - Proszę, jesteśmy tacy głodni. Do stacji nie jest daleko, naprawdę. A tam dadzą nam coś do jedzenia.

Kosgro spojrzal na drobna twarz chlopca.

-Gdzie to jest? - zapytal takim tonem, jak gdyby uwazal odpowiedz za niezmiernie wazna.

-Coz, nie wiem dokladnie gdzie - zaczal Oomark ku mojemu przerazeniu. Jego wahanie moglo tylko utwierdzic Kosgro w zludnym przeswiadczeniu, ze ma racje. - Ale nie jestesmy zbyt daleko od Doliny Lugraanow i parkingu smigaczy. Gentlehomo Largrace zabral nasza klase na wycieczke. Kilda i Bartare przyjechaly razem z innymi rodzinami na piknik. Mielismy obserwowac lugraany i napisac o tym raport. Straznicy powiedzieli nam, zebyśmy trzymali sie razem i nie oddalali sie. Zaloze sie, ze beda okropnie zli, kiedy nas znajda. Kilda, czy beda az tak wsciekli, ze powiedza wszystko komendantowi i kaza mu ukarac nas?

Oomark wygladal na zaleknionego tym, co moze go spotkac.

-Mysle, ze kiedy komendant Piscov uslyszy cala historie, zrozumie nas - zapewniam go pospiesznie.

Kosgro przenosil wzrok ze mnie na Oomarka i z powrotem. Na jego ciemnej twarzy malowal sie wyraz oszolomienia. Lecz kiedy Oomark znowu pociagnal go za reke, ruszyl za nim.

-Chce zobaczyc te stacje straznikow, ten parking smigaczy. Pokazcie mi to!

Poruszalismy sie bardzo wolno po nierownym podlozu. Bylam zaniepokojona, i to bardzo. Fakt, ze nie natknelismy sie na szukajacych nas, nie dawal mi spokoju. Straznicy musieli miec w jednym z wyzej polozonych miejsc jakis punkt obserwacyjny, wyposazony w teleskopy, dla kontroli patrolowanego obszaru. Jednak, z wyjatkiem paru latajacych stworzen, nie napotkalismy nikogo, i ten swiat wydawal sie byc nie zamieszkanym przez ludzi, tak jak utrzymywal to Kosgro.

Ze szczytu zbocza, na ktore weszliśmy, spojrzalismy w dol na droge wiodaca od skalnych wystepow nad Dolina Lugraanow do parkingu smigaczy. Widok tej noszacej slady czestego uzywania drogi z pewnoscia od razu przekona Kosgro, pomyslam.

Nie dostrzegliśmy tam jednak niczego poza paroma znakami wskazujacymi na to, ze ongi rzeczywiscie biegla tamtedy droga. Nie pomylilam sie - to bylo miejsce, gdzie Bartare i jej brat odlaczyli sie od grupy. Ja tez ruszylam stamtad za nimi. Niedaleko stad, na skale, zostawilam rejestrator Lazka Volka. Ale nie tylko zniknelo jego pudlo; skaly - gdy rozejrzalam sie za nia - rowniez nie bylo.

-Kildo, gdzie jest droga? Co stalo sie z droga? - zawolal Oomark.

-Wlasnie, gdzie jest droga? - zapytal triumfujaco Kosgro, jak gdyby wlasnie dowiodl, ze to on mial racje. Ale ja zaobserwowalam zbyt wiele sladow, bym mogla to potraktowac jako pomylke. I jesli patrzylo sie wystarczajaco uwaznie, mozna bylo zobaczyc pozostalosci po

drodze.

-Droga biegła tamtędy. Wciąż jest częściowo widoczna! Tam! Tam! Tam!

Dzgałam palcem, wskazując właściwe miejsca. Nadal nie mogłam pogodzić się z tym, że dobrze oznaczona droga zmieniła się w coś takiego.

-Chcę wrócić do domu, proszę, Kildo!

W głosie Oomarka brzmiał strach.

-Zejdziemy do lądowiska smigaczy. - Wzięłam go za rękę. Tędy.

Smiało zsunęłam się ku tej ledwie widocznej, wykutej w skałę drodze, która powinna doprowadzić nas do cywilizacji. Już niedaleko. ... jeszcze tylko dwa zakrety...

Bolały mnie stopy. Kamienie, tak odmienne od miękkiej darni szarego świata, raziły mi nogi przez cienkie sandały. Kustykałam jednak dalej.

Lądowisko smigaczy - tak, znowu tylko szczątki! Żaden pojazd nie stał na spekanej płaszczyźnie; krawędź ziała szczerbami tam, gdzie oberwały się jej fragmenty. Lądowisko nie było używane, nie widziałam też śladów wskazujących na to, że próbowano je naprawiać. Jak mogło do tego dojść w ciągu zaledwie kilku dni? Wszystko sprawiało wrażenie, jak gdyby od lat nikt tutaj nie przebywał.

Ze stacji strażników zostały tylko mury. Dach zapadł się do środka. Budynek najwyraźniej opuszczono, i to już dawno temu. Zdaje się, że krzyknęłam, nie mogąc w to uwierzyć, a równocześnie miałam świadomość, że to nie sen. Było to tak realne, jak owiewający mnie wiatr, jak kamienie ocierające mi stopy.

Ciepła dłoń wsunęła się pod mój łokieć, żeby mnie podtrzymać. Chwyciłam Jortha Kosgro, przywarłam do niego, tak jak Oomark i Bartare tulili się do mnie.

-Proszę! - Mój głos też brzmiał cicho i lekliwie. - Och, co tu się stało? To... to było lądowisko, a to stacja. Pamiętam przecież dokładnie!

-Istnieje tylko jedno wyjaśnienie. Trudno mi w nie uwierzyć, ale masz rację. Kiedyś było tu dokładnie tak, jak mówisz.

-Zatem co się stało, co zaszło, że wszystko się zmieniło? Nasza nieobecność trwała najwyżej kilka dni...

Czułam jego rękę na moich barkach i bliskość tego ciepła i siły działała na mnie uspokajająco. Zadrzałam mimowolnie i odniosłam wrażenie, że już nigdy nie zdolam się rozgrzać.

-Istnieją pewne opowieści ze starej Terry, mówiące o podrzutkach i świecie Ludu. Nie zastanawiałem się nad nimi przedtem. Teraz wydaje mi się, że to musi być prawda...

-Co... co masz na myśli?

-To, że część z tych, którzy odeszli lub zostali ściagnięci do szarej krainy, wróciła po jakimś czasie. Czas ten wydawał im się dniem, miesiącem albo rokiem. Lecz kiedy znówu znaleźli się u siebie, odkrywali, że minęły całe lata lub stulecia...

-Nie!

Wydawało mi się to zupełnie bezsensowne. Zamknęłam oczy, by odciąć się od otaczającego mnie obrazu spustoszenia, by nie myśleć, że to rzeczywiście dzieło czasu, i że straciliśmy całe lata, kiedy nas nie było.

Potem Kosgro odsunął mnie od siebie, opierając ciężko ręce na moich barkach. Potrząsnął mną lekko, jak gdyby chciał przywołać całą moją uwagę, tak że musiałam w końcu otworzyć oczy i odwzajemnić jego przenikliwe, badawcze spojrzenie.

-Kildo, powiedz mi, kiedy znalazłaś się w szarym świecie, według czasu galaktycznego, nie planetarnego?

-To był... to był 2422 rok po Odlocie...

-2422 rok - powtórzyl. - Posłuchaj mnie, Kildo: ja wylądowałam tutaj w 2301 roku po Odlocie.

-Sto dwadzieścia jeden lat wcześniej! Nie wierze w to! Chciałam temu zaprzeczyć! Jednak wszystko, co widziałam wokół siebie, potwierdzało, że to on ma rację. Spojrzałam z lekiem w jego oczy. - Co teraz będzie? Ile czasu minęło?

-Tutaj się tego nie dowiemy, to pewne. Musimy znaleźć jakąś osadę.

Tu w okolicy nie ma żadnych. - Przesunęłam językiem po wargach, które nagle zrobiły się zupełnie suche. - Dzieli nas od Tamlinu daleka droga, jak dotrzemy tam bez smigacza?

-Musimy odnaleźć mój statek - odparł. - Szperacz Zwiadu nawet po stu dwudziestu jeden latach na pewno okaze się sprawny. Chodźmy.

Przystąpiłam na to całkiem chętnie. Im krocej będę oglądała to miejsce, tym dla mnie lepiej, dopóki nie zdołam przywyknąć do myśli, że czas jest naszym wrogiem. Mimo wszystko widziałam też Kosgro jako młodego mężczyznę, znużonego i wyczerpanego, owszem - ale jednak młodego. I dzieci, które wyglądały tak jak wówczas, kiedy przechodziliśmy przez wrota. Moja skóra zaś była gładka, bez śladu zmarszczek. Dotknęłam twarzy opuszkami palców. Nie mogłam być zupełnie pewna, lecz wydawała się równie gładka i jedrna jak

dłonie i ramiona.

-Dokąd idziemy?

-Z powrotem...

-Kildo, gdzie są smigacze? Dlaczego to wszystko jest polamane? - przerwał mi Oomark. - Chce wrócić do domu.

Bartare odwróciła się do niego i wybuchnęła:

-Nie ma smigaczy i miasta pewnie też nie ma! Wszystko, wszystko zniknęło! Chciales wracać - i patrz, co się stało!

-Przeznacz! - Po raz pierwszy od bardzo dawna zwróciłam się do niej ostrym tonem. - Na razie niczego nie jesteśmy pewni, Bartare. Oomark, wrócimy do statku Kosgro. Być może zdoła przetransportować nas na jego pokładzie albo na swoim zwiadowczym smigaczu, z powrotem do Tamlinu.

Lecz choć maszerowaliśmy szybciej, gnani chęcią dotarcia do statku, nie znaleźliśmy go. Kiedy wyszliśmy na otwartą równinę, Kosgro zatrzymał się nagle, rozglądając się wokół, najwyraźniej w poszukiwaniu znaków orientacyjnych. Potem odwrócił się do mnie i gdy przemówił, jego głos był stłumiony i wyprany z wszelkich emocji.

-Nie ma go.

-Wiem. Stoi w parku muzeum w Tamlinie.

Oboje spojrzeliśmy na Oomarkę.

-Co? Skąd wiesz?

Nasze pytania zabrzmiały jednocześnie.

-Stąd, że kiedy przylecieliśmy tutaj z klasą na wycieczkę, Gentlehomo Largrace pokazał nam to miejsce i opowiedział o tajemniczym pojeździe kosmicznym. Gdy przybyli pierwsi kolonizatorzy, w tym właśnie miejscu znaleźli statek zwiadowczy. Musiał tu tkwić bardzo długo, ponieważ od dawna już nie używano pojazdów tego typu. Nie dowiedziano się o nim niczego - włady były zamknięte. W końcu został przewieziony do miasta, do muzeum. Gentlehomo Largrace obiecał, że go nam pokaże podczas następnej wycieczki.

-Statek jest w mieście, więc musimy się tam dostać.

-Ale jak? Brakuje nam jedzenia, a od najbliższej farmy dzieli nas długa wędrowka przez dzikie tereny. Jeśli w ogóle są tu jeszcze jakieś farmy...

-Czy mamy jakis wybor? - zapytal, i w duchu przyznalam mu racje. Nie mielismy zadnego - oprócz tego, ze mogliśmy umrzec tam, gdzie stalismy. Ale, choc tak bardzo bylismy zmeczeni, taki koniec wcale nam sie nie usmiechal.

Nic, czego doswiadczyliśmy w zasnutym mgla swiecie, nie dalo sie porownac z ta koszmarne wedrowka. Nie grozily nam potwory wychylajace sie z mgly; nie one wciaz nam towarzyszyly, lecz glod. Kosgro wykorzystywal to, czego nauczyl sie w szkole przetrwania, i tylko dzieki temu zdolalismy przezyc.

Zywilismy sie miesem zwierzat, ktore zlapal w sidla lub powalil celnie rzuconym kamieniem albo uderzeniem maczugi. Walczyl ze zwierzetami i ptakami o wpol zeschniete jagody. Resztki naszych ubran wystrzepily sie tak, ze nas juz nie okrywaly, wiec zastapilismy je nietrwalymi strojami uplecionymi z trawy i trzciny. Stopy pokryly sie ranami, a potem z wolna twardnialy, a my tracilismy poczucie czasu; jego uplyw wyznaczaly dni, mijajace od chwili, kiedy odnalezlismy zrujnowana stacje straznikow.

Przez caly ten czas nie widzielismy ani jednego smigacza, zadnego dowodu, ze istoty naszego gatunku wciaz przebywaja na tym swiecie. Balam sie myslec o tym, co moglo sie wydarzyc. Na Dylanie, kiedy tam bylam, obserwowano niewielki, lecz staly naplyw imigrantow. Kazdego roku obszar plantacji i pastwisk sie zwiekszal. Podczas wedrowki kilka razy widzielismy zwierzeta hodowlane, ale szybko nauczylismy sie ich unikac. Zupelnie zdziczaly, staly sie mniejsze, wychudzone, zwinne i niezmiernie czujne, jak gdyby rozumialy, ze musza sie bronic, aby przezyc.

Dwudziestego dnia naszej wedrowki natknelismy sie na pierwszy znak swiadczacy o tym, ze czlowiek podporzadkowal sobie kiedys czesc tej krainy. Splatane winorosla oplataly wzgorze, a ich owocow, zdziesiatkowanych przez ptaki i owady, zwisajacych w suchych i skurczonych kisciach, najwyrazniej nigdy nie zbierano. Zrywalismy te pomarszczone kulki i jedlismy. Byly o wiele mniejsze i nie tak slodkie jak te, ktore pamietalam, lecz nadawaly sie do jedzenia, i nie tylko zaspokoilismy glod, ale zabralismy tez troche z soba w torbach zrobionych z lisci spietych cierniami.

Winorosla obrosly i na wpol pogrzebaly budynki. Sciandy byly tak oplatane i pokryte lodygami, ze nawet nie probowalismy dostac sie do srodka. Nie ulegalo watpliwosci, ze nie pozostal tam nic, co mogloby sie nam przydac.

Mimo tego dowodu upadku cywilizacji na Dylanie, wciaz tkwila we mnie nadzieja, ze znajdziemy miasto, port kosmiczny. Gdyby udalo nam sie tam dotrzec, spotkalibysmy ludzi - jesli nawet nie tych, ktorych zostawilismy - jak dawno temu? - to jednak mimo wszystko ludzi.

Dziwne, lecz im dluzej wedrowalismy, tym bardziej Bartare stawala sie normalnym, ludzkim dzieckiem, tracac to, co przyniosla ze soba z szarego swiata. Choc Oomark na poczatku zadawal klopotliwe pytania, w koncu i on zaakceptowal zaistniala sytuacje. Pomyslalam, ze

oni oboje, tak młodzi, łatwiej zdołali się przystosować niż Kosgro i ja. Dla mnie był to nie kończący się koszmar i wciąż próbowałam się z niego przebudzić.

Na szczęście dla nas obojga (choć Kosgro dzięki swemu przeszkoleniu był lepiej przygotowany na spotkanie różnych dziwnych przypadków losu) samo utrzymywanie się przy życiu, wędrowka i opiekowanie się dziećmi dostatecznie wypełniały nam dni. Ale niemal się zalamalam, kiedy minelismy inne zrujnowane i zarosnięte farmy i znaleźliśmy się na przedmieściach Tamlinu.

Tutaj zdziwiała ogrodowa roślinność nie dokonała jeszcze tak wielkiego spustoszenia. Domy stały nietknięte, choć tu i tam brakowało dachu; widac też było inne ślady spowodowane zaniedbaniem i opuszczeniem. Odnosiło się wrażenie, że na skutek jakiegoś zbiegu okoliczności lub nieszczęścia Dylan został wydany na pastwę ciszy i pustki. Odnaleźliśmy dom, z którego wyruszyliśmy do doliny. Weszłam na dziedziniec i zobaczyłam zamknięte drzwi. Zawolałam niepewnie. I tak jak się spodziewałam, nie usłyszałam żadnej odpowiedzi. Mimo to otworzyłam drzwi pokoju Guski. Był pusty, brakowało nawet mebli.

-Kildo... wszystko zniknęło... moje rzeczy... moja muszla... wszystko! Wszystko zniknęło!

Oomark wybiegł z pokoju, który kiedyś zajmował. Bartare nawet nie podeszła do swoich drzwi. Stanela przy wyschniętej sadzawce.

-Oczywiście! - W jej głosie zabrzmiało dawne zniecierpliwienie. - Wszystko zniknęło, już dawno temu!

Znaczenie tego, co widzieliśmy, chyba nie dotarło jeszcze do Oomarka, aż do tej chwili. Chłopiec nagle zbladł jak papier. Potem podszedł do Kosgro i zapytał drżącym głosem:

-Zatem to prawda, że nie było nas długo, bardzo długo?

Kosgro nie próbował go uspokoić. Zamiast tego odpowiedział tak, jakby Oomark w okamgnieniu wydorosłał.

-To prawda, Oomark.

-Chciałbym... chciałbym, żeby zostawili mi chociaż muszle powiedział chłopiec. - Należała do mojego ojca, kiedy był mały. Pragnął, żebym zachował ją na pamiątkę. Ruszył do bramy, a potem odwrócił się i zapytał:

-Jeśli nikogo tu nie ma, to co teraz zrobimy?

-Nie byliśmy jeszcze w porcie. Jeżeli ktokolwiek tutaj został, to tam powinnismy go - albo ich - znaleźć.

Nie weszliśmy do żadnego innego domu. Pospieszylismy ulicami miasta. Nie spotkalismy

niczego z wyjątkiem milczących ruin.

I tak dotarliśmy do płyty lądowiska. Ziała pustka. Zreszta nawet nie spodziewaliśmy się, że zobaczymy tam jakieś statki. Płyte znaczyły ślady wypalone przez ładujące rakiety, ale takie blizny powstające przy hamowaniu nie znikają przez całe lata.

-Wieża kapitanatu - rzekł Kosgro jak gdyby do siebie i ruszył zdecydowanym krokiem przez skraj spalonej płyty do tego budynku, który był sercem czynnego portu, wypełnionym komputerami i środkami łączności. Jeśli rzeczywiście zostaliśmy tutaj sami - moje serce zabiło gwałtownie - to może udałoby nam się wezwać pomoc z gwiazd, o ile łączność wciąż działa.

Przyspieszałam, a dzieci zaczęły biec, żeby zrównać się z Kosgro, który ruszył wyciągniętym krokiem. Dotarliśmy do głównych drzwi wieży i okazało się, że są zamknięte. Ale mechanizm otwierający wciąż działał i rozsunał je przed nami.

-Jest tu ktoś? - zawołał Kosgro, a jego głos odbił się w wieży grzmiącym echem.

Rozdział osiemnasty

Za moment pomyślałam, że wołałabym, by tego nie zrobił, bowiem jego głos wzbudził głuche echa i wrócił do nas przekształcony w niesamowity jęk. Nie spodziewałam się żadnej odpowiedzi, aż podskoczyłam więc, kiedy znikąd rozległy się słowa wypowiedziane władcym tonem: -Kto tam?

Przez chwilę prawie uwierzyłam, że znaleźliśmy się z powrotem w szarym świecie, gdzie takie zdarzenia nie były niczym nadzwyczajnym.

-Zwiadowca Kosgro i jego ludzie - odparł mój towarzysz. Potem podszedł do jednego z ekranów systemu łączności wewnętrznej i przebiegł palcami po klawiaturze, żebyśmy ukazali się na wszystkich działających ekranach w budynku.

Usłyszałam stłumiony okrzyk, a potem słowa:

-Mostek kontroli lotów. Skorzystajcie z eskalatora i wjedźcie na górę.

Ściana na prawo od nas rozsunała się, ukazując otwarty szyb. Weszliśmy do środka, zostaliśmy złapani przez snop energii i wyniesieni na górę. Żelazna reka, sciskająca moje wnętrzności, rozluźniła się. Nie byliśmy więc sami na Dylanie! Cokolwiek wydarzyło się na tej planecie od czasu, kiedy wyruszyliśmy na nieszczęsną wyprawę do doliny, z pewnością nosiło znamiona katastrofy, ale przynajmniej nie oznaczało końca naszego gatunku.

Dotarliśmy na mostek wieży. Gdy drzwi szybu się rozsunały, ujrzelismy trzech oczekujących na nas mężczyzn. Nie zobaczyłam wśród nich znajomych twarzy. Zrozumiałam, jak niemadra była moja nadzieja na spotkanie komendanta Piscova, dla którego niezbitym

dowodem na prawdziwość naszej opowieści stał się fakt, że nas tutaj widzi.

Ci trzej wyglądali staro i każdy miał na sobie polatany i wytarty mundur. Dwóch należało do planetarnej milicji, trzeci był strażnikiem. Trzymali odbezpieczone lasery; wsuneli je do otwartych kabur przy pasie, kiedy weszliśmy na mostek.

-Kim jesteście? - zapytał ten, który wyglądał na dowódcę.

-Pierwszy Zwiadowca Jorth Kosgro, Kilda c'Rhyn, Bartare i Oomark Zobak - odpowiedział za nas wszystkich Kosgro.

-Wasz statek... gdzie się rozbił? - Strażnik wysunął się o krok naprzód. - Jesteście uchodźcami?

-Z tego, jak wyglądają, wynika, że ledwie uszli z życiem. Oficer machnięciem ręki przywołał strażnika do siebie. - I coś mi się wydaje, że są bardzo głodni. Siadajcie, a ty, Brolster, przynieś coś do zjedzenia.

Zasiedliśmy na miejscach tych, którzy kontrolowali przylatujące i odlatujące statki kosmiczne, spożywając strawę, o której istnieniu niemal zapomniałam. Cokolwiek się tutaj stało, wciąż mieli samopodgrzewające się pojemniki pełne jedzenia, jakim należy rozkoszować się wolno, kies po kiesie.

Kiedy jednak zaspokoili pierwszy głód i rozejrzałam się po pomieszczeniu, zobaczyłam, że nie jest to miejsce, gdzie się pracuje. Wiele urządzeń, okrytych osłonami i zabezpieczonych, wyglądało tak, jak gdyby od dawna były wylaczone. Prawde mówiąc, tylko wysoki pulpit, gdzie zasiadł mężczyzna, który przedstawił się nam jako dowódca sekcji Weygil, sprawiał wrażenie, że ciągle jest używany.

Jego towarzyszami byli posterunkowy Brolster i strażnik Cury, przyglądający się nam tak, jakby podejrzewał, że przybyliśmy tutaj w jakichś niecznych celach.

-Rozbiliscie się, prawda? - zapytał Weygil, kiedy skończyliśmy jeść.

Zanim Kosgro zdążył odpowiedzieć, Oomark wyrwał się naprzód i położył swoją małą, podrapaną i brudną rękę na ramieniu dowódcy sekcji.

-Proszę, powiedz, gdzie są wszyscy? Oni... tu byli... wczoraj... - Obejrzał się na mnie. - Czy rzeczywiście wczoraj, Kildo? Jak długo przebywaliśmy w tamtym miejscu?

-Nie wiem.

Z pewnością wystarczająco długo, by mogło mnie to przerazić, gdybym się nad tym zastanowiła, pomyślałam.

-Co... - przerwał niecierpliwie Cury.

Wówczas Weygil jeszcze raz unosił rękę.

-Nie teraz! - rozkazał, a potem zwrócił się do Oomarka z łagodnym, zachęcającym uśmiechem. - Ludzie odeszli stąd, synu, większość z nich. Czy miałeś tutaj kogoś, z kim chciałbyś się zobaczyć?

-Matkę... była chora. I Randulfa, i jego poohkiego o imieniu Griffy, i Gentlehomo Largrace'a, i komendanta Piscova...

Przy tym ostatnim nazwisku oczy Weygila zweziły się i zrozumiałam, że nie jest mu ono obce.

-I spodziewałeś się zastać ich tu?

-Pewnie. Wszyscy byli tutaj, kiedy wyruszyliśmy do doliny. A teraz... nic nie jest takie samo. Nasze rzeczy zniknęły z domu i nawet moja muszla, która dał mi ojciec - wszystko!

-Komendant Piscov został stąd odwołany czterdzieści lat temu - powiedział cicho posterunkowy. - Jego nazwisko widniało na dokumentach, opieczetowanych przez nas w zeszłym tygodniu. Czterdzieści lat!

-Czy możesz mi podać dokładną datę, kiedy wyruszyliście do doliny? - zapytał Weygil Oomarka.

Oomark zmarszczył brwi i spojrzał na mnie.

-Kildo, kiedy to było?

Nie chciałam im tego mówić, ale nie miałam wyboru.

-Czwarty Adi, 2422 roku po Odlocie.

Wytrzeszczyli na mnie oczy. Zobaczyłam niedowierzanie, a potem podejrzliwość malującą się na dwóch twarzach. Tylko Weygil wydawał się nieporuszony.

-Teraz - powiedział wolno - jest dwudziesty pierwszy Narmi, 2483 roku po Odlocie.

-Nie!

Mój pełen przerażenia okrzyk był chyba tym, co ich przekonało. Ręka Cury'ego dotykała już przycisku na laserze. Ale kiedy usłyszał mój krzyk, cofnął palce. Podejrzewałam to, tylko nie miałam pewności. Ponad pięćdziesiąt lat! Jednak nie czułam się starsza, dzieci nie wyglądały inaczej niż wówczas, kiedy przeszliśmy do szarego świata. Potem przypomniałam sobie - dla Jortha minęło ponad sto osiemdziesiąt lat!

-To jakas sztuczka! - odezwal sie Cury. - To sa szpiedzy, wyslani po to, zeby nas podejsc!

Wyciagnal laser i wycelowal go w Kosgro, prawdopodobnie - uwazajac zwiadowce za najbardziej niebezpiecznego z nas wszystkich.

-Sluchaj... - Weygil przypatrywal sie nam badawczo, wreszcie odezwal sie do Oomarka.

-Chodziles tutaj do szkoły?

-Oczywiscie - odpowiedzial niecierpliwie Oomark. - Bylem w czwartej grupie - z Randulfem, Furwellem i Portusem...

-Z kim jeszcze? - ponaglil go Weygil, kiedy chlopiec umilkł.

-Coz, Randulf, Furwell i Portus... to moi przyjaciele. Ale bylo tez pare dziewczyn... I jeszcze Buttie Navers i Cleeve. O!... Cleeve nosil takie samo nazwisko jak ty! Cleeve Weygil! Czy to twój syn? Nigdy nie mowil, ze jego ojciec jest zolnierzem...

-Bo nie byl - odparl wolno dowodca sekcji. - Cleeve Weygil to moj starszy brat.

Oomark potrzasnal glowa.

-To niemozliwe. On jest malym chlopcem, jak ja, a ty jestes stary!

-Nauczono ich jakiejs niesamowitej historii i podstawiono nam! - przerwal znowu Cury. - Prawdopodobnie zostali przyslani, by ustalac namiary dla jakiej grupy dywersyjnej. Najlepiej zabijmy ich od razu.

-Zamknij sie! - Weygil przerwal mu ostrym warknieciem. Oomark Zobak, jego siostra Bartare i Hilda c'Rhyn. - Wskazywal nas po kolei palcem. - Alez... przypomnialem sobie! Szukali was przez wiele miesiecy i nigdy nie znalezi nawet sladu. Sprawa upadla dopiero wowczas, kiedy wybuchla wojna. Wtedy nikt juz nie mial czasu.

-Jaka wojna?

Opowiedzial nam, a jego glos brzmial tak, jak gdyby przybylo mu lat, kiedy przedstawial nam fakty. Znalo je tylko tych paru, ktorzy pozostali na Dylanie. Zaczelo sie od niespodziewanego ataku obcych statkow wymierzonego w nasze zewnetrzne swiaty. Obcy zostali pokonani w bitwie w poblizu Nebuli, ale byl to tylko poczatek. Zniszczone sily byly jednostkami zwiadowczymi ogromnej armady. Doszlo do kolejnych najazdow i atakow. Kiedy wreszcie obcy zostali ostatecznie pobici, cala sekcja galaktyki, ongi cywilizowana, pograzyla sie w chaosie, w ktorym przezywali silni, a slabi szybko gineli. Ustala lacznosc pomiedzy systemami slonecznymi, nawet pomiedzy poszczegolnymi swiatami. Nieznane choroby, roznoszone celowo czy przez przypadek, zmienily niektore planety w kostnice.

W trzecim roku wojny ludność Dylana została pospiesznie ewakuowana z wyjątkiem garnizonu pozostawionego dla ochrony portu. Przez jakiś czas port w Tamlinie służył jako stacja remontowo-kwipazowa dla mniejszych statków kosmicznych. Potem statki przestały przylatywać. Pieć lat temu mały garnizon wysłał swój ostatni pojazd zwiadowczy, by dowiedzieć się, co się stało. Statek ten nigdy nie wrócił. Na szczęście wciąż mieli do dyspozycji ogromne zapasy w magazynach wzniesionych wokół portu.

Farmy i pastwiska szybko zmieniły się w nieużytki. Tych kilka rodzin, które pozostały na Dylanie, wycofało się do dzielnicy portowej, gdzie zamieszkało w budynkach przeznaczonych dla dowództwa wojskowego. Bez przerwy prowadzili nasłuch stacji nadawczych z innych światów, mając nadzieję na uzyskanie jakichś wiadomości. Tylko że od dawna niczego nie usłyszeli.

-A teraz powiedzcie prawdę - rzekł Cury, gdy Weygil skończył swoją smutną opowieść - skąd przybyliście? Czy jesteście uchodźcami? Czy też dywersantami przysłanymi tutaj, żeby przejąć port?

Bartare podeszła do mnie, jej dłoń wsunęła się w moją. Urok, który dotychczas miał nad nią władzę, zniknął. Potrzebowała tej odrobiny otuchy, jaką mogłam jej dać.

-No dalej! - ponaglił Cury. - Skąd przybyliście? I nie mówcie mi, że zyliscie tu przed pięćdziesięciu laty! Jeśli zostaliscie przysłani przez jakichś najeźdźców, nie wyjdzie wam to na dobre. Nasze pola ochronne wciąż działają, a my już dopilnujemy, żebyście ich nie wyłączyli!

-Kilda?

Kosgro zwrócił się do mnie. Być może sądził, że uwierza mi chętniej, choć im dłużej myślałam o naszej historii, tym bardziej wydawała mi się niewiarygodna. Jednak nie miałam nic innego do zaoferowania z wyjątkiem prawdy. I opowiedziałam im ją, ograniczając narrację do samych faktów, które przydarzyły się mnie, Oomarkowi i reszcie naszej małej kompanii. Mimo to opowieść zdawała się trwać bardzo długo i brzmiała niezmiernie dziwnie. Kiedy skończyłam, Weygil odezwał się pierwszy.

-Jeszcze jedno kontinuum czasoprzestrzenne, łączące się co jakiś czas z innymi światami - powiedział.

-Chcesz powiedzieć... że im wierzysz? - zapytał Cury.

-To znana teoria - odparł jego dowódca. - A ta opowieść zgadza się z tym, co słyszałem o zniknięciu tych trojga. - Wskazał dzieci i mnie. - A co z tobą? - zwrócił się do Kosgro. - Kiedy znalazłeś się w tamtym świecie i w jaki sposób?

Jeszcze raz Jorth opowiedział o lądowaniu na planecie w charakterze zwiadowcy, o swym przypadkowym wkroczeniu do szarego świata, oraz o tym, kiedy się to stało.

-2301 rok! - nie mogli uwierzyć Cury.

-Tak, 2301 -powtórzył Kosgro. - I myślę, że mogę dostarczyć wam dowodu. Omark twierdzi, że odkryto tutaj statek zwiadowczy i przewieziono do miejscowego muzeum. Wszyscy znacie szczególne właściwości takich statków. Są wyposażone w specjalne zamki, otwierające się wyłącznie przed tymi, dla których je założono. Jeśli ten statek wciąż jest tutaj, otworzy się wyłącznie przede mną i przed nikim innym.

Zapomniałam o tych zabezpieczeniach statków zwiadowczych. Nie tylko wyposażono je w osobiste zamki, tak by nikt inny nie mógł do nich wejść i aby w razie potrzeby służyły jako schronienie dla zwiadowcy - ale też ich konstrukcja umożliwiała włączenie silników wyłącznie tej jednej jedynej osobie, dla której statek był przeznaczony. W żaden inny sposób Jorth nie mógł dowiedzieć swej tożsamości bardziej jednoznacznie, niż wchodząc do tego statku.

-Muzeum? - powtórzył Weygil, a potem podniecenie zabarwiło jego głos. - Oczywiście, ciągle tam stoi. Nie było powodu, by go przewozić gdzieś indziej.

-Zatem zaprowadźcie nas tam od razu! - ponaglił Kosgro.

-Zostan przy pulpicie łączności - rozkazał Weygil Brołsterowi. Czuwali przy nim dzień i noc z nadzieją, że któregoś dnia jakiś szept z kosmosu powie im, że nie zostali zupełnie zapomniani.

Zjechaliśmy na dół i wyszliśmy na lądowisko osmalone ogniem rakiet. Już od lat nie czuło na sobie ich gorącego oddechu. Nie skierowaliśmy się z powrotem do martwego miasta. Weygil miał zaparkowany w pobliżu naziemny pojazd, i choć był mały, zmieściliśmy się w nim wszyscy. Echa naszego przejazdu roznosiły się głośno, gdy pedziliśmy pustymi ulicami. I coraz mniej i mniej podobał mi się wygląd tych pustych okien, kurzu, zwiedłych liści i smieci, które wiatr roznosił wokół budynków. Domy były tak solidnie zbudowane, że mogły stać tutaj nie pięćdziesiąt, ale sto lat i więcej - pomnik martwej kolonii. A ile jeszcze światów okrzętał słońca, takich, gdzie nie pozostała nawet garstka mieszkańców, mogących przemierzać rozbrzmiewające echemi miasta? Inne musiał spalić atomowy ogień i były teraz niczym innym jak martwym zuzłem. Niektóre zaś zostały nawiedzone przez plagi, a te pozostawiły martwych leżących tam, gdzie upadli. Staralam się nie myśleć o tym. Koncentrowałam się na fakcie, że jeśli nawet wróciliśmy do świata w znacznej mierze wyludnionego, to mimo wszystko był to świat znany nam, a nie ów szary, zaludniony potworami, który nas wieził.

W końcu zatrzymaliśmy się przed jednopiętrowym budynkiem. Wystawał zza niego dziób statku ustawionego na statecznikach, skierowany w niebo, gotów wystrzelić na poszukiwanie swego żywiołu - przestrzeni. Okazał się o wiele mniejszy od liniowca, jaki przywiozł nas na Dylana, mniejszy nawet od średniej wielkości statku handlowego. Ale był to statek kosmiczny i jego widok budził nadzieję, że rodzaj ludzki nie do końca został

wygnany z gwiazd.

Przeszliśmy przez zewnętrzny dziedziniec muzeum, gdzie Weygil przepalił laserem zamki, spiesząc do ogrodzenia, w którym znajdował się statek. Kosgro biegł z przodu i zatrzymał się przed jednym ze stateczników, niewielkim w porównaniu z wyniosłą iglicą, choć sam pojazd mógł wydawać się małym dla kogoś obeznanego z podrzami kosmicznymi. Jorth przez chwilę mierzył go wzrokiem. Potem odezwał się, wypowiadając głośno i wolno jakąś formułę. Te słowa nic dla mnie nie znaczyły, wiedziałam jednak, że musi to być zdanie-klucz, zaprogramowane jako sygnał do otwarcia wjazdu.

Tak płynnie, jak gdyby Kosgro opuścił go zaledwie przed godziną, w ścianie statku otworzył się wjazd. Wysunął się z niego azurowy trap, który zatrzymał się u stop zwiadowcy, szczełkawszy na płytach dziedzinca. Kosgro ujął go, chcąc wspiąć się na pokład. W tej właśnie chwili Cury rzucił się na niego, lecz nie powalił go na ziemię, a raczej przycisnął do trapu. Myślałem, że tak zaskoczył Jortha swoim atakiem, że ten nawet nie próbował się bronić. Weygil krzyknął.

-Cury! Co robisz? Dowiodł, że mówił prawdę. Z pewnością jest tym, za kogo się podawał. Inaczej statek nie odpowiedziałby na jego wezwanie.

-Nie bądź głupi! - krzyknął Cury. - On jest pilotem. A ten statek może okazać się sprawny. Co będzie, jeśli odleci i zostawi nas, żebyśmy tu zgnili? - Twarz Cury'ego wykrzywiła furia. - Nie pozwolę na to!

Kosgro oprzytomniał i zaczął się bronić. Nie zdołałam zobaczyć, co zrobił mężczyźnie, który przyciskał go do trapu, lecz nagle Cury odsunął się od niego i zatoczył do tyłu. Zwiadowca stanął przed nim, z rękami uniesionymi w zwyczajowym zaproszeniu do walki wręcz. Cury sięgnął po laser, lecz zanim zdążył go wyciągnąć, Kosgro skoczył, zadając kantem dłoni cios w kark przeciwnika. Straznik osunął się na ziemię tuż przy trapie. Kosgro odwrócił się w stronę Weygila gotów do obrony.

-Nie trzeba. Nie jestem Cury - powiedział Weygil spokojnie. Zabijesz go?

Kosgro spojrzał na niego zaskoczony.

-Nie. Dlaczego miałbym zabijać?

-On by cie zabił.

Dowodca sekcji wyciągnął klebek sznurka i wykazał niejaka zreżność, związując nim w nadgarstkach ręce Cury'ego.

-Nie tylko Tamlin się zmienił. - Mówiac to, patrzył gdzieś w przestrzeń. - Jest nas zbyt mało. Za długo czekaliśmy. Niektórzy potrafią to znieść. Przystosowaliśmy się dawno temu. Inni, z powodu swego temperamentu, nie mogą pogodzić się z obecną sytuacją. Cury jest

przekonany, że jeśli tylko zdołamy nawiązać kontakt z innymi światami, Dylan na nowo ożyje. Nie uświadamia sobie, że żaden świat nie próbował się z nami skontaktować, co albo oznacza, że nie mamy już nic do zaoferowania, albo że nie pozostał nikt, kto by pamiętał, iż tutaj jesteśmy.

Weygil przysiadł na pietach.

-Teraz nie robi już nikomu żadnej krzywdy. Zabiore go do baraków, gdzie będzie mógł ochłonąć. Przy okazji - czy twój statek nadaje się do lotu?

-Zaraz sprawdzę.

Kosgro wspiał się po trapie i zniknął we władze. Miałam wrażenie, że nie było go bardzo długo. Oomark tulił się do mnie z jednej strony, Bartare z drugiej.

-Kildo - odezwał się chłopiec - gdzie będziemy mieszkać? W naszym domu nie ma mebli, nie ma niczego.

Weygil uśmiechnął się do niego.

-Nie musisz się o to martwić, synu. Znajdźcie się dom dla was wszystkich. Mam wnuka, mniej więcej w twoim wieku, a w barakach mieszka jeszcze paru takich jak on, dziewczęta też - dodał specjalnie dla Bartare.

-Nasze rodziny postanowiły zostać i powodzi nam się zupełnie nieźle. Jest nas tutaj pięćdziesięcioro i korzystamy z zapasów całego miasta i około stu pekających w szwach magazynów, gdzie zalega nieprzebrana mnogość żywności, odzieży i leków.

-Nie z takich nasion wyrosły kolonie obejmujące całą planetę - zauważyłam.

-To prawda. Większość z nas zdaje sobie z tego sprawę. Dla świętego spokoju prowadzimy stały nasłuch w porcie. Niektórzy z nas, tacy jak Cury, wierzą, że ta sytuacja jest tylko czasowa. Reszta... - Wzruszył ramionami. - ...Nie dajemy się ponieść złudnym nadziejom. Mamy dużo, o wiele więcej niż rozbitkowie, którzy zaczęli życie na nowych światach. Ludzi przybywa - dziesięcioro z nas to dzieci, a inne są już w drodze. Damy sobie radę.

Z takim dowodcą jak Weygil było to bardzo prawdopodobne. Ale co z nami? Gdzie jest nasze miejsce? Czy znowu mieliśmy zostać skazani na bycie Pomiedzy, nie należąc ani do tego, ani do tamtego świata?

We władze pojawił się Kosgro. Gdy stanął na płytach dziedzinca, trap został szybko wciągnięty do środka i właz zamknął się ze szczękiem.

-Statek jest sprawny, ale potrzebny jest nowy rdzeń reaktora. Ten się wyczerpał.

-Pomyslimy o tym. A teraz chodzmy do barakow. Broster poinformowal reszte przez radio i teraz z niecierpliwoscia oczekuja na spotkanie z wami.

Cury byl wciaz nieprzytomny, gdy ladowalismy jego bezwladne ciało do samochodu. Jeszcze raz pojechalismy milczacymi ulicami, wracajac do portu i wznoszacych sie obok niego barakow.

Grupa skladajaca sie z mezczyzn, kobiet i dzieci czekala tam, by nas powitac. Bartare, Oomark i ja zostalismy zagarnieci przez kobiety. Zapomnialam juz, jaka rozkosz daje kapiel w lazience, kiedy prysznic zmywa brud dlugich dni wedrowki i koi zadrapania i stluczenia. Dziwnie sie poczulam, spogladajac znowu w lustro; cudownie zas, kiedy nakladalam swieze, pachnace delikatnie rzeczy, ktore podarowala mi corka Weygila. Natomiast swiadomosc, ze nie ciazzy mi juz strach i odpowiedzialnosc, byla najwspanialsza z tego wszystkiego.

Nasza historia ogromnie zdumiala sluchaczy (bowiem teraz opowiedzielismy ja szczegolowo), podobnie jak nas to, co oni nam zrelacjonowali. Na prosbe Weygila zaczalam wszystko nagrywac, choc wiedzialam, ze tasma nigdy juz nie znajdzie sie w bibliotece Lazka Volka. (Co stalo sie z Chaloksem? Czy zbior Volka wciaz pozostawal nietkniety, tak by mogl byc wykorzystany przez te cywilizacje, ktora przetrwala?). Potem poprosilam Oomarka, zeby ja uzupelnil ze swej strony. Gdy zwrocilam sie z tym takze do Bartare, poczatkowo nawet nie odpowiedziala na moja prosbe.

Choc przebywajac z rowiesnikami nie trzymala sie na uboczu, tak jak przedtem, to jednak jej zachowania nie cechowala taka bezposredniosc, jaka okazywaly Alys czy Wensie, mieszkanki barakow. Wbila wzrok w przestrzen, kiedy zapytalam po raz drugi:

-Zrobisz to, Bartare? Wiesz o wiele wiecej o swiecie Ludu niz my...

-Dlaczego mialabym to zrobic? - zapytala bezbarwnym tonem.

-Poniewaz jest to wiedza, a wszelka wiedza winna byc zachowana dla przyszlych pokolen - zacytowalam kredo Lazka Volka, ktore wpoil mi jeszcze jako dziecku.

-Uwazaja to za bajke. - Wskazala reka mieszkancow barakow. - Wielu z nich chce to tak traktowac. Juz wktotce taka opowiesc bedzie tym, czym ma byc: jeszcze jedna dziwna historia. A poza tym, kogo obchodza twoje nagrania? Lazk Volk nigdy ich nie uslyszy. Pewnie od dawna juz nie zyje.

-No coz, moze cie tylko o to prosic, Bartare. Nie moga cie zmusic.

Wowczas z jej twarzy zniknela maska, ktora nalozyła.

-Nie przychodzi juz - powiedziala szeptem. - Nigdy juz nie przyjdzie!

-Melusa? - Ale nie potrzebowalam potwierdzenia. Wiedzialam, o kim mowi.

-Powiedziala... ze nie dosiegne jej tam na kopcu... i nie dosieglam. Wiec naprawde nigdy nie bylam jej corka - nigdy! - Mowila coraz szybciej. - Przedtem mialam ja- teraz nie mam nikogo!

-Zapominasz o mnie, Bartare. Zrobie dla ciebie wszystko.

Potrzasnela glowa.

-Nie, Kildo - chcesz dac mi cos, bo jest ci mnie zal, poniewaz czujesz, ze powinnas sie mna zaopiekowac. Ale nie mozesz. Ty to ty, a ja to ja, i za bardzo roznimy sie miedzy soba.

Wyrazila to, co zawsze czulam.

-Ona nigdy juz nie wroci, Kildo. A ja o tylu rzeczach zapomnialam. W nocy leze, nie mogac zasnac, i probuje przypomniec sobie slowa i gesty, ktorych uzywalam, zeby zrobic to czy tamto. Ale te slowa i gesty wymykaja sie z moje] glowy. I wktotce dla mnie to rowniez stanie sie bajka. Mam nadzieje, ze kiedy nadejdzie ta chwila, przestane przywiazywac do tego waze. Wlasnie to, Kildo, w jakis sposob jest najgorsze - nadzieja, ze nie bedzie to juz dla mnie wazne.

Ujela moja reke.

-Nie pros mnie o to nagranie, Kildo, poniewaz jesli to zrobie, wowczas moze ktoregos dnia zechciec je wysluchac. I przypomne sobie troche, ale nigdy dosc, nigdy dosc!

Zrozumialam ja. Bartare sama dokonala wyboru, poniewaz w szarym swiecie ktos inny dokonywal wyboru za nia. Jesli chciala odrzucic to wszystko, co mialo dla niej znaczenie, musiala zrobic to teraz. Tak wiec nie poprosilam jej ponownie, choc nagranie byloby o wiele pelniejsze, gdyby sie zgodzila. Myslam o tym, jaka przyjemnosc sprawiloby Lazkowi Volkowi. Niestety, tak jak powiedziala, nie mogl go juz wysluchac.

Od tej naszej rozmowy Bartare coraz bardziej i bardziej zaczela przypominać inne dzieci; byc moze poczatkowo starala sie o to swiadomie, lecz wktotce nie musiala juz o tym myslec. Jej dawna niewidzialna towarzyszka odeszla.

Nie, to nie Oomark czy Bartare nie potrafili zasymilowac sie z zyciem malenkiej kolonii na Dylanie. Najwieksze trudnosc mialam ja. Nie umialam przeskoczyc tych ponad piecdziesieciu lat, zeby ich dogonic, choc prawda jest, ze rownie mocno jak Bartare probowalam znalezc swoje miejsce w spolecznosci, ktorej bylam czlonkiem. Sadzilam, ze kiedy wroce z szarego swiata, wszystko bedzie w porzadku. Teraz odkrylam, ze nie byla to prawda.

Na prosbe Weygila robilam nagrania dla banku danych. Mialy one byc opieczetowane i

przechowywane w porcie. Gdyby kolonii nie udało się przetrwać (a wciąż wisiał nad nami cień niespodziewanej epidemii, najazdu, jakiegoś naturalnej katastrofy, które mogły zetrzeć nas z powierzchni ziemi), wówczas nasze nagrania pozostałyby dla przyszłych pokoleń. Ale to zajęcie nie mogło wypełnić mi całego czasu.

Jako samotna kobieta byłam nieustannie adorowana i na wszystkie możliwe sposoby nakłaniana do małżeństwa przez pięciu niezonatych mężczyzn kolonii. Wiedziałam, że prędzej czy później czeka mnie los innych kobiet na Dylanie - mąż, dzieci, coraz mniejsze możliwości. Jednak wciąż starałam się odwlec konieczność podjęcia ostatecznej decyzji.

W tym czasie Jorth zajmował się statkiem. W magazynach znajdowało się mnóstwo rdzeni paliwowych, lecz przeznaczone były dla statków wojennych. Przystosowanie jednego z nich do mniejszego statku zwiadowczego stanowiło długie i skomplikowane zadanie. Kolonia udzielała mu wszelkiej możliwej pomocy, widziała w nim bowiem ostatnią szansę na nawiązanie łączności z innymi światami. Tak jak powiedział nam Weygil, większość członków kolonii zaakceptowała sytuację, w jakiej się znalazła, porzuciwszy nadzieję na kontakt z innymi światami i poświęcając całą energię na polepszenie warunków życia. Ale byli tacy, którzy nie zrezygnowali.

Cury, który przedtem chciał walczyć z Kosgro, teraz stał się jego najzagorzalszym pomocnikiem. Domyslałam się, że strażnik pragnął znaleźć się na pokładzie statku, kiedy ten w końcu wystartuje.

W owym czasie rzadko widywałam mojego dawnego towarzysza. Pracował ciężko i wracał do baraków przede wszystkim po to, by najść się i przespacerować. Lecz dreczące nas problemy ujawniły się tego samego dnia.

Matylda, żona Weygila, późnym rankiem wzięła mnie na bok i bez ogródek przedstawiła sprawę. Byłam przyczyną niezgody. Doszło do walki pomiędzy dwoma niezonatymi mężczyznami, z których żadnego nie chciałam. Prawde mówiąc, kiedy już poznałam sytuację, robiłam co mogłam, żeby nie faworyzować żadnego ze starających się. Swoją wolny czas spędzałam wśród kobiet. Ale sam fakt, że nie dokonałam wyboru, stał się źródłem kłopotów. Ponieważ leżało to w interesie całej kolonii, musiałam wybrać od razu.

Nie mogłam zaprzeczyć, że mówi rozsądnie i że jest to najlepsze rozwiązanie dla całej grupy. Byłam jednak do tego zmuszana, więc zbuntowałam się i uciekłam z baraków do milczącego miasta. Nie obchodziło mnie, dokąd idę. Blakalam się, przechodząc z jednej ulicy na następną. Żaden z pięciu niezonatych mężczyzn nie pociągał mnie. Nie czułam się częścią tej społeczności. Nie chciałam, by moja przyszłość stała się ich przyszłością.

Zatrzymałam się w ogrodzie obok domu, gdzie kiedyś mieszkał komendant Piscov. Pozbawiona opieki roślinność utworzyła gąszcz, który już dawno temu zatarał ostatni ślad grządek. Słabsze rośliny zginęły, lecz te bardziej odporne i żywotniejsze rozrosły się bujnie. Walczyły o życie i właśnie ich widok pomógł mi zrozumieć, co się ze mną działo. Było tu

pieknie i spokojnie. Pragnelam zostac w tym miejscu i zapomniec o wszystkim, co znajdowalo sie za na wpol uchylona furka.

Obudzil mnie metaliczny brzek. Zaskoczona, w pierwszej chwili pomyslam, ze to jeden z pieciu adoratorow podazyl moim sladem. Ujrzalam Jortha.

Ubrany byl w mundur z zapasow znajdujacych sie w magazynie. Jego buty, zaopatrzone w magnetyczne podeszwy, postukiwaly miarowo, kiedy szedl. Tunike mial rozpieta, a rece czerwone od szorowania, ktore zmylo ostatnie slady pracy, jaka wykonywal.

-Zobaczylem cie z pokladu statku - powiedzial takim tonem, jakby mial mi cos do zarzucenia. - Jest gotowy do startu.

-Beda bardzo podnieceni.

-Nic jeszcze nie wiezda. Mysla, ze skonczy dopiero za dzien lub dwa...

-Dlaczego?

Nie odpowiedzial. Zamiast tego podszedl do mnie. Jego swiezo umyte dlonie zacisnely sie na moich ramionach wystarczajaco mocno, by mnie to zabolalo. A jednak z radoscia powitalam ten uscisk. A potem przyciagnal mnie do siebie, bardzo blisko. I spojrzal mi prosto w oczy, a ja wiedzialam, ze nie potrzebujemy juz zadnych slow, ze tego wlasnie chcialam i potrzebowalam.

-Polecisz.

To nie bylo pytanie, lecz ja odpowiedzialam tak, jakby je zadal.

-Tak! - A potem dodalam: - Kiedy?

-Zaraz. Statek jest w pelni zaopatrzony. Cury mi pomogl.

-Mysli, ze wezmiesz go z soba.

Kosgro potrzasnal glowa.

-Nic mu nie obiecywalem. Moge zabrac stad tylko jedna osobe. Wezme ze soba ich poslanie. A to i tak bym zrobil. Kildo, nie wiem, co nas tam czeka. Jesli znajdziemy sie w absolutnym chaosie, tak jak przypuszcza to Weygil, nasza sytuacja okaze sie o wiele gorsza niz cokolwiek, co sobie wyobrazasz.

-Po pobycie w szarym swiecie nic nie moze byc gorsze.

-Musimy zostawic tu dzieci.

-Wiem. Ale one dokonały własnych wyborów. Oomark jest tutaj szczęśliwy. Myślę, że Bartare też się zaaklimatyzuje. Ta upiorna Pani, która kusila ją do innego życia, zniknęła.

-A ty znalazłaś towarzysza - choć może nie tak upiornego. Będzie cię kusil...

Dotknęłam palcami jego ust.

-Nie musisz namawiać mnie do niczego! Ja też dokonałam wyboru. Gdzie tylko pojedziesz, ruszę twoim śladem, nawet tam, gdzie kończą się wszystkie gwiazdy!

Przemknęliśmy przez martwe miasto do statku i Jorth zabrał mnie do jedyne go domu, jaki kiedykolwiek posiadał; odtąd był to również mój własny dom. Z radością zamieniłam bezpieczne życie na Dylanie na to, co czekało na nas wśród gwiazd.

[1] Skróty od extrasensory perception (postrzeganie pozazmysłowe).

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-01-23

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/